



NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 75 gr - 12 stron

Warszawa, 29 czerwca 1952 r.

Nr 26 (118) Rok III

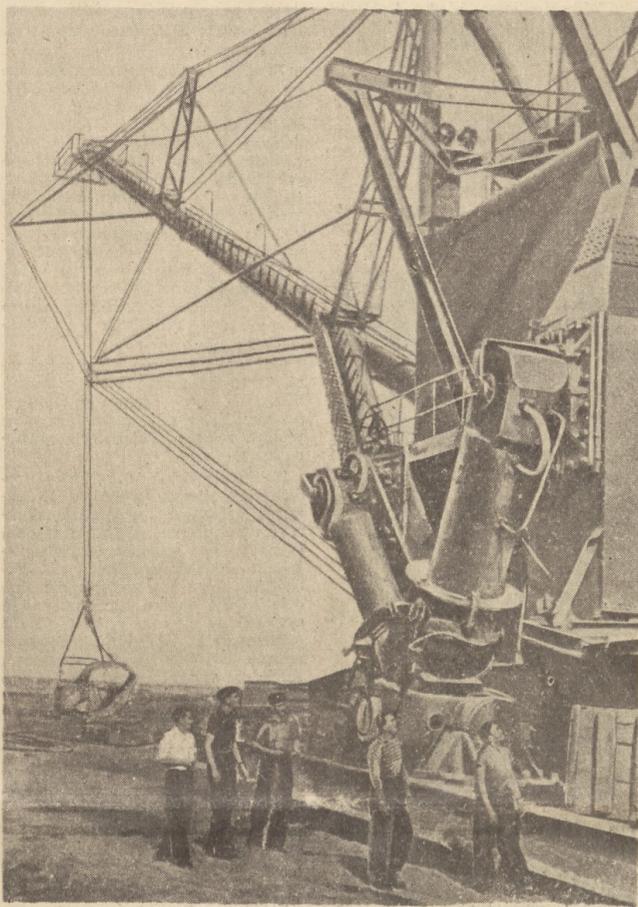
W NUMERZE m. in.: Włodzimierz Sokorski — Osiągnięcia i trudności współczesnej dramaturgii; Seweryn Pollak — Radiszczew; Julia Hartwig — Ta sama wciąż ziemia; Maria Szczepańska — Blaski i nędze „wieczorów”; Paweł Jasienica — Nowe obszary historii; Stefan Zawadzki — Moja ojczyzna; Marian Piechal — Francjo, dokąd?; Zbigniew Szymański — Chiny; Arnold Stucki — Kożedo; André Stül — Robota przy jęczmieniu; Anna Jakubiszyn — „Zakeria” i jej autor; Andrzej Wróblewski — O kształt naszej architektury; Nina Gubrynowicz — W poszukiwaniu nowych dróg; Waclaw Sadkowski — „Piątka z ulicy Barskiej”; Janina Osieńska, Maria Kann, Irena Tuwim, Maria Kowalewska, Andrzej Miłosz — O przekładach książek dla dzieci i młodzieży; Wilhelm Mach — Sport w opowiadaniach Prońskiego.

Treść naszego czasu

Opracowała ROZALIA LASOTOWA

TECHNIKA JEST NAUKĄ HUMANISTYCZNĄ

Gdy Piotr Pierwszy rozpoczął budowę kanału między dopływami Wołgi i Donu, trzydziści tysięcy chłopów pańszczyźnianych wykopało po trzech latach morderczej pracy Wał Piotrowy — 650 tysięcy metrów sześciennych ziemi. Tyle wydobyła jedna koparka krocząca przez dwa miesiące. Budowa 160-kilometrowego kanału Sueskiego trwała 22 lata, Panamski (81 kilometrów) budowano 35 lat, zapory na Nilu wznoszono przez 68 lat. W Związku Radzieckim przekopano stu kilometrów kanał Wolga-Don w ciągu niespełna czterdziestu miesięcy. To jedyne w świecie tempo robót dyktują maszyny: koparki mechaniczne, dziesięcio- i dwudziestotonowe ciężarówki samowyladowe, pięćdziesięciotonowe wagony wywrotne, zgarniarki o pojemności 15 metrów sześciennych, ciągniki i dźwigi ruchome. Czy można wyobrazić sobie bez nich tę gigantyczną pracę, którą wykonuje naród radziecki, przekształcając przyrodę swego kraju? Obliczono, że planowana rozbudowa sieci nowych kanałów i elektrowni wodnych wymagać będzie wykopania i przemieszczenia około półtora miliarda metrów sześciu gruntu. Czy zamierzenia te byłyby wykonalne przy użyciu łopaty i motyki? A jeśli nawet tak, ileż dziesiątków lat pochłonęłyby ich realizacja! Każda koparka krocząca w ciągu jednej doby może wybrać i przenieść na odległość do 120 metrów dziesięć tysięcy metrów sześciennych gruntu. To wysiłek siedmiu tysięcy kopaczy. Załoga koparki, składająca się z pięćdziesięciu ludzi, których zadanie polega jedynie na operowaniu dźwigniami, na kontrolowaniu przrządów i oliwieniu mechanizmów, wydobyła w pierwszym roku pracy tyle ziemi, ile 17 zwykłych kopaczy musiałyby dobywać przez 500 lat. A przecież komunizm nie za góry. To kwestia bardzo bliskiej przyszłości. Ale by go zbudować, trzeba złożyć do muzeów łopaty, motyki i kilofy — jako narzędzia wielkich robot ziemnych, trzeba zlikwidować ciężki zawód kopacza. Niech flotyła posłusznych ludzkiej woli maszyn wypłynę na „suchego przestwór oceanu”, niech tysiącokrotnie pomnoży siłę człowieka, niech na każde jego skinienie wykonuje wolę budowniczych nowego świata!



Koparka krocząca

Koparka krocząca nie jest odbitką ani powiększeniem znanych dotychczas typów maszyn amerykańskich i radzieckich, zatrudnionych w budownictwie od 28 roku. Jest to konstrukcja opracowana na zupełnie nowych zasadach, o wiele przewyższająca dotychczasowe wielkością, wydajnością, niezawodnością i łatwością obsługi. Ale największym chyba osiągnięciem inżynierów radzieckich jest to, że pierwsi na świecie wprowadzili seryjną produkcję tych maszyn. W 1948 roku jeden tylko „Uralmasz” wypuścił koparek więcej, niż wszystkie kapitalistyczne firmy świata w sumie wzięte.

INŻYNIEROWIE PROJEKTUJĄ, ROBOTNICZY USPRAWIAJĄ

Główny projektant kroczącej koparki — inżynier Satowski opowiada, że dla niego i innych konstruktorów wielkie budowle rozpoczęły

się już w marcu 1948 roku, gdy uszyli w ministerstwie o projektowanej konstrukcji nowych maszyn, niezbędnych do wykonania zamierzonych prac. Za długim spisem nazw technicznych zamajaczyły kontury przyszłych budowli komunizmu: tam gdzie teraz jeszcze hula gorący wiatr, wypalając zeschłą ziemię, gdzie rzeki bezcelowo niosą w morze obfitość swych wód, a z nimi olbrzymie masy energii — tam przyjdą setki gigantycznych maszyn, będą kopać grunt i odwozić go na bok, będą wyrównywać brzozy kanałów i torować nowe drogi, będą wznosić niezniszczalne tamy na potężnych rzekach.

Przodujące w kraju radzieckim zakłady budowy maszyn „Uralmasz” wydelegowały do Moskwy swego dyrektora i inżyniera Satowskiego, aby uzyskać zamówienie na koparki. Okazało się jednak, że na to samo miały ochotę i zakłady w Nowo-Kramatorsku, które również wysłały do Moskwy swych przedstawicieli z identyczną prośbą. „Konflikt” został rozwiązany prosto: konstrukcję koparek powierzono jednemu i drugiemu: różnica była jedynie w typach maszyn. Głównym projektantem kroczącej koparki mianowano inżyniera Satowskiego.

W zwykłych warunkach praca konstruktorów przedstawiała się następująco: na wstępie — tak zwany projekt szkicowy koparki. Określa on zewnętrzne zarysy części składowych, ich położenie względnie i przeznaczenie. Nie ma tu jeszcze ostatecznych obliczeń, przyjdzie na nie pora w czasie projektowania technicznego, które odbywa się również w ustalonej kolejności. Najpierw opracowanie projektu głównego wężła koparki — pomostu zwrotnego. Trwałoby to z pół roku. Następnie dziesiątki innych punktów wężłowych: płyta oporowa, przeróżne motory i mechanizmy, zainstalowane w pomoście, mechanizm kroczenia, karoseria, czerpak, ramię itd. Zaprojektowanie każdego z nich trwałoby jeden do sześciu miesięcy. Po technicznym następuje projektowanie robocze: trzeba wykonać robocze rysunki wszystkich części, do najmniejszych nitów czy wkładek, z ukazaniem sposobu jej obróbki i materiału, z którego będzie wykonana. I wreszcie rysunki robocze przechodzą do oddziałów fabrycznych.

Tego rodzaju projektowanie gigantycznej koparki zajęłoby dwa

albo i trzy lata. A termin był — osem miesięcy.

Dotychczasowe metody pracy okazały się przestarzałe. I oto naczelny konstruktor zakładów powziął śmiałą decyzję, aby nad projektem koparki pracowało nie jedno tylko biuro konstrukcyjne, lecz cały zespół konstruktorów „Uralmaszu”. Aby pracować jednocześnie i od razu nad wszystkimi punktami wężłowymi, Satowski uzupełnił ten pomysł propozycją pominięcia projektu szkicowego i rozpoczęcia pracy od projektu technicznego. W ten sposób zyskiwano ogromnie na czasie.

I zavrzała praca w pięciu biurach konstrukcyjnych równocześnie. Szu konstruktorów tworzyło tysiąctonyowy mechanizm, poruszany elektrycznością, złożony z setek części. Wszystkie one związane są wzajemnym oddziaływaniem. Przy jednoczesnym projektowaniu całości, najmniejsza pomyłka lub niedokładność w jednym z punktów, powtórzyłaby się, pomnożyła dziesiątki razy w innych — i poderwałaby z miejsca harmonię techniczną całej konstrukcji. Zasadnicza trudność równoległego projektowania polega na umiejętnym „powiązaniu” szczegółów. Tylko zgrany w ciągu wielu lat współpracy zespół mógł podolać takiemu zadaniu.

„Sąsłym zmysłem” konstruktora musi być poczucie objętości. Musi on widzieć na płaskim rysunku trójwymiarowy kształt elementu, jak gdyby miał przed sobą sam element. Tylko wtedy znajdzie najlepsze formy dla swych części i powiąże je w sposób najbardziej celowy z innymi.

Przystępując do pracy inżynierowie mieli o swej maszynie bardzo ogólne pojęcie. Znali jej przybliżony ciężar, długość ramienia, pojemność czerpaka i... niewiele ponadto. Były to tak zwane warunki techniczne. Opierając się na nich, trzeba było znaleźć tysiące nowych cyfr, określających cały charakter maszyny — siłę motorów, gabaryty punktów wężłowych, napięcie i wagę tysięcy elementów, warunki przenoszenia ruchu z jednej części na drugą. Zadanie to przypomniało wysiłek archeologa, który ma z kilku pojedynczych kości odtworzyć szkielet i postać gigantycznego dinosauza. Z tą jednak różnicą, że archeolog odtwarza postać zwierzęcia. Inżynier już kiedyś istniał, konstruktor zaś tworzy wszystko od nowa. Ale obydwaj opierają się na minimalnej ilości danych wyjściowych. Można to jeszcze porównać z równaniem o wielu niewiadomych, w którym na oznaczenie wszystkich niewiadomych zbrakowałoby liter w alfabecie. I dlatego trzeba było szukać rozwiązań sposobem podstawienia, stawiać hipotezy, dochodzić przez nie do nowych danych, aby potem, idąc w odwrotnym porządku, precyzyjnie stare. Był to okres zdumiewających odkryć; konstruktorzy poznawali dopiero swą przyszłą maszynę. Dopiero po przeprowadzeniu obliczeń, odczuli naprawdę jej wielkość.

Łosy koparki ważyły się przy biurku inżyniera Satowskiego, odpowiedzialnego za całość prac. Przy biurku było zawsze rojno. Przychodził elektryk Borysov i komunikował ostatnie wyniki obliczeń. Satowski wyjmował swój notes w liłowej okładce i zapisywał.

— Jeszcze nie wiadomo dokładnie — mówił Borysov — ile motorów pójdzie na maszynę. Mniej więcej trzydzieści, albo i czterdzieści. Starczy miejsca na nie?

— Oczywiście — odpowiadał Satowski — musi starczyć.

— No tak, ale na pomoście będą dziesiątki innych mechanizmów: wyciągi, reduktory, pompy i różne różności. Boję się, żeby mi nie usunęły na dalszy plan moich motorów.

— No pewnie, elektryka obchodzi tylko motory — mówił z uśmiechem Satowski. — A wyciągi można zawiesić na suficie, nic by was to nie obeszło. W tym właśnie sek. mój drogi, żeby uzyskać wartość wszystkich części. Nasz pomost ma przecież zaledwie 200 metrów kwadratowych. Walczcie o oszczędność. Ścieśnijcie elementy, dużo miejsca dać silownikom.

Zafasrowany Borysov wracał do swego biura „walcząc o oszczędność”, przy biurku zaś zjawiał się metalowiec Winokurski.

— Czy wiecie, kolego — wolał wzburzony — jakich lin potrzeba? Nie? A ja obliczyłem. Siła na rwanie 200 ton. Wiecie, jaka to średnica? Pięćdziesiąt milimetrów! A będziemy przecież potrzebowali kilka kilometrów takich lin.

KRÓLOWA MASZYN — KOPARKA KROCZĄCA

Przed konstruktorami stało zadanie, któremu nie łatwo było poddać: jak najszybsze zbudowanie maszyn o niesłychanej dotychczas wydajności. Taką maszyną jest przede wszystkim krocząca koparka — wysoki na 30 metrów gigant metalowy. Koparka waży 1100 ton, jej stutonne ramię mierzy 65 metrów, a w czerpaku mieści się 14 metrów sześciennych ziemi. Jeden tylko dźwąg waży 15 ton, a schody wzdłuż ramienia są 70-metrowe. Maszynownia koparki dorównuje swą wielkością trzypięciopięciomietrowej koparce, którą trzymają dwa silniki elektryczne, które wytwarzają w maszynie moc 7 tysięcy kilowatów, zdolną zaopatrzyć w energię elektryczną duże miasto. Rozmontowana koparka zajmuje 100 wagonów.

Przesuwanie takiego kolosa wymagało każdorazowej rozbiórki, koparka kroczy więc sama. W jaki sposób? Pojęcie kroczenia nasuwa zapewne każdemu „laikowi”: myśl o olbrzymich kołach, lub o gąsienicach, jak w czołgu. Nic podobnego! Maszyna spoczywa na pływce oporowej o średnicy 12 metrów. Przesuwa się co pewien czas przy pomocy dwóch osiemnastometrowych nart stalowych, które wysuwają się naprzód i przyjmują na siebie chwilowo ciężar całej konstrukcji. Każdy „krok” jest piętnastometrowy. Sposób poruszania się koparki jest konsekwentnym wynikiem jej rozmia- rów, dokładniej mówiąc — jej ciężaru. Ani koła, ani gąsienice nie byłyby dość pewnym dla niej oparciem na lekkich gruntach; a musi przecież być uniwersalna.

Lecz zasadnicza osobliwość maszyny polega nie na kroczeniu, lecz na jej sile, na jej zdumiewającej wydajności: dzienne wydobywanie przez nią gruntu wyraża się cyfrą 13—15 tysięcy metrów sześciennych. Już w 48 roku koparki radzieckie zastąpiły 400-tysięczną armię robotników, wyzwołyły tysiące specjalistów: mechaników, zoferów, mechaników, i dały państwu miliony rubli oszczędności.

Po Plenum Związku Literatów

W dniach 20 — 21 bm. obradowało w Warszawie Plenum Zarządu Głównego Z. L. P. poświęcone sprawom tematyki w literaturze. Obrady poprzedziła uroczystość udekorowania Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski i zastużonego twórcy książek dla młodzieży — Władysława Umińskiego. W imieniu Prezydenta dekoracji dokonał min. Dębowski. Sędziwy jubilat, obchodzący 70-cio lecie swej twórczości, wzbudził gorące wzruszenie zebranych, opowiadając o ciężkich warunkach pracy pisarskiej w kapitalistycznej przeszłości i wyraził wdzięczność dla troskliwej opieki Rządu Polskiego Ludowego, która umożliwiła mu dalszą twórczość wolną od trosk bytowych. Ustami Władysława Umińskiego najstarsze pokolenie pisarzy polskich wyraziło na Plenum radość służenia swym piórem rozwojowi Ludowej Ojczyzny.

Następnie sekretarz generalny Związku Literatów Polskich J. Putrament wygłosił referat pt. „O niektórych zagadnieniach tematyki współczesnej w naszej prozie dwóch lat ostatnich”, którego fragmenty drukowaliśmy w poprzednim numerze „Nowej Kultury”.

W drugim dniu Plenum wygłosiło referaty min. W. Sokorski — o sytuacji w dramaturgii polskiej, o słusznym i błędnych stronach polityki teatralnej, oraz A. Ważyk — o aktualnych zagadnieniach naszej prozy. Pierwszy z nich znalazł czytelnik w niniejszym numerze „Nowej Kultury”, drugi wraz z wybornym głosem dyskusyjnych opinii w numerze następnym.

Obszerna dyskusja, w której wypowiedziało się dwudziestu kilku mówców, naświetliła szereg istotnych problemów pracy pisarzy.

Nawiązując do referatu J. Putramenta wielu dyskutujących (C. Bobińska, M. Kierczyńska, G. Lasota i in.) stwierdziło, że jedną z przyczyn słabości literatury jest niedojrzałość ideowa tych autorów, którzy bez własnego przekonania zgadzają się na poprawki redakcyjne w ich utworach. Należy wzmocnić odwagę autorską w obronie własnego zdania — jeżeli o jego prawdziwości pisarz jest głęboko przekonany, należy głęboko przemysleć wprowadzane zmiany — jeżeli krytyka wydawnicza jest słuszna.

Wezwanie do przedstawiania ostrej, niewyśminkowanej i pięknej prawdy naszych dni — oto dominanta dyskusji na Plenum. Wyświetlenia radzieckiej krytyki przeciwko teorii „bezkonfliktowości” powinny być dla naszych pisarzy przykładem odważnego i dojrzałego stawiania zagadnień współczesności.

Zbyt mało było na Plenum głosów mówiących o różnorodnych doświadczeniach terenowych pisarzy. Wskazuje to na niedostateczną wciąż jeszcze więź pisarzy z życiem narodu. Niejedni z nich żyją w zamkniętym środowisku literackim. Niejedni — ogranicza swą rolę w terenie do postawy biernego obserwatora. Aktywny udział pisarzy w życiu i pracy opisywanych środowisk — to lepsza, wyższa forma bogatą prawdę ludzkich stosunków i konfliktów można poznać tylko w toku praktycznej działalności. O ten styl pracy nawoływali St. R. Dobrowolski, K. Koźniowski, S. Szmagłewska i in. Związek Literatów musi również zapoczątkować w swych sekcjach twórczych szerokie dyskusje z czytelnikami. Głos przedstawicieli robotników — łódzkiego wótkniarza Herbicha, który wezwał pisarzy do głębszego wnik-

nięcia w życie i w psychikę człowieka pracy — przyjęty został gorącymi oklaskami.

Pomimo stale wzrastającej ilości książek o współczesności — nie podjęte zostały przez pisarzy niektóre niezwykle ważne tematy naszego życia. Do podjęcia tematyki bohaterstwa dziejów Ludowego Wojska i jego wielkiej „pohojowej” pracy nad wychowaniem nowego człowieka — wzywali red. W. Zatorska, W. Przymanowski i B. Hamera. O przedstawienie zwycięskiego trudu polskiego życia na Ziemiach Odzyskanych upominał się B. Hierowski i S. Szmagłewska. Na brak książek ukazujących szeroki start naszej młodzieży do prawdziwego i kulturalnego życia — wskazywała M. Kierczyńska. W ogóle sprawa literatury młodzieżowej, nie otoczony dotychczas dostateczną opieką ze strony Związku Literatów, wymaga poważnej troski i uwagi. Wskazywano również na konieczność bogatszego nasycenia książek treściami światopoglądowymi (K. Wyka, A. Polewka, A. Wasilewski). Dyskusję podsumował Jerzy Putrament.

Plenum uchwaliło rezolucję, która powinna zabezpieczyć realizację wysuniętych postulatów organizacyjnych.

Pisarze złączeni troską o dobro polskiej literatury budownictwa socjalistycznego nie mogli nie zapretować przeciw ciemnym siłom ujarzmiającym życie innych narodów i grożącym naszej niepodległości. Plenum przyjęło tekst rezolucji protestującej przeciw uwięzieniu Jacques Duclos, zgłoszonej przez Adolfa Rudnickiego, oraz rezolucji przeciw amerykańsko - hitlerowskiemu układowi ogólnemu, którą zgłosił Arkady Fiedler (teksty rezolucji patrz str. 7).

Roman Bratny

— To dobrze. Pięćdziesiąt milimetrów, powiadacie? Pytano mnie właśnie, jakiej szerokości robić bębny do lin. Teraz można obliczyć. A co do lin samych, nie martwiecie się. Jeśli zajdzie potrzeba — zrobią liny i na tysiąc ton. — Satowski mówił z taką pewnością, że Winokurski uspokajał się prawie.

— Ale jednak, kolego, jak zrobić takie liny?

— Tego jeszcze nie wiem — odpowiadał Satowski. Po to właśnie pracujemy, żeby dowiedzieć się — jak zrobić liny, i jak motory, i jak wszystko pozostałe. Gotowych rozwiązań nie ma. Trzeba je znaleźć.

Pewnego razu grupa konstruktorów zebranych przy biurku Satowskiego dyskutowała zawzięcie o motorach elektrycznych. Nagle Jasieniew spytał z namiętnością:

— Ciekawe, jakiej wielkości będzie znak fabryczny na takim kolosie?

Satowski szybko obliczył coś na suwaku.

— Jeżeli brać proporcjonalnie do wielkości maszyny, to wysokość znaku wyniesie półtora metra, a szerokość — cztery. Może być oczywiście i mniejszy, ale wtedy trudniej będzie go dostrzec.

— Ileż to będzie ważył?

— Blisko dwieście kilo.

Kubaczek wyraził wątpliwość, czy warto zużywać taką masę metalu na znak fabryczny. Satowski zaproponował:

— Na tym nie ma co oszczędzać. Postawimy go na karoserii — wysoko. Niech wszyscy z daleka widzą, że to „Uralmasz”, a nie co innego.

W bardzo bliskiej przyszłości miało się okazać, że „Uralmasz” ma słuszny powód do dumy. We wrześniu 1951 roku W. Jermolenko, maszynista koparki wyprodukowanej w Nowo-Kramatorsku, wystosował list otwarty do kolektywu zakładów. Wskazywał w nim na szereg braków w konstrukcji maszyn (wadliwe funkcjonowanie hamulców, nietrwałość łańcuchów i lin, trzymających czerpak), udawał, że te niedociągnięcia powodują przestoje, dochodzące do setek godzin w ciągu roku. I stawiał nowo-kramatorcom za wzór koparki „Uralmaszu”, pracującą bez zarzutu. Jermolenko nie ograniczył się do krytyki, wysunął również projekt, potrzebnych usprawnień. Rzec jasna, wskazówki jego zostały przyjęte przez zespół zakładów z uwagą i wdzięcznością. Zastosowano się do nich i wykorzystano je, co wpłynęło znakomicie na sprawność produkowanych maszyn. Przytoczony wypadek nie jest zjawiskiem odosobnionym. Na przykładzie koparki najlepiej można ocenić znaczenie racjonalizatorskiej inicjatywy robotników. Weźmy chociażby dla przykładu rok 1950: trzy tysiące dziewięćset zgłoszonych wniosków racjonalizatorskich usprawniło w ogromnym stopniu działanie koparek i dało państwu 42 miliony rubli oszczędności.

Pracować zupełnie nową konstrukcją ramienia: lekka, a jednocześnie wytrzymała?

Zrezygnowawszy ze wzorów amerykańskich (w kopalniach karpieńskich pracowały wówczas amerykańskie koparki linowe z 3-tonowym czerpakiem i 37-metrowym ramieniem) — konstruktorzy radzieccy postanowili szukać nowych dróg. Winokurski poleciał do Moskwy na konsultacje w sprawie duralumini-um i przywiózł ze sobą: specjalistów boją się polecieć ramię z duralu. Nawet w samolotach nie ma takich materiałów, jakie będą w ramieniu koparki. Nity na przykład muszą być co najmniej calowe, a to rzecz całkiem niesłychana dla duralu. W dodatku dural jest kosztowny. Trzeba będzie, zdaje się, robić ramię stalowe, cięższe.

Przedstawiciele „Uralmaszu” rozjechali się w różne krańce kraju: do Leningradu, Moskwy, Gorkiego, Czelabińska, gdzie trzeba było „zamawiać pompy, hamulce pneumatyczne, liny, łańcuchy, rury. Satowski i Borysow wyjechali do Charkowa w sprawie zamówień na motory elektryczne. Gdy wrócili po kilka tygodniach do Swierdłowska, konstruktorzy powitali ich entuzjastycznie: jest już pięć wariantów ramienia!

— Nie rozumiem, z czego się cieszyacie — powiedział Satowski. — To przecież bardzo źle. Po co nam pięć ramion? Potrzebne jest jedno ramię. A wyjście wywleki z podręczników wszystkie warianty, jakie tylko były. Po co?

— Wy, kolego, jesteście wiecznym malkontentem. Nie można wam niczego dogodzić.

— Nie, ale nie lubię kiedy pracuję się dla archiwum. Opowiedzcie lepiej co z hydrauliką, jak liny, dźwigi, konstrukcje metalowe?

Okazało się, że w ciągu ubiegłych tygodni zrobiono wiele. Zaczęły się pomosty, płyta oporowa i inne punkty węzłowe. I ujęło się projektowanie mechanizmu kroczenia.

Satowski opowiedział o swej podróży.

— Kiedy wyjeżdżałem, zaopatrzeniowcy mówili, że namiętnym się z zamówieniami, że niby dostawcy nie podejmą się takich skomplikowanych, nieseryjnych zadań. A okazało się, że fabryki biją się dosłownie o nasze zamówienia. Wystarczy opowiedzieć w kilku słowach, jaką budujemy maszynę — podać kilka cyfr — i ludzie zapalają się natychmiast. Możecie uważać, powiadają, że ważne zamówienie jest już wykonane. Jednym słowem, nasza koparka krocząca przypada wszystkim do serca.

Po powrocie z Charkowa Satowski zabrał się do ramienia. Ostatnio

gnębiło go to bez przerwy. Często, przemykając czy, wywoływał przed sobą kształt przyszłej maszyny. Zarysowywała się dość wyraźnie — były już i narty, i karoseria, i nawet przezroczysta od obfitych szkła kabina maszynisty. Nie było tylko ramienia. I Satowski tracił dobry humor przez to, że nie wiedział dotychczas, jakie ono ma być. Dural odpadł. Po długich debatach odpadły i inne warianty. Wtedy Winokurski wpadł na nowy pomysł. Gdy wracał z Moskwy, pociąg wtoczył się na most i jak gdyby zawisnął nad Wołgą. I Winokurski przypomniał sobie nagle, że w niektórych mostach robi się obecnie przęsła z rur — najnowszym osiągnięciem techniki. Rury! Zrobić ramię koparki z rur! Myśl była tak niezwykła i zuchwała, że Winokurski na razie nie zwierzał się z niej nikomu, tylko przesiadywał w tajemnicy nad obliczeniami. Obliczenia potwierdziły, że można zrobić ramię z zwykłych rur stalowych. Trzeba tylko obciągnąć je dla umocnienia ze wszystkich stron linami, jak maszt na żaglowcu.

...Nastąpił dzień, gdy zebrana rada techniczna konstruktorów: należało powziąć decyzję co do pomysłu Winokurskiego, a w „Uralmaszu” wszystkie odpowiedzialne i ważne sprawy rozważały tradycyjnie cały kolektyw. Padły głosy „za” i „przeciw”. Ostatnie słowo należało do Satowskiego. Winokurski wpatrywał się w niego niespokojnym, błagalnym wzrokiem. Wszyscy czekali na decyzję. Satowski odczuł nieomal fizycznie brzemień spoczywającej na nim odpowiedzialności. Na jedną chwilę błysnęła kusząca myśl: „Czy nie lepiej wzięć wypróbowaną konstrukcję? To byłoby pewniejsze —

żadnego ryzyka”. I zaledwie tak pomyślał, zrozumiał, że koparka musi otrzymać nowe ramię. Wstał i powiedział:

— Jestem za projektem nowego ramienia, z rur.

Głosowanie formalnie tylko zatwierdziło tę decyzję, w której było o wiele więcej odpowiedzialności, niż władzy.

Wszystkie trzy wymiary koparki wyrażają się w dziesiątkach metrów. Jak ruszyć z miejsca taką masę metalu? Znane są wypadki, że przesuwało wielopiętrowe domy (a koparka nie ustępuje im bynajmniej w wielkości), ale i to nie daje się porównać z zadaniem, jakie mieli przed sobą konstruktorzy. Koparka miała chodzić na zawołanie, i to na dość duże odległości. Istniały już oczywiście konstrukcje kroczenia, ale ich konstrukcja nie mogła z wielu względów zadowolić twórców giganta. Isajew i Satowski wysunęli pomysł kroczenia systemem hydraulicznym — na zasadzie zamiany energii ciśnienia płynu pędnego na energię mechaniczną. Ta myśl spotkała się z sprzeciwem wielu wybitnych specjalistów: koparka miała kroczyć o jednej parze cylindrów, co okazało się rzeczywiście niemożliwe. Wtedy Isajew zaproponował dodanie jeszcze jednej pary cylindrów. Pomysł udoskonalał się stopniowo. W decyzyjnych fachowców słowo „niemożliwe” już nie istniało. I oto koparka ruszyła — na papierze. Odbywało się to tak:

Cylindry pomocnicze wypychają swoje tłoki; połączone z nimi narty idą naprzód i opierają się o ziemię. Główne cylindry zajmują przy tym położenie pionowe. Ciśnienie w nich stopniowo wzrasta. Następuje wreszcie moment, gdy siła ciśnienia oleju pędnego w głównych cylindrach pokonuje ciężar maszyny. Koparka płynie i cicho odrywa się od ziemi. Zaczynają działać cylindry pomocnicze. Podciągają uniesioną maszynę ku sobie. Ciśnienie stopniowo spada. Krok zrobiony.

I przyszedł wreszcie dzień, gdy w biurze konstruktorów, w wąskim przejściu między biurkami, zaczął się poruszać model koparki. Dziesiątki oczu śledziły go z zaciekawieniem. Isajew i Satowski schylieni szli krok w krok za nim. Z obu przednich cylindrów powoli wypęły podobne do trzewików tłoki, utkwały w ziemi i niska popielata karoseria odrywała się od podłogi. Tłyna para cylindrów podciągała cały model do siebie i malenka maszyna, cofając się powolutku, przepelzała na nowe miejsce i opuszczała się.

Przez cały dzień w biurze gromadziły się tłumy ludzi — przychodzili

technologowie, konstruktorzy, pracownicy innych oddziałów, dyrektor zakładów i partorg.

Koparka rzucała się niezgrabnie na wszystkie strony, przysiadła niekiedy na jednej nodze, w cylindrach chłupotało coś i szczało. Trzeba było wielu jeszcze ulepszeń, ale model kroczył jednak w tył i w przód po korytarzu.

System hydrauliczny działał.

MYŚL URZECZYWIŚNIA SIĘ W METALU

Projekt techniczny jest gotów. Razem z planami, rysunkami, opisami i obliczeniami waży 100 kilogramów. Obejmuje on całość kroczącego giganta do najmniejszych „drobiazgów”, jakimi są dla niego wielkie reflektory i radiostacja, i miękki fotel dla maszynisty. W pracy wielkiej nie ma „drobniostek”. Pyszczekolne punkty obrzynień maszyny połączone telefonami, dziesięć kilometrów kabla skupia władzę nad maszyną w rękach jednego człowieka. Cała instalacja wmontowana będzie wewnątrz pomostu, na tablicy rozdzielczej znajdzie się tylko kilka guzików i dźwigierek. Przewidziano wszystko, co zapewni maksimum wygod ludziom, obsługującym maszynę.

Przed kolosem leży długa wędrówka po oddziałach fabrycznych. Myśl konstruktorów urzeczywistnia się w metalu dzięki zwinnym rękóm modelarzy, stalowników, odlewników, kowali, tokarzy, frezerów, strugaczy i szlifarzy. Tu, przy warsztatach, powstają nowe rekordy, mistrzowie uralscy ponoszą sławę swej pracy. Tu znajdują zastosowanie najnowsze zdobycze techniki: odlewanie ośrodkowe, hartowanie części metalowych przy pomocy elektryczności, spawanie autogenem, sprawdzanie szwów stalowych w laboratoriach rentgenowskich.

Gotowe części idą do montażowni. Tu ożyją i zaczną się poruszać. Wszystko to są ognia jednolitego procesu, który zapoczątkowało przed półtora rokiem pociągnięcie grafionem.

Zbliża się dzień 70 rocznicy urodzin generalissimusa Stalina. Kolektyw „Uralmaszu” postanawia skończyć maszynę na rok przed wyznaczonym przez państwo terminem — jako podarunek urodzinowy dla Wołdy. Wykonać to zobowiązanie będzie bardzo trudno, ale czyż podejmowano by się rzeczy łatwych dla uczczenia takiego dnia? I każdy pracownik „Uralmaszu” trzusi się, nie szczedząc ręk, aby dotrzymać obietnicy.

Piętą trudności. Na przykład pomost. Jest to gęsta siatka przecinających się bel stalowych, kryta od góry i od dołu. W środku tej olbrzymiej konstrukcji trzeba wyciąć otwór — oś obrotu koparki. Na górnej powierzchni pomostu będą dziesiątki motorów i całe „gospodarstwo” koparki. Jak znaleźć sposób obróbki takiego pomostu? Spawanie, do którego zużyto 5 ton samych elektrod, to dopiero połowa roboty. Jak wyciąć z niezwyklej dokładnością otwory pod montaż mechanizmów? Przystawić spojony pomost do obrabiarki? Tak chcieli zrobić z początku. Okazało się jednak, że nawet uralmaszowskie unikalne obrabiarki nie poradzą takimi kolosami. W dodatku obróbka miała potrwać 10 dni. A więc na 10 dni trzeba byłoby dosłownie zawalić oddział olbrzymią ścianą metalową — a jak przejść, jak korzystać z dźwigów?

I oto grupa technologów, pod kierownictwem Lubimowa, wysunęła śmiały projekt: najpierw trzeba przeprowadzić obróbkę pomostu, w częściach, a potem dopiero montować go. Tę prostą na oko propozycję ocenili konstruktorzy wręcz negatywnie. Bo jak osiągnąć wtedy wymaganą dokładność? Na to pytanie technologowie nie umieli odpowiedzieć.

Głos zabrał naczelny inżynier zakładów Samojłow. Jego myśl była dozwolna i prosta. W fundament montażowni wiano półtorametrowe filary betonowe, przepuszczono przez nie metalowe szworznie. Ułożony na tych filarach pomost wyglądał jak olbrzymi niski stół. Odległość między szworzniami obliczono z dokładnością do setnych części milimetra i szworznie stały się jak gdyby znakami trygonometrycznymi, według których sprawdzano dokładność wycinanych otworów. Teraz nie trzeba już być przystawiać pomostu do unikalnych obrabiarek. Otwory cięły zwykłe wiertarki, ustawione na pomostcie.

Ale nowa maszyna miała to do siebie, że po rozwiązaniu jednego problemu wyłaniały się dziesiątki innych, bynajmniej nie łatwiejszych do rozwiązania. Problem ścinania krawędzi: siła nośna dwóch dźwigów w przęśle równała się stu tonom. pomost zaś ważył 150 ton. Głowili się nad tym inżynierowie i konstruktorzy, a wyjście z trudnej sytuacji znalazł monter konstrukcji metalowych Nikulin. Ustawiono cztery „kozły”, a w nich podpory. Na te podpory kładziono pomost. Dzięki temu ścinanie krawędzi trwało tylko jedną dobę. Gdyby nie pomysł Nikulina, koparka nie byłaby gotowa na czas. Nie byłaby również gotowa, gdyby nie inicjatywa dziesiątków robotników — racjonalizatorów. To oni znajdowali niejednokrotnie wyjście tam, gdzie inżynierowie stawali bezradni. Jednym z takich racjonalizatorów był w „Uralmaszu” Turunczew, który uratował w krytycznym momencie honor zakładów. 15 grudnia z kuźni zameldowano, że obróbka mechaniczna ramienia potrwa 8 dni. Winokur-

ski szalał: — Czemu nie dopilnowano kowali?! — Jak mu tu wyperswadować, że to nie wina kowali, że dostawcy spóźnili się o dwa tygodnie z dostawą 600 ton metalu. Co to za wytłumaczenie? Nie można przecież napisać w meldunku, że koparka gotowa, z wyjątkiem ramienia, na które nie przysłano materiału. Koparka jest pozaplanowana, dostawcy nie wytrzymali tempa „Uralmaszu”, chociaż reszta metalu (około 700 ton) dali również ponad plan. Winokurski krzyczy: — Gdzie byli ci faceci z zaopatrzenia?! — Odpowiadają mu, że zaopatrzeniowcy jeździli specjalnie, przywieźli metal wprost z walcowni. — Lepiej, żeby wcale nie przywozili! — warczy Winokurski.

Co tu robić, co robić? Inżynierowie chodzą jak struci. Poszli po radę do inżyniera naczelnego, ten każe wszystkim myśleć i dał termin — 2 godziny na myślenie i martwienie się. — Jeżeli nie wam do głowy nie przyjdzie, to sam podpowiem — powiedział — ale to już będzie niedobrze.

Myślą inżynierowie i myślą. Przychodzi partorg Owsiannikow i pyta, jakby o niczym nie wiedział: — Macie jakieś zmartwienie? — Opowiadają mu.

— A w oddziałach byliście? Radziliście się robotników?

— Nie... Zebraliśmy najlepszych konstruktorów i technologów...

— Widzę. A gdzie najlepsi robotnicy? Pamiętajcie, że bez nich reprezentujecie tylko teorię. Idźcie do oddziału, tam pracuje Turunczew. On wam coś poradzi. Nir siedźcie tu jak w klatce, nie żonglujcie numerami zamówień i nazwami elementów; pomyślcie lepiej o tym, że za tym wszystkim kryją się ludzie, nasi robotnicy radzieccy.

Poszli do Turunczewa.

— Oho! — powitał ich ze śmiechem. — Cały dzień mam gości. Był naczelny inżynier, był jeden i drugi partorg, teraz wy...

Krótko mówiąc, Turunczew podjął się obtoczyć ramię w ciągu dwóch dni, zamiast ośmiu. I zrobił to w bardzo prosty sposób: aby nie obracać ramienia z jednego końca na drugi — trwałoby to za każdym razem przynajmniej 8 godzin — Turunczew manewrował tylko częściami swojej tokarki. Ramię pozostawało nieruchome, zawieszono na dźwigach. Inżynierowie i technologowie nie chcieli wierzyć własnym oczom, gdy pod koniec zmiany weszli do oddziału, a Turunczew spokojny, uśmiechnięty, pałąc papierosa pokazał im, że połowę roboty już wykonał.

W montażu 20 tysięcy elementów koparki brał udział cały „Uralmasz” i dziesiątki innych zakładów przemysłowych, które przysyłały wykonane zamówienia. Instalację elektryczną dla koparki robiło 18 zakładów. Konstruktorzy — elektrycy dowodzili cudów, projektując i wykonując w ciągu niespełna roku motory elektryczne o olbrzymiej mocy i zupełnie nowej konstrukcji. Tu, przy montażu, jednoczył się wysiłek tysięcy ludzi radzieckich konstruktorów, technologów i robotników. Dniem i nocą płonęły w przeszłach błękitne ognie aparatów spawalniczych. Budowa kanału Wołga—Don, dla którego przeznaczona była koparka, już się rozpoczęła. W montażowni wisiał olbrzymi, na całą ścianę, portret Stalina i z najodleglejszego zakątka hali każdy robotnik widział twarz człowieka, któremu poświęcał swą pracę.

PROBA

A teraz próba maszyny. Czy wszystko dobrze zamontowane? Czy nie ma błędów? „Uralmasz” denerwował się. Na próbie przyszli wszyscy z dyrekcji, a tego Satowski obawiał się najbardziej.

Nie było powodu do triumfu: w sieci elektrycznej nastąpiło kolejno kilka krótkich spięć, na jednym z motorów przepały się szczytki. Usunięcie braków trwało jakiś czas, wreszcie motory zahaczyły, włączono dźwigi, reduktory, przyszła kolej na hydrauliczną. Satowski podszedł do tablicy rozdzielczej i śmiało nacisnął odpowiednie guziki. Ale odwrócić się w stronę cylindrów nie miał odwagi. Ktoś krzyknął:

— Wyłącz!

Cylindry nie drgnęły ani na milimetr. Z wielu rur szczyły się olej, w jednym miejscu buł tustym brązowym strumieniem, opisując wielki łuk.

Satowski i Isajew przez całą dobę laźli i czoiłali się po rurach, zmieniając uszczelki i kołnierze, sprawdzając swaki rozrządce. Nazajutrz próbowano znowu. Cylindry zaczęły opuszczać się powoli, ale wkrótce stanęły.

I znowu chodzili wszyscy z ponurymi minami i majstrowali przy urządzeniach hydraulicznych. Cylindry nie podnosiły się. Doprowadzanie hydrauliki do należytego stanu

przeciągnęło się do 21 grudnia rano. I oto koparka ruszyła. Cylindry zaczęły poruszać się w górę i w dół, bez halasu prawie.

Zebrani w sztabie konstruktorzy, technologowie i robotnicy pisali raport do dyrekcji: „Meldujemy, że zespół montażowy kroczącej koparki zakończył montaż i próby wszystkich mechanizmów maszyny, jak również montaż instalacji hydraulicznej. Zobowiązanie, powzięte dla uczczenia 70 rocznicy urodzin towarzysza Stalina — wykonaliśmy.”

Tego samego dnia ze Swierdłowska wysłał o samolotem do Moskwy model koparki, w 25-krotnym zmniejszeniu. Model chodził, podnosił czerpak, odwracał się i może nawet wykopał rów średniej wielkości: długość ramienia wynosi 3 metry. Umieszczono go w sali podarunków dla towarzysza Stalina.

W wigilię Nowego Roku „Uralmasz” zęgnął się ze swą koparką. Tysiące ludzi zebranych wzdłuż toru wydawało podniecone okrzyki:

— Patrzcie, płyta oporowa!

— A to wieniec koła zębatego!

Każdy poznawał wykonane przez siebie elementy. Ktoś mówił:

— A to mój wał. Ja go obtaczałem...

„Uralmasz” był wzruszony.

Aby dostarczyć koparkę na miejsce robót, trzeba było zbudować nową linię kolejową. Transporty zatrzymały się w głuchym stepie, w pobliżu miasta Krasnoarmiejsk. Wkrótce w stepie wyrosło miasteczko. Maszynę złożono. Trwało to długo: wznoszono ją, jak wznosi się dom.

A potem żelazny kolos uczył się chodzić jak małe dziecko. Po tygodniu poszedł sam na trasę przysięśnego kanału. I tu, jak wszędzie dokąd, był jałowy step. Olbrzymi czerpak, w którym zmieściłby się z łatwością samochód ciężarowy, osunął się miękko na trawę i nagle, rozdzielając ziemię półmetrowymi zębami, prując ją jak dziób okrętu pruje wodę, zaczął pełznąć, pozostawiając za sobą długi ślad — zastygłe fale przeoranej ziemi.

GIGANT PRACUJE...

W październiku 1951 roku koparka EK-14-65 miała już za sobą kilometry prawie gotowego koryta. Każdego dnia na trasie kanału wydobywano 150 tysięcy metrów sześciennych ziemi, układano 2—3 tysiące metrów sześciennych betonu, wbijano setki pali. Ale tego było mało. Aby zdążyć na termin z uruchomieniem kanału, trzeba było pracować jeszcze szybciej, robić jeszcze więcej.

„Wczesnym rankiem na koparkę krocząca przyszła kolejna zmiana. Kierownik Plechanow wszedł do kabiny i zapisał w dzienniku, który nie bez pewnej słuszności nazywano żartobliwie „okrętowym”, że zmiana przystąpiła do pracy. W dzienniku „okrętowym” zapisywano wszystko, co odbywało się na koparce. Z notatek wynikało, że maszyna kopie kanał o głębokości blisko 20 metrów, że przerabia grunt czwartej kategorii — glinę kamienną, i że praca odbywa się bez pomocy transportu. Po tych wstępnych danych Plechanow postawił datę — 18.X.51 — i wpisał skład załogi: Plechanow — kierownik zmiany, Klujew — pierwszy majster, Korablow i Pirozenko — pomocnicy majstra i Łosiew — majster elektryk. Następnie Plechanow zapisał nazwę czynności, którą miała przede wszystkim wykonać maszyna — kroczenie, i spojrzął na oszkloną ścianę kabiny. Mogło się wydawać, że nocą ktoś wstał w rami białe matowe szkło. Nic nie było widać — wszystko z zewnątrz zasłaniała mgła. Z jej powodu nocna zmiana miała godzinny prawie przestój, mimo to jednak wyrzuciła 563 czerpaki, zamiast 500 przewidzianych w planie.

MATERIAŁY

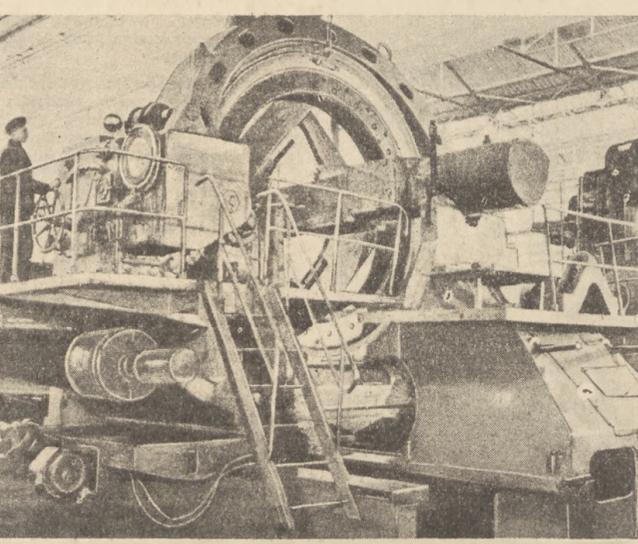
Anatolij Zlobin — „Kroczący gigant”, „Na dziale wodnym”.

Konstanty Paustowski — „Narodził się morza”.

Piotr Nikitin — „Na Wołgo-Donie”.

Tygodnik — „Znamie-siła”, „Ogonok”, „Smiena”, „Lit. Gazeta” z dn. 11 IX i 6 X — 1951.

„Techniczeskij sprawozcznik”, tom II.



Przy produkcji poszczególnych części koparki pracują specjalne obrabiarki oryginalnej konstrukcji

Przebiegłszy przez całą dobę laźli i czoiłali się po rurach, zmieniając uszczelki i kołnierze, sprawdzając swaki rozrządce. Nazajutrz próbowano znowu. Cylindry zaczęły opuszczać się powoli, ale wkrótce stanęły.

I znowu chodzili wszyscy z ponurymi minami i majstrowali przy urządzeniach hydraulicznych. Cylindry nie podnosiły się. Doprowadzanie hydrauliki do należytego stanu

przebiegłszy przez całą dobę laźli i czoiłali się po rurach, zmieniając uszczelki i kołnierze, sprawdzając swaki rozrządce. Nazajutrz próbowano znowu. Cylindry zaczęły opuszczać się powoli, ale wkrótce stanęły.

I znowu chodzili wszyscy z ponurymi minami i majstrowali przy urządzeniach hydraulicznych. Cylindry nie podnosiły się. Doprowadzanie hydrauliki do należytego stanu

przebiegłszy przez całą dobę laźli i czoiłali się po rurach, zmieniając uszczelki i kołnierze, sprawdzając swaki rozrządce. Nazajutrz próbowano znowu. Cylindry zaczęły opuszczać się powoli, ale wkrótce stanęły.

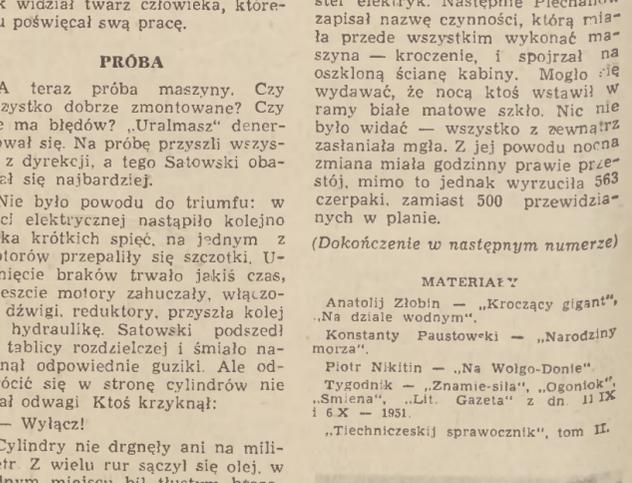
I znowu chodzili wszyscy z ponurymi minami i majstrowali przy urządzeniach hydraulicznych. Cylindry nie podnosiły się. Doprowadzanie hydrauliki do należytego stanu

przebiegłszy przez całą dobę laźli i czoiłali się po rurach, zmieniając uszczelki i kołnierze, sprawdzając swaki rozrządce. Nazajutrz próbowano znowu. Cylindry zaczęły opuszczać się powoli, ale wkrótce stanęły.

I znowu chodzili wszyscy z ponurymi minami i majstrowali przy urządzeniach hydraulicznych. Cylindry nie podnosiły się. Doprowadzanie hydrauliki do należytego stanu

przebiegłszy przez całą dobę laźli i czoiłali się po rurach, zmieniając uszczelki i kołnierze, sprawdzając swaki rozrządce. Nazajutrz próbowano znowu. Cylindry zaczęły opuszczać się powoli, ale wkrótce stanęły.

I znowu chodzili wszyscy z ponurymi minami i majstrowali przy urządzeniach hydraulicznych. Cylindry nie podnosiły się. Doprowadzanie hydrauliki do należytego stanu



Koparka krocząca przy pracy nad budową kanału Wołga — Don

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

Osiągnięcia i trudności współczesnej dramaturgii*

W walce o sztukę realizmu socjalistycznego dramaturgia stanowi ognio w poważnym stopniu decydujące o przyszłym obliczu literatury polskiej, stanowi rodzaj literacki specjalnie trudny, posiadający własną konwencję i własne prawa działania słowa, wypowiedzianego ze sceny do milionów ludzi.

Wystarczy powiedzieć, że frekwencja w naszych teatrach zawodowych wynosi 9,5 miliona widzów rocznie. Ze sztuki festiwalowe na scenach teatrów amatorskich oglądało przeszło 5 milionów widzów. Ze w oparciu o Domy Kultury, kluby fabryczne i świetlice wiejskie, sztuka sceniczna dociera do najodleglejszych zakątków naszego kraju i staje się przeżyciem politycznym i artystycznym nawet najbardziej zafascynowanych grup ludności, a często staje się punktem wyjścia prawdziwego przełomu ideologicznego.

Niedawno byłem świadkiem przedstawienia teatralnego sztuki współczesnej, granęj dla widowni wiejskiej. Tuż za mną kilka dziewcząt, pierwszy raz będących w teatrze, podawało w wątpliwość realność ludzi, występujących na scenie. Niezależnie jednak od tych czy innych niedostatków sztuki proces wciągania widowni w jej akcję był dostojnym procesem przełomu politycznego, który w psychice ludzi zachodził w trakcie spektaklu dość słownie w moich oczach. Tego prze-

* Referat wygłoszony w dn. 21 VI na Plenum Związku Literatów Polskich.

życia nie mogłaby zastąpić danej widowni ani gazeta, ani artykuł, ani praca propagandysty, czy też nawet żmudna, codzienna działalność organizacji partyjnej.

Gdy z tej perspektywy obiektywnej znaczenia sztuki teatralnej i jej wychowawczej roli w stosunku do społeczeństwa spojrzymy na dwuletni dorobek polskiej dramaturgii współczesnej, to musimy stwierdzić, niezależnie od wszystkich późniejszych uwag krytycznych, że powstanie polskiego współczesnego dramatu politycznego jest bezspornym faktem, więcej nawet, że odegrał on już poważną rolę polityczną, jako aktywny uczestnik w kształtowaniu świadomości szerokiej mas naszego kraju.

Tem samym zwrot, który dokonał się w polskiej dramaturgii w wyniku głębokich przemian w gospodarce i polityce naszego kraju w ciągu lat 1949 — 1952 stanowi ognio ogólnego procesu przechodzenia sztuki na pozycje realizmu socjalistycznego, a w życiu naszej literatury jest niewątpliwie nowym doniosłym wydarzeniem. Sztuki Kruczkowskiego, Tarna, Warmińskiego, Gruszczyńskiego, Pasternaka, Maliszewskiego, Rojewskiego, Lutowskiego i szeregu innych wytrzymały ogień próby zarówno teatrów zawodowych, jak i amatorskich wytrzymały trudną i złożoną próbę czasu, częściowo weszły na deski teatrów zaprzysiężonych republik i stworzyły trwałe i mocny fundament teatru politycznego w Polsce Ludowej.

W chwili obecnej nie chodzi nawet o to, że powstaje rocznie blisko 200 sztuk teatralnych, z których około 30-tu wejdzie i w obecnym roku na deski teatrów zawodowych. Znacznie poważniejszym wydarzeniem jest sam fakt powstania poważnego zjawiska polskiej dramaturgii współczesnej o szerokim wachlarzu ideowym — od sztuk ostro politycznych do prac, będących zdecydowaną próbą nowego, odkrywczego spojrzenia na rzeczywistość historyczną i rzeczywistość naszej epoki, myślę w tym wypadku zwłaszcza o dramatach Iwaszkiewicza, Brandstaettera i Korcella.

Stąd też wydaje mi się, że w oparciu o tak poważny dorobek pisarski i z perspektywy roku, który minął od słusznych nieraz dyskusji, żalów i słusznym nieraz pretensji festiwalowych, możemy spróbować podsumować plusy i minusy minionego okresu i spróbować nakreślić główne niedomaganie i aktualny profil bieżącej dramaturgii.

Ostry zwrot do współczesności, który zarysował się w latach 1950-52 ujawnił w pierwszym zwłaszcza okresie wszystkie braki ideologiczne tak polskiej literatury jak i polskich teatrów. Zwrot ten dokonywał się w procesie ostrej walki politycznej, zarówno wśród pisarzy jak i ludzi teatru, ściśle w sumieniu każdego pisarza i pracownika kulturalnego i teatralnego.

Zaostrzenie walki klasowej, przezwyciężenie błędnych teorii które nie doceniały przodującej roli proletariatu oraz jedności historycznej drogi

klasy robotniczej i narodu, walka nowego ze starym w przekroju konfliktów ostrych antagonizmów, a często jednocześnie już nieantagonistycznych, nie mogła ominąć ani warsztatu pisarza, ani warsztatu teatru. Pogłębiała trudności nieznajomość terenu, środowiska, ludzi i samego siebie. Ponieważ i samych siebie próbowałam nieraz nadaremnie oszukać deklaracyjnymi stwierdzeniami, obawą przed trudnościami demaskowania błędów i bólów współczesności, kłajstrem pozytywizmu „za wszelką cenę” i typowością przyjętych z góry schematów.

To był ten żywy miazg życia, w którym „stawała się” dramaturgia i współczesny teatr. Jeżeli do tego dodamy ludzi aparatu kulturalnego o różnym nieraz wyrobieniu ideowym i politycznym, szturchających zarówno pisarzy jak i teatr, nieporozumienia ideologiczne krytyki, błędy przeszłości i teraźniejszości w polityce kulturalnej oraz chytrą wroga, wykorzystującego każde nasze potknięcie. To oczywiście otrzymamy pełny obraz trudności tego pierwszego etapu.

Trzeba sobie otwarcie powiedzieć, że zwycięsko z tej próby wyszli tylko ci autorzy i tylko te teatry, które potrafiły w walce o socjalistyczną dramaturgię sięgnąć po obraz artystyczny, najbliższy niezafalszowanej prawdzie, którzy te prawdziwe pokazali nie tylko w procesie historycznego rozwoju, lecz w konkretnych, żywych, indywidualnie zarysowanych postaciach i konfliktach.

Umiejętność samoograniczenia się do wybranych z góry problemów i naświetlenia ich wielowymiarowością ludzkich wzruszeń i przeżyć, umiejętność nałożenia konfliktu osobistego na konflikt społeczny decydowała z reguły o powodzeniu lub niepowodzeniu sztuki, o jej zwycięstwie lub klęsce w teatrze zawodowym lub w teatrze amatorskim. Przy tym niemal z reguły sztuka, mająca powodzenie w teatrze zawodowym, wygrywała start i w teatrze amatorskim, co jeszcze raz potwierdza zasadę jedności repertuarowej, chociaż nie funkcjonalnej teatrów zawodowych i teatrów amatorskich.

Z perspektywy jednak powyższych doświadczeń festiwalowych możemy sobie otwarcie powiedzieć, że już podczas dyskusji w Oberach w sposób niedostateczny uwzględniliśmy doświadczenia „Odwetów” Kruczkowskiego i sztuk o tak zwanym konflikcie osobisto-politycznym. Położyliśmy wówczas niesłusznie jednostronny nacisk na ich niedociągnięcia ideologiczne, natomiast straciliśmy z oczu tajemnicę ich powodzenia, która w gruncie rzeczy była bardzo prosta. Jeszcze Gorki mówił o tym, że fabularny konflikt idei musi być rozwiązany w konflikcie ludzkim, o ile chcemy, żeby wzruszał i przemawiał do widza. Nie mówiąc zresztą o tym, że piękno formy, dialogu i budowy dzieła scenicznego ułatwia zawsze, a nie utrudnia a percepcję treści politycznych. W niedostatecznym też stopniu, w pewien czas później, przeanalizowaliśmy doświadczenia, płynące z nienolowa-

nego dotąd powodzenia „Niemców” Kruczkowskiego. Z sugestyjnością tej sztuki, stawiającej w swoim czasie trudny i niepopularny problem w sposób niepokojący i na pewno nie pełny, lecz na skutek dostrzeżenia tragedii politycznej narodu, w tragedii ludzkiej człowieka i w rezultacie zasadniczo słusznej generalnej linii politycznej utworu jakże potężnie oddziaływała na widza.

Może w innych wymiarach należy rozpatrywać sukces u publiczności (choć nie zawsze sukces prasowy) sztuk Iwaszkiewicza czy Brandstaettera. Nie zamykając oczu na ich braki ideologiczne, o których już niejednokrotnie mówiliśmy, musimy obiektywnie stwierdzić, że główną przyczyną ich powodzenia jest umiejętność zainteresowania widza losem bohaterów oraz urzeczanie ich kształtem słowa, budową dialogu, jednością myśli i warsztatu teatralnego.

Z kolei w innym aspekcie należy rozpatrywać powodzenie sztuk nieco jeszcze chropowatych literacko, bezspornie nawet w pewnym stopniu deklaracyjnych, lecz zdobywających widza prawdą konfliktu, podaną w sposób może chwilami naturalistyczny, lecz fabularnie i psychologicznie prawdziwy. Bezspornie powodzenie sztuk młodzieży literackiej — sztuk Warmińskiego, Gruszczyńskiego, Lutowskiego to zwycięstwo idei i żywych ludzi nad pewnymi jeszcze niedomogami warsztatu i niewątpliwą w pewnych sytuacjach scenicznych deklaracją słowną.

D.pierzo bowiem dziś w pełni rozumiemy, że celowość polityczna tak silnie i słusznie wydobywana w okiście festiwalowym i bez wątpienia niejednokrotnie przewyższająca braki warsztatu, nie poparta jednak wymogami humanistycznego stosunku do postaci scenicznych i artystycznymi kryteriami dzieła literackiego prowadziła niejednokrotnie do słusznie dziś krytykowanego pobłazania sztukiom schematyzującym i problem, i ludzi, więcej nawet — do niejednokrotnego liberalizowania w stosunku do sztuk słabych, a nawet obiektywnie tak słabych, że po prostu szkodliwych. Przy tym niejednokrotnie brak krytycyzmu w stosunku do sztuk chybotliwych nie zawsze wychodził na korzyść sztukiom dojrzałym, sztukiom poszukującym, chociaż być może gubiącym się na trudnych ścieżkach naszego marszu do socjalizmu.

Inaczej mówiąc zwycięska bitwa o dramaturgię i teatr polityczny nie odeszła się bez pojedynczych wypadków spełzania na pozycje źle pojętej deklaracyjności, a na pozycje widzenia zagadnień planu sześćdziesięciu nie od strony politycznego stawiania się ludzi i ich spraw, lecz od strony statystycznego kwitowania osiągnięć produkcyjnych, współzawodnictwa pracy, racjonalizacji, wynalazczości, czy też likwidowania sabotażystów i szpiegów, widzianych od pierwszej sceny tak dotykalnie, że problem przynajmniej ich był już mierzony tylko długością trwania spektaklu, a nie zainteresowaniem widza akcją.

Nie potrafiłszy w tych warunkach rozstrzygnąć również zasadniczej sprawy w naszej bitwie o teatr polityczny — sprawy Partii i jej ludzi. A tym samym gubiłmy niejednokrotnie perspektywę politycznej walki i co najważniejsze nie byliśmy w stanie wyjaśnić pobudek działania postaci scenicznych. Przedstawiciele Partii we wszystkich niemal naszych sztukach to umowne znaki, pozytywni o pozytywnych ruchach i zdaniach, ludzie bez przeżyć, bez przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, po prostu interwencja autora, w wypadku gdy nie może sobie poradzić z chwiejającym się średniakiem, inteligentem, czy też młodzieńcem lub zacofanym elementem robotniczym.

Bezradność nasza w stosunku do ludzi Partii to oczywiście, jak słusznie mówił tow. Putramen., w pierwszym rzędzie bezradność ideologiczna, lecz również w poważnym stopniu jest ona rezultatem fałszywej teorii, panującej w pewnych środowiskach kulturalnych, teorii, mówiącej o tym, że ludzie Partii należy przedstawiać nie takimi, jakimi są w rzeczywistości, lecz takimi, jakimi powinni być (nie daj Boże) w przyszłości.

Bezspornie jest to problem trudny. Dalecy jesteśmy od naturalistycznej prawdy tych czy innych wydarzeń w naszym życiu społecznym, lecz są niewątpliwie w naszym życiu politycznym zjawiska pozytywne i negatywne tak typowe, że pokazanie ich społeczeństwu w dziele sztuki, omówienie ich w prawdziwych wymiarach naszej współczesności stanowi dziś wielkie polityczne i artystyczne zagadnienie.

Gdy jednak przechodzimy od teorii do praktyki, to każdy z nas ma po trosze w swoim postępowaniu coś z polityki strusia, chowającego na wszelki wypadek głowę w piasek przed każdym prawdziwym czy urojonym niebezpieczeństwem, podczas gdy, sądzę, polityka naszej Partii i doświadczenia dyskusji i osiągnięć sztuki radzieckiej wskazują na konieczność zwiększenia liczby niewierzących strusi, umiających spojrzeć w oczy każdej prawdzie i każdemu niebezpieczeństwu.

Ukazywanie zjawisk budującego się socjalizmu w niezafalszowanym procesie powstawania konfliktów ludzkich jest nie tylko warunkiem prawdy artystycznej, lecz jest wymogiem naszej polityki — polityki naszej walki o pokój i socjalizm.

JULIA HARTWIG

Ta sama wciąż ziemia...

Z warszawskiej dzielnicy Ochota szosa prowadzi na Radom. Ucieka w pejzaż tryskający swobodnie zielenią, między polacie ziemi nieskrępowanej skorupą miejskiej nawierzchni. Kto wyjedzie tą szosą w jakąś bliską niedzielę, zobaczy pewnie podobne obrazki, jakie myśmy piętnastego czerwca widzieli:

Horizont im dalszy, tym bardziej lesisty, ziemia tu płaskawa tam bagna z wysokimi trawami, przyszosie zmieniają wartość na przemian sosny, wiśnie i osypane białym, jedynym jak strąk kwiatem akacje. Łąki szerokie, równe, to znów sfalowane lekko, w łatwej przyjaźni z wierzbami, tu i ówdzie sad niski, pochłyły i hiegrodzny, nie rzadko domy jeszcze strzechą kryte, strzechą Pociemniałą jak plaszę gniazda od deszczów i słońca. Nad tym pejzażem niewysokim nieba tyle, że aż widnokrąg w dół spycha, ubijając go kłębam obłoków.

Taką masz drogę od Warszawy szosą przez Radom do Czarnolasu. I jeszcze w Grójcu szeregiem przy szosie domki pękate i rozsiadłe jak stare karczmy, a tak niskie, że zdaje się mogłyby po dachach spacerować. W Tarczynie rynek starenki, regularnie w trzy ściany czworoboku zabudowany; gdyby tu jeszcze targ na konie urządzić — scenaria sprzed czterech wieków.

Ale wszystko to pozory: nie ma targu na konie, a środkiem starożytności biegnie skwer z kwiatami. W Grójcu już nie karczmy, ale jedna czy dwie gospody ludowe, gdzie już nie szynkwas i intymne, rodzinne niechlujstwo karczmarki z kilkorogiem rozczochranych dzieci, ale jasna lada i dwie usługujące kelnerki, dziewczyny z pobliskiego Firleja czy Kuzek.

A przecież pokusa odnajdywania wszystkiego, co „mogło tak wyglądać wtedy” jest duża w czasie tej podróży do Czarnolasu. Ci co jechali kiedyś do miejsc rodzinnych ukochanego przez siebie człowieka znają ten ogarniający czar powrotów, gdzie wszystko zdaje się potwierdzać zasłyszane w chwilach zwierzeń opowiadania, gdzie odmładzają się za dnia drzewa, roznoszą wieczorem okna znajomym do złudzenia światłem.

Podobnie do tych spraw serdecznych w alejach należycowskiego parku szuka się pana Prusa, w Konstancinie pod Warszawą wchodzi się z uwagą do pokoju Stefana Zeromskiego, a na szlaku czarnoleskim tropi się ślady kolaski, w której Jan Kochanowski, zgrzany, od letniego upału, wracał może z sąsiedniej wio-

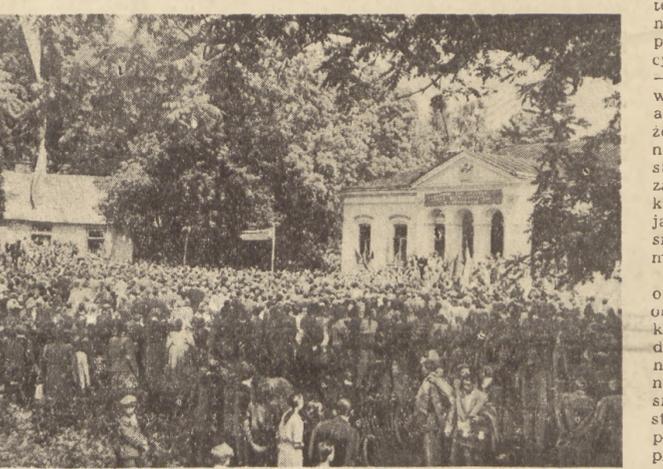
skrzętna żona, ucieszne dzieci, radości i smutki ziemiańskiego żywota za ostatniego Jagiellończyka i Batoiego — wszystko co po stokroć nudnie w rozprawkach szkolnych opisano, a co przecież dobrze i w porę w dojrzałym czytelniku sfermentowane daje żywy obraz ludzkiego żywota. Co z tych realiów zostało? Co z atmosfery, którą jego wiersze oddychają, ile wart hold złożony przez artystę swoim rodzinnym stronom? Czy okolica, co go wykarmlała, potrafi raz jeszcze go urodzić dla tysięcy pielgrzymów, co się tu zjechali na najbardziej świecki z cudów?

Z tym dzisiejszym Czarnolasem jest więc tak: od Radomia jeszcze 40 kilometrów jazdy. Jedzie się marnymi polnymi drogami, trzęsie, woz podskakuje, niskie galezie uderzają w okna, co chwila jakiś wiatrak ukazuje się w polu, wystraszona kura zatrzępie skrzydłami uciekając z drogi, mignie kierat koński i wysoki żuraw u studni, pole chmielowe, kilka owiec. Czarnolas to zapadła daleka wieś, gdzie diabeł mówi dobranoć.

Do dworku prowadzi cienista aleja, z daleka widać dom pobielany, parterowy, osmiookienny, kryty papą. Wejście po kilku schodkach, między czterema kolumnkami; przed dworkiem gazon i zająz jak się dworkowi należy. Dom ten budowali ostatni właściciele na krótko przed tysiąc dziewięćsetnym rokiem; skromny jest, nie pałacowy, choć tu i magnateria mieszkała, Jabłonowscy, Lubomirscy. Oni to wzniesli kapliczkę za domem i w imieniu którego ze zmarłych magnatów ogłoszono na froncie kapliczki, że księżna o

późnego młody dopiero żonkoś. Niejedno miał już za sobą, studia, podróże do Włoch, Francji i Belgii, pierwsze młodzieńcze miłości i miłości przygodne, rozczarowania dworskie i próby zrobienia politycznej kariery. Humanistyczny ideał złotego środka i poprzestawania na małym, poczucie wagi szczęścia osobistego i pisarskiego powołania ułatwiły mu przejście do wiejskiego trybu życia. Sam widać awanturnikiem nie był, nie chciał się mieszać do intryg dworskich koterii i głowy klasę pod ewangelie. Żywot jego był żywo-tem światłego szlachcica polskiego, ale dzieło jego jest jednym z najwspanialszych jakie krajowi swemu można w obywatelskim darze przynieść. Tu polszczyźnie, językowi literackiemu, nadał polski i gładkość, uprościł ją, wzbogacił, oczyścił i uczynił piękną. Językiem tym człowieka swojej epoki i przajał stron swoich jak nikt inny opisał. Z Czarnolasu „całe życie poety jak na wotynnym obrazie można oglądać”.

O siedem kilometrów stąd, w Zwoleniu, gdzie znajduje się grób rodziny Kochanowskich, jest w kaplicy wyrzyta w marmurze podobizna poety, jedyna jaka się dochowała. Sztynny to konterfekt i niewieślo Kochanowskim mówiący: twarz długa, broda jeszcze obfita przedłużona, nos prosty, oczy wąskie, kieża nakrochmalona pod szyją. Obraz ten więcej krzywdy mógł przynieść poecie w nawiązaniu zażyłości z pokole- niami niż korzyści. Cóż ma wspólnego ten suchy, nagrobny wizerunek z fraskopisem zabawnym i czarującym towarzyszko, przyjacielem naj-



Tłumy zebranych na uroczystościach ku czci Kochanowskiego w Czarnolesie. Na środkowym planie dwór czarnoleski.

nym widokiem: Dorota Podlodowska, żona poety, była osobą dowcipną i starannie wychowaną, brat poety, Mikołaj, był wierszopis, tłumacz przy tym Plutarcha. Co koi sen jego, a bratanek autora „Trenów”. Piotr, zostanie znakomitym tłumaczem Tassa, jednym z najświetniejszych rymotwórców szesnastego stulecia. Drugi brat Jana, Andrzej, tłumaczył Eneidę, niezbyt zresztą udanie, ale tłumaczył — i Liwiusza. Jak widać rodzina cała nieprzerpnięta miała słabość do pióra, a kto artystą nie został, przynajmniej rzemieślniem się parał.

Stąd, z Czarnolasu, nici serdecznej przyjaźni biegly we wszystkie strony Polski: czule mówi o Kochanowskim Piotr Rojusz, Hiszpan, humanista, zaprasza Myszkowski, chętnie by go widział i siebie Zamoyski. Drukując poe- ta swe utwory w oficynie Lazarskiej w Krakowie, komponuje mu muzykę do „Psalterza” jeden z najpiękniejszych starzych naszych kompozytorów Mikołaj Gomółka. Dom czarnoleski świeci jak mała jasna lare- nka nad szerokim morzem chłop- skiej ciemnoty i ubóstwa koziennego powiatu, gdzie powstała smutna piosenka: „Ctery budy na świecie, pierwsza bida jest się chce”. Kochanowscy wymarli, dom przeszedł w ręce zamożniejsze, lecz mniej godne, lampka czarnoleskiego dworu przygasa, ciemnota wciąż trwa, analfabetyzm trawi jak choroba połowę niemal ludności okolicznej. Poeta wydziedziczony ze swych dwu tysięcy morgi ziemi, przeważnie nieuprawnnej, zostaje w ciągu wieków panem na setkach książkowych wydań. Kończy się potem druga wojna światowa. Wkraczamy w epokę nową.

15 czerwca 1952 roku dom Jana z Czarnolasu, otwarty na oścież, oddany został całej okolicznej ludności. Stał się Domem Kultury. I podniesio- na została z pietyzmem tradycja czarnoleskiego domu, w parku stanął pomnik poety, na kamienną urnę z prochami Urszuli, najświetniejszego może polskiego dziecka, rzucano świeże kwiaty.

Tego dnia złożony został przez przewodniczącego kieleckiej rady narodowej uroczysty meldunek o zlikwidowaniu analfabetyzmu w Kielecczyźnie.

OBCHÓD CZARNOLESKI

Kiedy przejść się w tę niedzielę po rubieżach parku i wzduł drogi — rojno jak na jarmarku. Wozy drabiniaste stłoczone ciasno jeden obok drugiego, rzą konie i strzygą uchem nad worami z owsem. Czeka-



Podczas uroczystości czarnoleskich mieszkańcy okolicznych wiosek żywo interesowali się kioskami księgarskimi zawierającymi dzieła klasyków literatury polskiej

CZŁOWIEK NAM BLISKI

Sąd ta ciekawości do Czarnolasu? A wjazd jaki, a dom, a czy ogród jest, i czy piękny, a ziemia jaka pod uprawę i czy las jest, skoro okolica tak się nazywa czarnolesko, i czy ptaśno i krzaczasto, czy może pustka wokół i obędzie się jedynie wleka oficjalna feta, po której już jutro nie nie zostanie, tylko na gli- mastej drodze wiodącej do wsi koleiny po ciężarówkach, wozach i auto- karach, w których się ludzie z całej środkowej, warszawsko - kieleckiej Polski na tę galę zjechali.

Sąd ta ciekawości? Bo wszyscy tu poró w na ć jedziemy. Porównaj tę wiedzę o Czarnolesie, którą nam nie- skąpo w swoich wierszach Kocha- nowski rozsiadł. Najsylniejsza z tego czarnoleska lipa, ale ileż szczegó- łów z gospodarskiego i rodzinnego życia w Pieśni o Sobótce, Pieśniach i Trenach — cisza, swoboda wiejska, zajązta rolnicza, mądra, urodziwa i

westchnienie za swą duszę prosi. Tak się owa pycha krótkotrwała w proch obróciła i martwy napis nad tym pro- kiem przechodzącym w ręce wciąż cudze, ale zawsze duchową własność Kochanowskiego stanowiącym — martwym z góry patrzy okiem.

Wokół kapliczki, na tyłach domu, geste zień. Lip tu co nie m. ara, ale słynnej starej lipy nie ma, ściał ją któryś z właścicieli i podobno rządzątkowie wystawili. Stawek chudy, porosły rżesą, trójkatny, wiejski bar- dzo i leszczyny po brzegach. Dalej, bez żadnego ogrodzenia ni przejścia, łąki się ciągną, jakaś struga z kład- ką, chałupa. Tak dziś wygląda św- czesny ogród czy sad, w którym sja- dwał poeta zajęty pisaniem, gdy do- na krzątała się około zarządu gospo- darstwem.

Czterdzieści pięć lat miał Kocha- nowski gdy tu osiadł, pomimo wieku

celniejszych umysłów swego wieku, z człowiekiem bywałym, delikatnym i prostych manier, znakomitym obserwatorem życia, przyrodzie chętnym, ludziom życzliwym? Ale skoro zawinął tu rzemieślnik, co go w mar- murze odtworzyć chciał, dlaczego nie miałyby naprawić szkody jakieś zna- komitszy rzeźbiarz dzisiejszy, Wnuk może, czy Puget, by prawdziwszą głowę stworzył tego bliższego, choć o cztery wieki odległego poety.

ZGODA Z WIEKIEM STARYM

Biegało po tych alejach, oskubu- jąc kwiaty i orzechy z leszczyn, sześć córek Jana Kochanowskie- go, nawoływała się daleko służba, pani domu kluczami dzwoniła. W spokojnym rytmie dnia, troskami zbytnio nie gnębiony, pisał poeta. Wi- dok inkaustu, pióra i książek był w tej wykształconej rodzinie zwyczaj-

Julia Hartwig

Stąd też dyskusja o dramaturgii w Związku Radzieckim, stawiająca szczebel wymóg bezwzględnej prawdy społecznej, posiada dla nas znaczenie zasadnicze.

Jest to dyskusja o ideologicznej i politycznej roli literatury jako oręża w kształtowaniu nadbudowy socjalistycznej. Im ostrzejsza jest nasza walka o przyszłość naszych narodów, im walka o pokój, niezawisłość i socjalizm wymaga od nas większego nateżenia wszystkich sił, tym ostrzejsze, prostsze i przenikliwe winno być widzenie naszej rzeczywistości. Bez widzenia rzeczywistości w sposób konkretny, na przykładzie odpowiednio zarysowanych postaci nie możemy uczynić ze sztuki naszej dzwigni emocjonalnej i ideologicznego wychowania człowieka. Nie możemy być inżynierami duszy ludzkiej, kształtowanej zawsze na prawdziwie trudnej i wielkiej, lecz nigdy gładkiej i oklepanej, jak frazesy wielu sztuk odrzuconych przez widza, choć nie zawsze zawczasu odrzuconych przez Dyrekcję Programową Centralnego Zarządu Teatrów i Ministerstwo Kultury i Sztuki.

Te błędy w naszej walce o teatr polityczny nie mogły przejść bezkarnie. Wprawdzie nie zatrzymały one procesu rozwoju naszej dramaturgii, ponieważ rozwój ten warunkuje sam proces naszych przemian ustrojowych, lecz niejednokrotnie spychały go z właściwego toru i opóźniały rozwój naszego teatru.

Niejednokrotnie gubienie się krytyki teatralnej nie w zawsze słusznych kryteriach oceny politycznej i artystycznej, błędy polityki repertuarowej, błędy w organizacji widowisk, niedostatecznie troskliwy stosunek do sztuk słusznych politycznie, lecz niedopracowanych artystycznie, lekceważący stosunek kierownictwa teatralnych do młodych autorów młodego pokolenia podjęli wśród wielu dramaturgów wiarę w wielką siłę sugestywną konfliktów naszej epoki. Horyzont konfliktów antagonistycznych i nieantagonistycznych tak się zamącił i taki ogień otworzono na każdego twórcę, który osmielił się napisać sztukę na temat współczesny, że w jesieni 1951 roku nastąpił wyraźny zwrot, a w poszczególnych wypadkach ucieczka do sztuk historycznych, w najlepszym razie do sztuk antyimperialistycznych, dziejących się poza granicami naszego kraju.

Nie chcę w tym wypadku ani przez chwilę kwestionować potrzeby tego rodzaju sztuk, ich wartości wychowawczej z punktu widzenia naszej aktualnej polityki. Lecz niewątpliwie nawet w sprawach literatury prawo liczb posiada swoją wymowę.

Od 1-go października 1951 r. do 1 czerwca 1952 r. zatwierdzono do grania z liczbą przejranych blisko stu dwudziestu sztuk: dziewięć sztuk o tematyce historycznej, cztery sztuki o tematyce antyimperialistycznej, trzy sztuki o tematyce współczesno-krajowej i trzy komedie i wodewile, z których dwa można na uparte go podciągnąć do tematyki współczesnej.

Należy tu podkreślić z całym uznaniem, że sztuki historyczne są wszystkie niemal opracowane starannie i niejednokrotnie stanowią ciekawą pozycję dramaturgiczną. I gdyby w równym stopniu można było obserwować rozwój dramaturgii o problematyce współczesnej, to zjawisko swoiste „historyczny” polskiej literatury mogłoby nas tylko cieszyć.

Nowe spojrzenie na przeszłość historyczną naszego narodu, wydobycie roli klasy robotniczej w walce o wyzwolenie narodowe i społeczne jest w zasadzie zjawiskiem zdrowym, więcej nawet — dla wielu pisarzy, zwłaszcza starszego pokolenia, jest koniecznym etapem ich rozwoju ideologicznego, pod warunkiem oczywiście, że stanowić będzie dla nich pomost do widzenia i rozumienia zagadnień bezpośrednio współczesności.

Tę rolę spełniają tak zwane sztuki antyimperialistyczne, których znaczenie, zwłaszcza w chwili obecnej, jest bezsporne, chociaż nie zawsze w należyтым stopniu doceniane przez poszczególne teatry. Lecz nawet i te sztuki nie potrafią nam wypełnić braku sztuk współczesnych na tematy krajowe.

Przy tym, żeby nie było nieporozumień, należy jeszcze raz podkreślić, że w danym wypadku, podobnie jak i w prozie, nie chodzi mi o wachlarz tematów, który każdy z nas może bez trudu wyciągnąć, lecz o ustalenie typowych problemów w konkretnych postaciach ludzkich, postaciach niepowtarzalnych, lecz właśnie dlatego bliskich nam w jakimś realnym, prawdziwym fragmencie konkretnego przeżycia.

Schematyzm naszych sztuk o problematyce współczesnej polegał nie na tym, że występował w nich podobny konflikt między dyrektorem, ewentualnie naczelnym inżynierem a zalogą, i że sabotaż występował z reguły w cieniu czarnej limuzyny obcego mocarstwa, lecz na tym, że ludzie, którzy musieli dźwigać raz problem „dobrego człowieka”, drugi raz „dyrektora biurokraty”, trzeci raz „profesora o idealistycznych oporach”, a czwarty raz „lekarza niedojrzałego ideologicznie”, w gruncie rzeczy nie różnili się między sobą niczym innym poza szykiem zdań w słownej deklaracji i nie mogli wywołać żadnego innego uczucia poza uczuciem zniechęcenia. Problem przewyższenia schematu — to problem przewyższenia własnej niedojrzałości ideologicznej i własnej nieznajomości środowiska, w dojrzałych, prawdziwych psychologicznie postaciach ludzkich, typowych nie przez powtarzalność ich w danym środowisku, lecz na skutek

ideowego i emocjonalnego kontaktu z widownią i odbiorcą.

Należy obiektywnie stwierdzić, że sztuki ostatnich miesięcy zdradają wyraźny i poważny wysiłek rozpracowania zagadnień ideologicznych w konkretnie rozbudowanych sylwetkach ludzkich.

Chwilami jednak autorzy wpadają ze schematyzmu w ciasną uliczkę małych realiów, zatracając naturalizm, umieszczając tym samym swój warsztat dramaturgiczny między Rittnerem a Perzynskim. Lecz w każdym razie jest tu już rzetelna próba wyjścia od realnych ludzi do spraw ludzkich, zamiast operowania umownymi maskami dla skomentowania tych czy innych kwestii politycznych.

Ciesząc się z tego kroku naprzód należy jednak już teraz, mimo całej konieczności podobnego etapu, zasygnalizować grożące nam niebezpieczeństwo zagubienia wielkich konfliktów epoki w małych realiach socjalistycznej rodziny.

To nie znaczy, że tym samym podpisuje się pod teorią łow. Kotta, który w trosce o wielkie, polityczne antagonizacyjne konflikty polskiej rewolucji, usiłuje anulować marksistowskie rozróżnienie na konflikty antagonizacyjne i nieantagonizacyjne, leżące w płaszczyźnie walki nowego ze starym już po naszej stronie barykady. Lecz próba dopasowania naszego dramatu, do chociażby nawet dobrej konwencji dramatu mieszczańskiego, do dramatu realizmu krytycznego, na dłuższą metę nie może nas zadowolić i najprawdopodobniej nie da nam wielkiego dramatu politycznego.

Proces stawiania się nowego w wydaniu naszej rewolucji socjalistycznej może być w pełni odczytany tylko na wielkim płótnie dramatu politycznego, który będzie dramatem i zwycięstwem nowego człowieka, stanowiąc jednocześnie nowe zjawisko nie tylko w sensie politycznym, ideowym, lecz również i w sensie warsztatowym, formalnym.

Zarówno Gorki jak i wielka radziecka klasyka to śmiało nowatorstwo dramaturgiczne i w sensie ideowym i w sensie warsztatowym, to poszukiwanie nowej jednostki treści i formy, to wybuch olbrzymiej społecznej namiętności pisarskiej, to potrzeba zdobycia nowej epoki nowym widzeniem ideologicznym i dramaturgicznym.

Powtarzam, nie chodzi mi w całym wypadku o formalistyczne nowinkarstwo na marginesie wyabstrahowanych z życia doznań estetycznych i psychologicznych, będących zawsze w tym czy innym stopniu produktem epoki upadku, rozkładu i zagubienia się człowieka w niezrozumiałych dlań zjawiskach świata. Natomiast przy całym pozytywnym naszym stosunku do wykorzystywania w sensie inspiratorskim realistycznych tradycji dramatu mieszczańskiego, musimy zawsze pamiętać, że rewolucja kulturalna, to nie tylko upowszechnianie kultury i przewartościowywanie naszych postępowych, realistycznych tradycji, lecz również stwarzanie nowego. To nowy dramaturg — sztuki w nowym kształcie sztuki — sztuki służącej poznaniu obiektywnej prawdy, lecz jednocześnie sztuki niepowtarzalnej w sensie śmielszego i doskonalszego stwarzania dzieł nowych, dzieł lepszych od dorobku epok minionych.

I niewątpliwie w tym sensie wielkie wzory radzieckiej literatury, literatury walki i przełomu, literatury potężnych namiętności i konfliktów społecznych, jak również wolanie o taką literaturę i taką sztukę w chwili obecnej stanowią dla nas ogromne doświadczenie i jasny drogowskaz naszej przyszłości.

Isć naprzód nie ucząc się na dobrej, realistycznej tradycji — nie można. Isć naprzód nie ucząc się na doświadczeniach i osiągnięciach radzieckich 35 lat budowy komunizmu — też nie można. Lecz również nie można isć naprzód, nie pamiętając o tym, że prawda naszych czasów wymaga śmiałości, odwagi, poszukiwania, twórczego niepokoju, gniewu, oburzenia, radości i siły. Siły w walce o nowe, lepsze i prawdziwsze jutro człowieka.

I trzeba to sobie powiedzieć otwarcie, że tego rodzaju dzieło u nas dotąd nie powstało. Nie powstało, mimo że budujemy fundamenty socjalizmu, mimo że posiadamy jasną perspektywę sztuki realizmu socjalistycznego, mimo że istnieje u nas teatr i dramaturgia polityczna, mimo że chcemy wszyscy, żeby powstało u nas wielkie dzieło literatury naszego czasu.

O ile proza w utworach Igora Newerlego, Strykowskiemu, Brandysa i Czechki uczyniła w tym kierunku bardzo poważny krok naprzód i sięgnęła po wielkie namiętności naszej epoki, wychodząc tym samym z ram małych realiów naturalizmu i schematycznej deklaracyjności. O ile o książkę Newerlega czy Strykowskiemu możemy powiedzieć, że są to utwory pisarzy-komunistów, o tyle dramata takich pozycji dotąd jeszcze nie stworzył. Dramat i teatr pozostał w tyle. Powiem nawet więcej — klimat, jaki panuje wokół naszej dramaturgii i teatru nie jest jeszcze klimatem nowego nurtu, nie jest jeszcze klimatem socjalistycznego teatru.

I o tym klimacie słów kilka. W naszym teatrze, a często i w naszej publicystyce literackiej, więcej nawet, wśród wielu naszych polityków kulturalnych panuje milcząca zмова, że sztuka współczesna musi leżeć w gruncie rzeczy jest to danina, którą należy złożyć tym przyszłowym 30-tym procentem, wyznaczonym w planie CZT-u na sztuki współczesne.

Ta atmosfera, która oczywiście nie jest powszechna i dotyczy tylko pewnych teatrów i pewnych działaczy i pewnych krytyków, podąża jednak za autorem nie tylko w etapie jego wstępnych dyskusji, lecz ściga go również, gdy sztuka wkracza już do teatru. Ściga go w postaci gorzszych aktorów, bezmiennych reżyserów, obojętności organizatora widowisk, niechęci związków zawodowych, zniecierpliwienia wydziału propagandy, recenzji w prasie i wystąpień wiceministra. Ta zмова niechęci w stosunku do „zła koniecznego” powstającej polskiej dramaturgii, wypycha sztuki na prowincję, każe im startować w Olsztynie czy Bielsku, posiada po swojej stronie pewne wydziały PKPG, Ministerstwa Finansów, nie mówiąc już o możnych protektorach w postaci uprzedzonych przeciwnego kołtuna.

I w tej chwili nie chodzi mi o to, że wiele z tych sztuk jest istotnie słabych, i że winny być krytykowane i szczegółowo analizowane. Ze często nawet autorzy nie zawsze serio podchodzą do swoich własnych prac i nie zawsze prace ich przypominają dzieło literackie.

W chwili obecnej chodzi mi o klimat, w którym dramaturgia i teatr współczesny powstaje, i który to klimat jest bardzo daleki od gospodarskiego, troskliwego i nieraz czułego stosunku do dziecka może słabego, może nieraz o krzywych nogach, lecz dziecka naszego przyszłości.

Przy tym nie jest prawdą, że widz omija sztuki współczesne. Powodzenie radzieckiej klasyki postępowych pisarzy zachodnio-europejskich i niedziej sztuki polskiego autora świadczą o tym, że problem trudności widowni stoi nie w płaszczyźnie sztuki współczesnej, lecz sztuki obsadzonej przez prawdziwych ludzi, sztuki dobrej, dobrze wystawionej, posiadającej dobrą obsadę, dobre rozwiązanie scenograficzne, dobrą inwencję reżyserską, dobrą organizację widowiskową i dobrą, życiową atmosferę w prasie.

I sądzę, że atmosfera krytyki tylko wówczas będzie atmosferą twórczą, pobudzającą i pisarza, i teatru, i działacza kulturalnego, jeżeli będzie atmosferą wysokiej ideowej świadomości i partyjnej, rzetelnej życzliwości. Jeżeli będzie atmosferą wspólnego wysiłku walki o lepszą, nową i wielką politycznie i artystycznie sztukę naszej rzeczywistości.

Mówiąc jednak w ten sposób o przyszłości polskiej dramaturgii, musimy w stosunku do naszej wspólnej pracy nad jej rozwojem wyraż-

nie określić rolę Związku Literatów i Ministerstwa Kultury i Sztuki. Rola Związku Literatów to w pierwszym rzędzie ustawiczna praca twórczych dyskusji na posiedzeniach sekcji, które nie zawsze powinny służyć za odszkodzenie do namiętnych oskarżeń i pamfletowych wystąpień. To świadoma pomoc w organizowaniu dokumentacji i wyjazdów w teren, to poważny wysiłek w kierunku codziennej współpracy z Kolegium Repertuarowym i konkretnymi teatrami.

Rola Ministerstwa, to przede wszystkim, jak to już kiedyś określili tow. Kruczkowski — gospodarski stosunek do autora i jego pracy. Musimy nauczyć się przewyższać biurokratyzm w traktowaniu sztuk nieznanymi i młodymi autorami i urzędniczą niechęć młodej biurokracji do pisarzy starszego pokolenia. Musimy pomóc teatrom przemoczyć opory w stosunku do nowatorstwa — warsztatowego podczas pracy nad współczesną sztuką, ustawicznie śledząc za jej losami i ciągle pomagając w jej realizacji. Musimy nauczyć się powściągliwości w podpowiadaniu politycznych i ideologicznych komentarzy, które w żadnym wypadku, nie mogą dotyczyć dramaturgicznej i fabularnej struktury samego dzieła literackiego. Musimy nauczyć się cierpliwości w traktowaniu żmudnych i braterskich dyskusji z autorami sztuk słabych, dla których krytyka, często bardzo ostra krytyka, nie może oznaczać dyskwalifikacji, i wreszcie musimy nauczyć się współpracy ze Związkiem Literatów zarówno w Kolegium Repertuarowym CZT-u jak i w sekcjach Związku Literatów, zachowując wspólny i solidarny front przeciwko wszelkim przejawom jawnej grafomanii zarówno politycznej jak i literackiej, przeciwko deklaracyjnym schematom i ubóstwu tematycznemu.

Wielkie zadania polityczne, nowe zadania, wynikające z nowego rozumienia spójni miasta ze wsią, wskazania VII-go Plenum, zawarte w referacie tow. Bieruta, wzmoczenie i udoskonalenie naszej walki o pokój, nasze przyjaźni ze Związkiem Radzieckim i naszej walki w obronie niepodległości kraju i nienaruszalności jego granic — nakładają na nas obowiązek ogromnego wysiłku i ogromnej troski w stosunku do twórczości polskiego pisarza, rzetelnej twórczości, opartej na prawdziwie jego przeżycia i na prawdziwie naszej walce o socjalizm.

Włodzimierz Sokorski

SEWERYN POLLAK

RADISZCZEW

Przez ledwo zrozumiałe skróty cerkiewszczyzny,
Gdym wspiął się jak po drabinie w tamten wiek,
Podobnie jak mur domu opięty wisoroślą
Łacińskiej składni, poprzez wersaliki
Tytułów i urzędów nieżyjących —
Wąski księżyc zaświecił mi na jasnym niebie
Nad drogą, która białe się przeciera
Przez szary zmrok.
Jechaliśmy we dwójkę, a pocztowa bryka
W pyłe wzniesionym przez wóz, co nas minał,
Chwiała się nieco nierealnie. Mój towarzysz
Plutarcha trzymał w ręku. Otulony
W burkę chroniącą przed wietrzonym chłodem,
Nim zapadł zmierzch i na litery książki, i na drogę,
Próbował czytać, aby skrócić nudę
Nazbyt długiej podróży.

Gdy pocztowa stacja
Zamajaczyła przed nami w oddali,
Jak nagle uniesiona ściana horyzontu,
Towarzysz mój z westchnieniem złożył książkę
I rzekł: „Tymoleonie, o, tyranobójco,
Zabiłeś brata, kiedy się osmielił
Podeptać prawo ludzkie. Twój to przykład
Niechaj nam gwiazdą będzie w naszej drodze.
Posłuchaj — mówil, chwyciwszy mnie za rękę —
Tyrania jest najokrutniejszym wrogiem.
Jeżeli Prawda zdjęła z twoich oczu
Bielma niewiedzy i jeśli dostrzegłeś,
Że władza, jak wąż zdradny, zjeje nieprawością, —
To obal władzę. Niech wściekłość tyrana
Roztrzaska się o twoją niewziorność.
Nie lękaj się ni tortur, ni więzienia,
Gdy szczęście powszechności masz na celu.
Ani car bowiem, ani żadna ziemską moc
Nie zmusi cię do naruszenia cnoty.
A jeśli dręczyciele wydadzą cię na śmierć,
Będą wściami kiedyś, a ty będziesz żył
W pamięci dusz szlachetnych aż do końca świata.
Umrzyj na cnotę, bowiem wolność ludu
Warta jest twojej śmierci, głos ją wieszczę słowem.”

Już była noc, kiedyśmy dojeżdżali.
Z okienka skąpe światło się saczyło,
Koń parsknął, słyhać było tylko szelest słomy,
Gdy naraz w ciemnej sieni blask bagnetu zalsnił
I zadudniły kroki na bruku podwórza.
Gwiazda nad naszą głową dalekie światło nosiła
I promień jej przedzielał się przez ciemność,
Przez ledwo zrozumiałe skróty ciekiewszczyzny
I przez półtora wieku, co nas dzieli
Od tamtej chwili.

MARIA SZCZEPAŃSKA

Blaski i nędze „wieczorów”

„Bez włączenia się literatury i sztuki do walki o socjalizm nie podobna przeobrazić świadomości ludzkiej. Musimy zdawać sobie z tego sprawę, że sztuka we wszystkich jej odmianach jest instrumentem sięgającym nieziemnie głęboko i że bez tego instrumentu, bez mobilizacji jej sił nie możemy odnieść pełnego zwycięstwa”.

(Jakub Berman)

Rozlicznymi drogami dociera do nowego czytelnika nowa literatura. Na łamach prasy codziennej i literackiej, rozwołanej kilometrami grammatycznych dróg przez listonoszy wiejskich na rowerach, w audycjach radiowych, z książek w świetlicy, wreszcie przez żywe słowo literata jadącego do odległych czystokrotko miejscowości z odcytem czy wieczorem autorskim.

Spotkania literatów z czytelnikami są już dość dawną tradycją. Jeszcze w r. 1946 akcją tę zorganizował „Czytelnik”, później funkcję organizacyjną w tym względzie przejęło Towarzystwo Wiedzy Powszechnej. Początkowo współpraca TWP z literatami przebiegała bez zarzutów, jednak w roku 50-ym TWP obawowało się najgroźniejszymi przepisami, nie do przyjęcia dla pisarzy, jak np. żądanie, by literaci wyjeżdżający w teren opracowywali odczyty na podstawie dostarczonych im materiałów i przeszli specjalny kurs prelegencki. Nie też dziwnego, że współpraca ta urwała się.

CYFRY,
KTÓRE WIELE MÓWIA

W końcu roku 50-go Związek Literatów Polskich, nie dysponując żadnymi funduszami, zaczął prowadzić akcję spotkań z czytelnikami we własnym zakresie, tworząc w tym celu Komisję Imprez Literackich. Mimo wielu trudności Komisja Imprez Literackich przy ZLP, po półtora roku działalności, może zaliczyć na swoje dobro szereg poważnych osiągnięć. Spójrzmy na dane liczbowe, które tylko w przybliżeniu obrazują istotny stan, ponieważ znaczna ilość wieczorów autorskich nie jest w nich uwzględniona, jak np. wyjazdy na zaproszenia indywidualne. W sprawozdaniu Komisji za rok 1951 czytamy, że w ramach akademii pierwszorzędowych w ciągu trzech dni zorganizowano bezpłatnie 35 występów, w dniach Oświaty, Książki i Prasy — 70. W okresie Plebiscytu Pokoju zorganizowano 40 występów w czasie czterech dni. W miesiącu pogłębiania przyjaźni polsko-radzieckiej — 35, w niezmiernie udanej „akcji szczytowej” — 10, ponadto innych wieczorów autorskich zanotowano 102,

co czyni razem 290, liczbę zresztą daleko niższą od faktycznej.

W roku bieżącym, do maja włącznie, Komisja Imprez Literackich zorganizowała już 290 wieczorów, a więc w przeciągu pięciu miesięcy tyle, ile w całym roku ubiegłym.

W lutym b.r. wyjechało 9-ciu literatów do Wrocławia na 14 spotkań z czytelnikami. W tegorocznych Dniach Oświaty, Książki i Prasy urządzono 118 bezpłatnych występów w różnych zakładach pracy i szkołach. W występach tych wzięło udział 124-ech członków oddziału warszawskiego ZLP. W ostatniej akcji majowej Komisja Imprez obsługiwała: 1) Iwojsko, 2) szkoły, 3) Biblioteki Publiczne w m. st. Warszawie, 4) Biblioteki Woj. Warsz., 5) Rady Zakładowe przy instytucjach (w porozumieniu z Warszawską Radą Związków Zawodowych). Ponadto literaci wzięli udział w spotkaniach poza Warszawą, w Krakowie (8), Wrocławiu (2), Ostroncu (1) i Raciborzu (1), kilkanaście spotkań odbyło się na zgłoszenia indywidualne Ministerstwu, Zarządowi Klubu Młodzieżowego Książki i Prasy, Towarzystwa Naukowego, sanatoriów, nie licząc zgłoszeń instytucji, kierowanych wprost do pisarzy.

Liczyby te, wciąż rosnące, mówią same za siebie. Ale liczby te byłyby z pewnością większe, gdyby nie trudności spotykane ze strony technicznych organizatorów imprez.

NIE WSZYSTKO IDZIE
JAK NAJLEPIEJ

W zanotowanych przez Komisję Imprez Literackich relacjach pisarzy przekazyjących swe spostrzeżenia po powrocie z występów spotykamy nieraz takie opinie: „Wieczór nieudany”, „kierownik świetlicy nieobecny, świetlica pusta” lub „wieczór w ostatniej chwili odwołany”. W Lidze Kobiet — „niechętnie przyjęcie” lub „większość sali to drobna inicjatywa prywatna, kierownictwo nie orientuje się w charakterze środowiska”. Ale czytamy i opinie pocieszające: „40 osób — udany”, „bardzo udany, żywa reakcja słuchaczy”, „200 robotników — ożywiająca dyskusja”, „sala nabita ludźmi”.

Praktyka wykazała, że tam, gdzie kierownictwo świetlicy stara się zawiadomić na czas pracowników, gdy zależy mu na frekwencji, wieczór jest udany, literat ma t.zw. kontakt z salą. Nie zawsze tak się dzieje. W dniu 2-go maja kierownik hotelu robotniczego „Metropolowy” w Warszawie, zwrócił się do ZLP z prośbą o spotkanie z satyrykami. Skomunikowano się telefonicznie z kierownictwem, uzgodniono termin. Pojechali Brudziński i Polanowski.

Oto wyjątek z ich sprawozdania: „nie zastaliśmy psa z kulawą nogą. Sam kierownik świetlicy również był nieobecny”.

Na ogół nieźle układa się praca z Domem Wojska Polskiego. Z innymi instytucjami jest gorzej. Dowodu dostarczyła ostatnia akcja ZMP, zamierzona w porozumieniu z Ministerstwem Szkół Wyższych. Chodziło o przeprowadzenie dyskusji w akcji przedzłotowej nad książkami pisarzy polskich i radzieckich, we wszystkich naszych miastach uniwersyteckich. Wypytowano książki, zawiadomiono członków ZLP. Stronę techniczną — organizacyjną wziął na siebie Związek Młodzieży Polskiej. Niestety, wszystko spało na panewce w okresie sesji egzaminacyjnej. Na dzień przed imprezą zawiadomiono o jej odwołaniu tylko Kazimierza Koźmiewskiego. Z innymi pisarzami nie zadano sobie tyle trudu.

NIE MYLIĆ LITERATÓW
Z TANCERKAMI

W dniu 22 maja Zrzeszenie Studentów Polskich w osobie ob. Młodawskiego zwróciło się do ZLP z prośbą o delegowanie 4 pisarzy na poranek w dniu 1-go czerwca w kinie „Moskwa”, przeznaczony dla wyższych uczelni w Warszawie. Zaproszono specjalnie Władysława Broniewskiego, Koźmiewskiego, Zukrowskiego i Kubiaka. Broniewski, aby wziąć udział w imprezie, odczytał swój wyjazd na uczasy. Ale przedstawiciel ZSP, który miał uzgodnić szczegóły imprezy — (mimo paru telefonów) — nie zjawił się więcej. Poranek odbył się bez zaproszonych literatów. Związkowi Studentów nie przyszło do głowy, że o nagłej rezygnacji z zaproszonych gości należy zawiadomić Związek Literatów.

Zdarzały się też wypadki, że wieczory autorskie reklamowane były jako „występy artystów”. Kiedy „tradycyjnie” w okresie Plenum ZLP organizował zespołowe „wyjazdy” literatów do szkół warszawskich, zdarzyło się właśnie, że Wydział Oświaty MRN zapowiadał je jako zespoły „Artosu”, co w wyniku zostało pewien osad rozczarowania u uczniaków spodziewających się zobaczyć piękne śpiewaczki i tancerki.

PRZYGODY
JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA

Nierazkie są wypadki, że instytucje poza Warszawą dopiero w dniu imprezy zawiadamiają, że występ odwołano, gdy autor, odkładając na bok inne pilne prace, już pojechał pełen dobrych nadziei. Taki wypadek przydarzył się Jarosławowi Iwaszkiewiczowi i Jerzemu Ficoskiemu, którzy na zapro-

szenie Biblioteki Publicznej wojewódzkiej obiecali swój udział w uroczystościach lokalnych w Kaźdźdle, Goworowie i Czerumie. Gdy zajęli do Ostrołęki, kierownik miejscowej biblioteki zorganizował na przedwieczór autorski dla barwionych tam wycieczek z okolicznych szkół. Było to spotkanie bardzo udane, ale jedyne. Następnego dnia pojechali obaj pisarze 30 km (w jedną stronę) do Goworowa, by dowiedzieć się, że „niestety nie zrobili nic”, wrócili do Ostrołęki, bez odczytania pognał do Kaźdźdla, a tam znów nic... Chwalił sobie tylko śpiew słowików w kaźdźdlańskich bżach...

Nie o słowiki tu chodzi. Pisarze chcą przemawiać w fabrykach, kopalniach, hutach, chcą, by ich głos dotarł wszędzie, gdzie toczy się bitwa o plan sześciolletni, gdzie toczy się walka o pokój. Tymczasem w Wąbrzychu, mieście czterech kopalni węgla kamiennego, dwóch fabryk porcelany, huty „Karol” i wielu innych zakładów przemysłowych — afiszce zapowiadające występ czterech wybitnych pisarzy znalazły się tylko na jednej, przodującej w wydobywaniu kopalni, gdzie zresztą odbywały się właśnie wybory do Rady Zakładowej. Rezultat z góry wiadomy. Pisarze przybyli z Warszawy przemawiali i czytali swoje utwory dla skąpej garstki szkolnej młodzieży.

O SŁUSZNE WNIOSKI
Z KRYTYKI

Nie chcę już mnożyć przykładów. Kolej na wnioski. Z czego wynika, że literaci zastają często w fabrykach drzwi zamknięte? Wynika to m. in. ze scentralizowania akcji spotkań przez WRZ, które przesyłając do ZLP listę zakładów pracy z ustalonymi terminami spotkań autorskich nie porozumiewają się z nimi i nie mogą wiedzieć, że na ten sam termin jest przewidziana np. ważna narada produkcyjna. Konieczna jest tu decentralizacja. Tu powinni decydować same zainteresowane zakłady pracy.

Z trudności i doświadczeń akcji wyjazdów w teren należy wyciągnąć wnioski na przyszłość. Osrodek i instytucje kierujące życiem kulturalnym zakładów pracy powinny uprzytomnić sobie, że czas literata jest równie cenny jak czas przodownika pracy i że nie wolno mu trwonić go bezmyślnie. Pisarze pracują, żeby robotnicy mogli o nich mówić po prostu: „nasz pisarz”. A do tego, aby mogła utworzyć się nierozzerwalna więź między pisarzem a robotnikiem, trzeba jeszcze w wielu, wielu do b r z e z o r g a n i z o w a n y c h spotkaniach.

Maria Szczepańska

PAWEŁ JASIEŃC

NOWE OBSZARY HISTORII

Gładki, wypolerowany marmur chłodzi przyjemnie. Czuć lekki przeciąg, bo w głębi kolumnaty otwarte są trzy olbrzymie, trójdzielne okna. Za nimi czerwona zielen drzew i nasuwające się od strony Karczewów ołowiane góry chmurowy. Od rana już spiekota, a widać, że widać.

Stoję sobie przy wejściu oparty o odrzynać główne niczym o pęć. Z tego miejsca najłatwiej ogarnąć okiem salę obrad. Uczestnicy ich w swobodnych postawach zasiedli na luzno rozstawionych krzesłach. Jest tu chyba ze sto osób albo niewiele mniej. Bez specjalnego trudu można by między nimi jeździć na rowerze. Ogrom sali pozwala na to w zupełności.

Wysoko, pod samym sufitem, czyli sześć albo siedem metrów nad podłogą, obiega ściany nieprzerwanie rząd portretów malowanych a. frez. Postacie dostojników wyglądają trochę „na jedno kopyto” — w przyciętych XIX stulecia odnowił ten fryz malarz nazwiskiem bawarski. Hiszpańskie brodki, wyniosłe czoła, surowe i poważne spojrzenia. Szaty ciemne i białe, gdzieniegdzie kardynałska purpura. W roku każdego portretu karmazynowa lub błękitna tarcza herbowa. — Dwadzieścia bezkleszczu pokrywa zawila polichromia, która już ze starości pociemniała, podbiegła tonem głębskiej zieleni. Ściany podczas okupacji zamalowano na kolor nazbyt jasny. Dawniej pokrywały je tzw. opony, czyli po prostu gobeliny. A może i kurdybanu tu kiedyś nie brakło?

Troje wspaniałych drzwi z ciemnymi krajowymi marmurami. W pokojach sąsiednich obejrzeć można portale kute w piaskowcu, kominki, na suficach freski malowane przypuszczalnie przez Dolabellę, a przedstawiające sceny z czasów Władysława IV. Na jednym z nich uwieczniony został moment proskrypcji Arian.

Apartamenty te w niczym nie ustępują królewskim komnatom. Obrady, które się tutaj już trzeci dzień toczą, dotyczą następującego zagadnienia: jak, dzięki czemu, wskutek jakich okoliczności w wieku XVII powstał w Polsce zamki tak świetne jak ten albo inne jeździć podobne? Była to, naturalnie, dowolna — moja własna — przeróbka tematu konferencji. Bo w rzeczywistości brzmiał on tak — dzieje chłopów polskich w XVII stuleciu.

DUET HISTORYKÓW

Jesteśmy w Kielcach. Zamek tuż przy — obecnie siedziba Wojewódzkiej Rady Narodowej — jest najlepiej w całym kraju zachowaną staropolską budowlą świecką. Obiekt mieszkalny więc świecki, aczkolwiek właścicielami jego byli biskupi krakowscy. To ich właśnie, przedstawicieli najwyższej krajowej warstwy feudalnej, wyobrażają tamte portrety w sali.

Feudalizm żył z chłopów. Więc chyba nie pobiłbym się w określeniu przedmiotu obrad ogólnopolskiego zjazdu historyków.

Polskie Towarzystwo Historyczne zwołało go do Kielc na niedzielę, 1 czerwca 1952 r. W pierwszym dniu odbyły się posiedzenia plenarne Zarządu oraz walne zebranie Towarzystwa. W południe zaś — po powitanie przez władze i społeczeństwo — na konferencji publicznej dr Adam Przybóś z Krakowa mówił o ruchach chłopów na Podhalu w wieku XVII.

Problem ten spopularyzował bardzo rok ubiegły, kiedy to przypadał trzydziesty jubileusz powstania Koszki Napierskiego. Pomimo to temat wciąż jeszcze jest niezmiernie daleki od wyczerpania. Tamto powstanie — jak to silnie podkreślał dr Przybóś — było tylko jednym z ogniw długiego łańcucha społecznych ruchów polskiego chłopstwa. Nie wolno go uważać za fakt izolowany, jednorazowy i wyjątkowy. Miało bowiem zarówno poprzedników jak i następnych. Do tego referatu jeszcze powrócę. A na razie tylko jedno — krótkie wycięcie dat, w których — od końca XV wieku — zanotowano rosnące nasilenie walki chłopskiej. Oto lata: 1496, 1536 — 1553, 1583 — 5, 1591 — 5, 1616 — 1643, 1651, 1657, 1662, 1670, 1678, 1696... Na tym się łańcuch bynajmniej nie urywa. W roku 1738, na Kurpiach, chłopki pod dowództwem Dzięgdziarczyka rozbił oddział gwardii pieszej koronnej, czyli najlepszego wojska, jakie tylko wtedy w kraju było.

Nie zabraknie historykom materiału do badań i do postawienia dawniejszych, bardzo uproszczonych i niemiernie niesłusznych mniemań. W zeszłym roku czytaliśmy wspaniale o Napierskim. Ale ostatnie słowo o nim bynajmniej jeszcze nie zostało napisane. Ot, chociażby taka sprawa: czemu Napierski kurczowo trzymał się Czorsztyna i przez to dał się przygwoździć do miejsca? Z punktu widzenia taktyki wojny powstającej był to przecież katastrofalny błąd. Osobiście skłonny byłem przypisywać to młodości i brakowi doświadczenia u wodza powstańców. Zrobił to — myślałem — czego uniknął Chmielnicki, który, jeżeli wierzyć Sienkiewiczowi, zapytany, czy zatrzymał się pod Kudakiem, odrzekł: „Ja? Chyba bym był z rozumem obrany”.

Tymczasem zaś zaczyna się okazywać, że tragedii czorsztynskiej nie można rozpatrywać na wąskiej planie taktyki. Bo tutaj chodziło o strategię. Napierski chciał przypuszczalnie opanować ważny szlak

wiodący z południa w ziemie Rzeczypospolitej, w której szczykowała się generalne powstanie chłopskie.

Dругие dnia obrad dwaj uczeni z Łodzi dołożyli starań, by dać zebranym pojęcie o rozmiarach sprawy chłopskiej w zarysach ogólnych, jako jednego przedmiotu dochodzenia naukowego. Mówcami byli: dr Bohdan Baranowski i prof. dr Stanisław Sreniowski.

Już podczas dyskusji zabrał głos zasiadający w prezydium prof. dr Stanisław Arnold i zwrócił uwagę, że nie należy ulegać zewnętrznyemu pozorom. Referenci mówili kolejno, ale referat trzeba traktować jako całość, ponieważ opracowali go wspólnie, a podzielili się tylko pracą lektorską. Temat brzmiał: „Problematyka dziejów chłopów w XVII w.”.

Jeden z mówców użył zwrotu, że „wasiwie jest tu wszystko do zrobienia”, a powiedzenie to można by zastosować jako motto całej konferencji.

CZWÓRGŁOS ARCHIWISTÓW

Po zakończeniu pierwszego referatu wszedł na trybunę dyrektor dr Rafał Gerber. Mówił krótko. Miał przecieć przed sobą historyków, fachowców. Nie potrzebował im wyjaśniać znaczenia pracy, która się obecnie dzięki archiwistom polskim dokonuje, a w dziedzinie nauki jest raczej użycie precedensu.

Siedemdziesiąt naukowych pracownik archiwów państwowych od roku pracuje nad inwentaryzacją ksiąg sądowych grodzkich i ziemskich. Z ogółu tych ksiąg wytypowano do inwentaryzacji około 35 procent. Czyny to siedem milionów kart, pokrytych odrębnym piśmem. Powstanie kartoteka zawierająca około 80.000 pozycji. Praca ma być zakończona jeszcze przed upływem tego roku kalendarzowego.

Dotychczas przejrano około 47 proc. liczby ksiąg, przeznaczonych do inwentaryzacji (3262 księgi, 3.500.000 stron — 45.000 pozycji kartoteki).

Praca jest oczywiście prowadzona na zasadzie zespołowej. Odbywają się zebrania. Doświadczenia oraz usprawnienia ulegają rozpowszechnieniu i wymianie, stosuje się wzajemną kontrolę wyników. Czy pamiętacie historię labiryntu z „Faraona” Prusa? Olbrzymi gmach, o którym na pewno wiadomo, że zawiera bezcenne skarby, tylko trafić do nich nie można. Wyobraźcie sobie teraz dokładny, bardzo szczegółowy przewodnik po tej budowli. I skutki posiadania takowego. Otóż całkiem podobnie przedstawia się sprawa z archiwami i kartoteką, czy inwentarzem ich zawartości.

Siedem milionów kart! Autentycznych dokumentów, spisanych współcześnie. W nich zawiera się wyjaśnienie tych wszystkich problemów, które szkiełował dr Baranowski i prof. dr Sreniowski i które ku końcowi konferencji podsumował prof. dr Kazimierz Lepczyński. Tak — tylko jeżeli pojedynczy człowiek zechciałby sam te stronice przejrzeć i pokrozić tylko wynotować co w nich jest — praca trwałaby lat dziesięćdziesiąt. Inwentarz - kartotekę mieć będziemy dzięki metodzie pracy z es p o l o w e j.

Drugi to już raz w przeciągu kilku miesięcy dane mi było poznać rezultaty tej metody, która zwycięsko wkroczyła w powojenne życie nauki polskiej. Od lipca do września r. ub. zwiędziłem siedemnaście stanowisk wykopaliskowych w całej Polsce, a w grudniu obecny byłem na dorocznej konferencji archeologów. Badanie początków państwowości polskiej rozumie dziś nauka jako konieczność poznania wszystkich, co się na naszych ziemiach działo od III wieku przed naszą erą poczynając. Bez tego bowiem nie wyswietlimy sprawy zasadniczej, a mianowicie procesów ekonomiczno - społecznych. A więc zadanie, którego pojedynczy uczyony rozwiązać nie może. Dzięki zespołowej pracy wszystkich polskich archeologów, w przeciągu czterech ostatnich lat wiedza w tym przedmiocie postąpiła znacznie naprzód. To samo stanie się udziałem historii chłopów. Rezultaty inwentaryzacji muszą popchnąć naukę na nowe, niezbadane szlaki.

Dr Rafał Gerber mówił krótko. Informował tylko. O tym np., że wiadomości o rzemiośle i handlu odnaleziono dotąd w siedmiu tysiącach wypadków. Ucisk chłopów przez dziedziców i w ogóle szlachtę znalazł odbicie na pięciu tysiącach kart.

Za czasów moich studiów uniwersyteckich obowiązywał pewien „pewnik”. Wynikało zeń, że system pańszczyźniany w Polsce tym się przede wszystkim różnił od rosyjskiego, iż tam szeroko była stosowana sprzedaż chłopów bez ziemi, jako czegoś w rodzaju towaru. U nas miało tego nie być.

Sprzedżać chłopów jako towaru, bez jednoczesnej sprzedaży ziemi, w siemdemnastowiecznej Polsce stwierdzono dotychczas w 467 wypadkach. Przypominam — do inwentaryzacji wytypowano 35 proc. ogólnej liczby ksiąg, robota dopiero zbliża się do połowy. Wobec tego można po prostu powiedzieć, że handel ludźmi nie był wyjątkiem lecz regułą.

Zabierało głos trzech innych archiwistów. Dr Wanda Maciejewska mówiła o „Inwentarzach, wizjach i testamentach jako materiale do życia gospodarczego wsi i jej kultury materialnej”. Potem dr Zygmunt Kolankowski przedstawił „Ucisk chłopów i jego formy w księgach grodzkich i ziemskich w XVII”

a dr Marian Szalagan „Opór przeciw feudalnemu uciskowi na wsi i ruchy chłopów w XVII w.”.

Mówcy zastreśli się ciągle, by ich wystąpienie uważać za referat, gdyż są one tylko komunikatami o tym, co zawiera opracowywany materiał. Dr Maciejewska twierdziła, że na podstawie inwentarzy da się np. odtworzyć statystykę zaludnienia wsi. Dochowały się bowiem dokładne, imienne wykazy mieszkańców poszczególnych siół. Poznamy także obszar rol i folwarków, liczbę poddanych i ich społeczne uwarstwienie, rozmiar i zakres powinności. Pod tym względem inwentarze dóbr szlacheckich są bardzo bogate. We wszelkich zaś sporach chłopów powoływali się na nie, jako na dokument tego „co należy”. Dowiemy się jeszcze i innych rzeczy: jakie było wyposażenie chłopów w sprzęt, jakie rozmiary jego produkcji na potrzeby własne. Poznamy rentowność gospodarstwa rolnego, stopień uprzemysłowienia. Znajdziemy nawet opisy budowli wiejskich i urządzeń wnętrza.

Wiele takich inwentarzy i wizji pozostała nam po sobie w spadku dawna szlachta polska. Najwięcej zaś z drugiej połowy XVII stulecia kiedy to po niszczeniu wojenach trzeba było przystąpić do opisywania stanu folwarków. Inwentarze takie — pomimo ich prywatno-prawnego charakteru — w oczach ówczesnych sądów uchodziły za dokumenty nierzadkie i wzmocniły dobr.

GWALT I OBRONA

„Ucisk jest to ogół stosunków społecznych i gospodarczych na korzyść szlachty jako klasy panującej”. Tak określił dr Kolankowski temat swojego referatu. Ucisk był więc zjawiskiem normalnym, powszechnym i trwałym, a wszelkie notatki w księgach dotyczą wypadków nadzwyczajnych. Za rzecz zwykłą i niewymagającą niczyjej interwencji uchodziła robota „na pańskim”, regulowana takimi oto przepisami: „w ziemie chłop ma młócić w koszuli i bez rękawic”.

Ale tamte wypadki nadzwyczajne dostawały się do ksiąg sądowych nie prostą bynajmniej drogą. Bo tylko w dobrach królewskich posiadał chłop prawo (natury często teoretycznej) odwoływania się do sądów państwowych. Skarżyć mógł. Ale rezultaty skargi nawet częściowo przychylnie rozpatrzone mogły być i takie jak np. w Sieradzkim w roku 1650. Oto brzmienie werdyktu odnośnie tych, co osobiście sprawę prowadzili:

„Co się tyce buntowników ponieważ w inquisitii pokazuje się, że tych buntów autorami są niektorzy z poddanych i młynarzów... tedy na pokaranie ich rozkazujemy aby ci wszyscy przychodzący z młynarzu

w kunie przy kościele tamecznym prócz Kurpia przez niedziel sześć w każde święto za bunty i nieposłuszeństwo siedzieli. A co się knie Bartosza Kurpia (widocznie przywódca — przyp. mój) tego ex qualitate delicti tu zaraz do wieże skazujemy”.

W dobrach duchownych istniała szansa odwołania się od przeora do prowincjała czy innego przełożonego, od proboszcza do biskupa itp. W majątkach prywatnych nawet przez taką Scyllę i Charybdę chłop przecisnąć się nie mógł. A jednak notatki o ucisku są. Powstałyby jednak wtedy, gdy szlachcic zaskarżył innego szlachcica, a przedmiotem sporu był poddany. Tak np. w Łęczyskim, w roku 1637, dzierżawca wbrew umowie nie dał chłopom ziarna „aż z głodu powymierali”. Wielka strata materialna dla właściciela, który też niezwołanie poszedł szukać sprawiedliwości. Albo też „pracowity” zabity został za to, że nie zdjął czapki przed obcym „wielmożnym”. Proces.

Akurat taka sama reguła obowiązywała w dobrach duchownych. Procesy z dzierżawcami o straty materialne, wynikłe z nadmiernego ucisku. Spraw wytaczanych z pobudek natury moralnej brak.

Nie starczyłoby całego tego numeru pisma na treściwe chociażby wyzłuszczenie rodzajów chłopskiej krzywdy. Zabieranie roli, przenoszenie na gorsze, bicie, gwałty ze strony wojska, którego kwaterunki niczym się nie różniły od pochodów nieprzyjaciela, gwałcenie kobiet, całkiem częste morderstwa, wszechstronne rozgwałcenie ucisk ekonomiczny. Do samobójstw z wyżej wyzłuszczonej powodem też dochodziło, ale rzadko. Tak np. w okolicach Pyzdr w roku 1615 dzierżawca tak długo bicia i groźbami zmuszał chłopów do fałszywego zeznań, aż ten skończył ze sobą.

Samobójstwa zatem rzadkie. Za to fakty oporu częste niż się tego można było spodziewać. Dotychczas archiwisci nasi naliczyli ich tysiąc sześćset osiemdziesiąt jeden. Rozmaite były ich formy. Opór czynny i bierny, indywidualny i zbiorowy, spontaniczny i zorganizowany trwał ciągle. „Nie było takiego roku i miejsca w XVII wieku gdzieby się opór w ten czy inny sposób nie objawiał” — twierdzi dr Szalagan.

A więc znouku koniec legendy. Tym razem takiej, która — w celach bez wątpienia dydaktycznych — głosiła, że chłop polski nie buntował się w ogóle.

W dziejach naszych brak wielkich powstań chłopów, w które obituje historia Francji, Niemiec, Szwecji, Czech, Węgier, Rosji i Ukrainy. To się tłumaczy brakiem naturalnego przywódcy jak miasta czy chociażby taka Sicz. A zresztą chłop buntuje się dopiero wtedy, kiedy nie

ma gdzie uciekać. A u nas pola do ucieczki nie brakowało.

Nie można jednak problemu oporu zacieśniać do samych tylko powstań. Podczas dyskusji prof. dr Celina Bobińska przywróciła ten opór do wielkiej piramidy. Szeroka jej podstawa to rozmaite prymitywne formy walki — wąski szczyt to same powstania.

Nie tak wiele ich u nas było. Ale i tak nie wszystko o nich wiadomo. Cóż np. — pomimo dawniejszej pracy prof. Jana Czubka — wiemy o wielkiej bitwie pod Nowym Targiem w roku 1670? Po stronie chłopskiej występowały zorganizowane wojskowe oddziały. Przeciwno nam wyprowadzić przyszło siedem chorągwi piechoty cudzoziemskiego autoramentu.

Faktów zbiorowego czynnego oporu znamy dotąd czterysta jeden. —

SZCZYT PIRAMIDY NIEDOLI

„Poddani wsi Szczyrzyce należące do klasztoru szczyrzyckiego zmówiwszy się, odmówili wykonywania powinności na rzecz klasztoru — poczym na klasztor napadli — zagrabili cały dobytek — oraz ze specjalną uwagą niszczyli przy tym przywileje i dokumenty klasztorne...”.

Jakże to znany obraz Akurat tak samo w pamiętnym roku 1789 chłop francuski zjadł i niszczył feudalne archiwa, spudłowując się słusznie, że w ich foliatach opisane są jego powinności i skodyfikowane prawa niewoli. Nasz kmiotek wpadł na ten sam pomysł o sto lat wcześniej, w wieku XVII.

Najwięcej, 86 procent, wiadomości o oporze odnosi się do dóbr królewskich. Na drugim miejscu stoją szlacheckie, duchowne zaś na samym końcu. W tych ostatnich sporów zdarzało się dużo. Fakty oporu — również zresztą zaciętego jak w majątkach świeckich — tutaj należą do rzadkości. Czemu tak? Można przypuszczać, że w klasztorach czy biskupich włościach chłopu było podwójnie trudno się ruszyć. Oprócz więzi materialnej paraliżowała go bowiem i ideologiczna (dobrze wiadomo, że to dziedzic — katolik miał zawsze więcej kłopotów, jeżeli poddani jego wyznawali prawosławie). Tak czy inaczej — fakt jest faktem i rzecz wymaga zbadania, powiedział dr Szalagan.

Zdarzył się w nakielskim, że tamtejsi chłopcy „brojny napad na szlachcica Trampczyńskiego z niewądnici do szlachty uczynili”. Mieszkańcy zaś pięciu wiosek w okolicach Pyzdr o to zostali oskarżeni, iż „korzystając z wyjęcia pospolitego ruszenia przeciw rebeliantom i kozakom zaporoskim tym bezpiecznie dokazują przeciw osobom stanu rycerskiego”.

Na tajnej radzie senatu kanclerz Jerzy Ossoliński ostrzegł przed wprowadzaniem pospolitego ruszenia, bo „plebs concitatus”.

W roku 1649 w Perejasławiu Bohdan Chmielnicki tak powiedział: wybijać z łachkiej niewoli naród ruski wszystek aż po Lublin, po Kraków; pomoże nam w tym czerń, to nasza prawa ręka.

Podczas narad w tymże Perejasławiu Skrzetuski miał skomenderować „Dragonina w tył, za mną!” — to wiemy z „Ogniem i mieczem”. Znacznie mniej rozpowszechniona jest wiadomość, że wtedy kilku szlacheckich członków polskiej delegacji — a w ich liczbie sekretarz, przed którym komisarze nie mieli tajemnic — przeszło do Kozaków. W świetle źródeł postać Bohdana Chmielnickiego zaczyna występować w roli siły organizującej niesformne ruchy chłopów w całej Rzeczypospolitej. To nie znaczy, że Chmielnicki importował do Polski rebelię. Materiał wybuchowy znajdował się na miejscu w wielkiej obfitości.

W roku 1648 odbył się niezbadany dotąd rozruch pospolstwa w samej Warszawie (kilka lat temu mówił mi o tym dr Adam Słomczyński). Wtedy też przytrafiły się bunty nawet w wojsku koronnym. Prof. dr Stanisław Szczętka z Poznania stwierdza, że od schyłku XVI stulecia Rzeczypospolita żyła pod nieustanną grozą powszechnej wojny chłopskiej. Koszka Napierski przypuszczalnie dlatego uparcie trzymał się Czorsztyna, że spodziewano się inwazji Rakoczygo z Węgier, co miało się stać sygnałem do generalnego powstania. W tym samym roku 1651, w łączności z ruchem Napierskiego na Podhalu, szczykował się wybuch w Wielkopolsce.

W zesłorocznych pracach prof. Szczętki wspomniane zostało nazwisko Wojciecha Kołakowskiego, herbu Kościusza. W trzecim dniu obrad prof. dr Władysław Czaplinski opowiedział dokładnie o losach tego człowieka. Opis ich odnalazł nieoczekiwanie we Wrocławiu, w starym manuskrypcie.

Na wiosnę 1651 sąd w mieście Kaliszu skazał Kołakowskiego na czwartowanie z tym, że ćwierci miały zostać przybite przy rogatkach — ku przerażeniu i odstraszaniu rebeliantów. Skazany był szlachcicem. Ale to nie powinno dziwić. Ze drobna szlachta stawiała na czele powstań chłopów — to jest fakt notorycznie znany. W roku 1670 pod Nowym Targiem dowodził: chłop Stanisław Buchański i „urodzony” Stanisław Wierzbicka.

Kołakowski zeznał na torturach — raz tylko „pociągnięty” — że działał w porozumieniu z Chmielnickim, wraz z towarzyszami. W roku 1649 operował na polsko - ruskim pograniczu, w roku następnym burzył na Podkarpaciu, ciągnąc na ptn. zachód,

ku Wielkopolsce. Zimą spędził na służbie w mieszczań. Z wiosną 1651 r. planowane było podniesienie chłopów. Zacząć miała ekipa ludzi dobranych specjalnie — zbrający, posługacze, włóczędzy, tacy słowem, którzy mogą wderować nie zwracając niczyjej uwagi. Ich wystąpienie, napady i pożary dworów, miały być sygnałem dla wsi.

Na wiosnę 1651 r. chłopki wielkopolscy ruszyli się istotnie. Ale wojsko rychło dało sobie z nimi radę.

Najważniejszym jednak ciosem dla planów powstańców tego roku było co innego. Wiadomości o kozackiej klęsce pod Beresteczkiem.

Związek powstań ukraińskich z ruchami chłopów polskich znany był częściowo i dawniejszej historiografii, której poważnego dorobku nie pomijając (w referacie łódzkiej historyki został jej poświęcony cały znaczny rozdział). Ale źródła ukazują wciąż nowe i nowe rzeczy:

Np. w roku 1657 wsie Krzewców, Lubień, Peim, Stroże i Tęczyn odmówiły spełnienia powinności pańszczyźnianych. Opór stopniowo rozszerzał się na inne gromady, aż w dziesięć lat później ogarnął całą kasztelaniją krakowską. Szerzą się chłopskie spiski przeciwko kasztelanowi, Stanisławowi Warszawskiemu, Idzie z dymem dwór w Krzewcach. Spiskowcy siłą odbijają towarzyszy uwieczonych i prowadzonych przed sądy.

W roku 1670 król wyznacza specjalnych komisarzy, w dwa lata później apeluje o posłuszeństwo i każe przeprowadzić nowy wymiar świadczeń. Opór trwa (czasem zauważając, że w tym samym czasie burzyło się i całe starostwo lanckorońskie; najekscytownym może momentem jest tam sprzysiężenie 500 chłopów, zorganizowanych przez szlachcica Wierzbickiego, którzy nie tylko odmówili posłuchu władzom, ale nawet zapowiedzieli represje wobec posłusznym). W kasztelanii krakowskiej chłopki przystąpili z czasem do ekonomicznych form walki. Zaczęli mianowicie budować własne młyny i browary, by nie korzystać z „dominialnych”. Źródła świadczą, że jeszcze w 41 lat od chwili rozpoczęcia ruchu sprawa nie była załatwiona i opór trwał.

RUCHU NATURA I POCZĄTEK

Konferencja dobiegła końca późnym wieczorem. Burza już przeszła, pozostawiając po sobie równą opońę chmur i zimnawy deszcz. Potulane w płaszcze postacie dziejopisów pomykały przez placik koło katedry. Tarcza zegara wieżowego polśniewała w gorze niczym anemiczny księżyc.

Każdemu się śpieszyło. Nazajutrz rano mieliśmy wyruszyć autobusami w teren, by obejrzeć sobie pozostałości starych zakładów przemysłowych, które do dziś przetrwały w głębi kieleckiej prowincji. Poprzedniego dnia rewelacyjne rzeczy o początkach tych przemysłach opowiadał z trybuny dr Jan Paźdur z Kielc.

Deszcz i pospiech. Więc już nie można było zatrzymać się na tym przykatedralnym placiku i chwilę chociażby, jak to się mówi, podumać.

A przecież to miejsce było widownią wielkiego dramatu historii polskiego chłopstwa. Przecież to tutaj — w dniu 7 maja 1846 roku — ze strąconymi na sztyl siał na szafce ks. Sciegienny i patrzył jak brat jego i towarzysze pędzili się przez kielec.

Wśród naszych krajowych konserwatywistów szeroko swojego czasu słynął postać Pawła Popiela, właściciela Kurozwęk tudzież wielu cennych obiektów w stołeczno-królewskim mieście Krakowie. Człowiek ten uchodził za czolowego przedstawiciela myśli zachowawczej w Polsce. Pozostawił pamiętnik, w którym, na str. 93 mocno przeczytał o Sciegiennym: „...nigdy... ani natura ani początek tego ruchu nie były zbadane: że nie był polski, to pewna, że miał cechy komunizmu, ani wątpli, czy był zapoczątkowany we Francji albo zwiastunem rosyjskiego nihilizmu, nigdy dość nie mogłem”. I nawet — dodajmy od siebie — trudno było „dojść”, szukając aż tak daleko, we Francji czy w Rosji.

Nie uchybić pewnie zakończonej własnie konferencji, jeżeli powiem, iż potwierdziła ona słowa Popiela: nigdy natura i początek ruchów chłopów w Polsce nie były zbadane. Robocze zebranie historyków miało właśnie na celu dążenie do likwidacji tego stanu rzeczy. Było ono fragmentem tylko szeroko obecnie prowadzonej pracy badawczej. Wymiana poglądów i doświadczeń, postulatów, wnioski — i powrót do warsztatów. Nieznany obszar dziejów ojczystych będzie się kurczył pod wpływem planowej akcji zespołu uczonych.

I jeszcze jedno słowo o Popiele, Zarówno historycy jak i odkrywca przez nich rzeczywistość stanowczo przeczą tezie ekscelencji, że ruch Sciegiennego — oraz inne pokrewne, wcześniejsze i późniejsze — nie był polski.

Nauka dzisiaj nie tylko przyznaje im rdzennie polski charakter, ale nawet widzi w nich główną siłę postępową dawnych stuleci, przed wytworzeniem się klasy robotniczej. Jedyną siłą, która mogła zważyć rozkładający się feudalizm i przez to samo ocalić byt państwa polskiego. Czemu zadania tego spełnić nie zdołała — to właśnie jest m. in. przedmiotem dochodzeń naukowych i będzie wiadome.

Paweł Jasienica

STEFAN ZAWADZKI

MOJA OJCZYZNA

Ziemia moja ojczysta, ziemia wolnych ludzi,
Wysniona pośród lasów, w ziemiance nad Oką,
Gdzie niebo było chmurne, kiedy świt się budził
I jedyną ojczystą był wilgotny okop.
O Tobie rozmyślałem w nocie pełne trwogi,
Guy niebo wybuchalo, jak ogromny szrapnel,
Płaczące śniły mi się wierzyby koło drogi
I chaty na Mazowszu pobielane wapnem.
Ciebie widziałem wolną, idąc do natarcia
Na obcej ziemi, w mglisty dzień październikowy,
Lufa dłonic parzyła, zza drzew „Maksim” warczał
I szumił mi o Tobie zagajnik sosnowy.
I powiał wiatr ze wschodu. Dąb co przetrwał burzę
Rozprostował konary, liść puścił zielony...
Ludzie konstrukcje domów dźwignęli ku górze
I kraj ożył warkotem maszyn rozpędzonych.
Rozkwitły wokół sady, dokąd okiem spojrzeć
I z dnia na dzień mocniejsi rosną u nas ludzie.
Jak owoc upragniony, który musi dojrzeć,
Zyjesz ziemi i rośniesz w swym powszednim trudzie;
W wysiłku robotnika, w ciężkiej pracy chłopca,
I w każdym metrze danej ponad plan tkaniny,
I w każdej tonie węgla, w skróconych wytopach,
W prostej służbie żołnierza, w uśmiechu dziewczyny.

Ojczyzna moja tu, gdzie walczy się o pokój,
Gdzie kombajn rankiem tonie wśród łańców pszenicy,
Gdzie dźwigi na budowie sięgają obłoków
I w święto na ulicach tańczą robotnicy.
Kto ukochał ziemię, przed trudem się nie cofa
I codzienną swą pracą jej przyszłości strzeże —
Tej miłości nie zdoła zmieścić moja strofa
I niepotądny wiersz mój — zwykłego żołnierza.
Śpiewam piękno mej ziemi, ziemi wolnych ludzi,
Wysniona; pośród lasów, w ziemiance nad Oką,
Gdzie niebo było chmurne, kiedy świt się budził
I jedyną ojczystą był wilgotny okop.

MARIAN PIECHAL

FRANCJO, DOKĄD?

Kraju Joanny d'Arc, Zakerii,
ojczyzno sankiulotów.
rózo Komunę, nurcie rzeki
ognistej, Francjo — dokąd?

Dokąd prowadzą cię Pinay'e
na żoldzie Wall-Street'u?
Za ile — dziejów: twych pigmeje —
sprzedają cię srebrników?

Pot ludu ścieka w kasy banków
i krzepnie w sztaby złota.
Dotąd rachunku krzywd nie zamknął
lud, bijąc w wiczeń wrota.

Cóż z suwerennych praw narodu
w praktyce dziś się mieści?
Nikczemnik z wrogień w znowie odjął
treść niepodległej pieśni.

Gangster znieważa cię bezkarnie,
zbił twoją krwią frymarczy,
najemny żoldak godzi zdradnie
w KPF — serce Francji.

Któż sprzedawczykom splunie w oczy,
któż zdrajcom krzyknie: „Hola!“,
gdy czołgiem się przez Francję toczy
jej krwią zbroczony dolar?

To z Oradour sur Glane*) wciąż ciepły
zamordowanych popioł,
to Jacques Duclos i Stil — zaciekle
stawiają wrogom opór!

To lud, co wiczeń wrót uchyla
i dłonie w pięści zwierza,
obroni pieśń Rouget de Lisle'a
i Piotra Degeytera!

*) Oradour sur Glane, wieś francuska, która padła ofiarą hitlerowskiego barbarzyństwa. Oddziały SS wymordowały jej ludność, a wieś zrównały z ziemią.

ZBIGNIEW SZYMAŃSKI

CHINY

Gdzie czas uderza sercem dziecka,
Gdzie jutrznią opromienia pola,
Gdzie łamie więzy i odwieczna
Kruszy się krzywdą i niedola,
Gdzie naród sprawiedliwą ręką
Rozdziela dobra, słabych wspiera,
Rodzi się w walce nowe piękno —
Budzi się radość i nadzieja.

Piękno surowe mego wieku
Nie jest ukryte w wodzie, w górach
I profil jego nie w marmurach
Zaklęty będzie, lecz w człowieku
Tym, który stanął w czas zawiei
Do walki z wrogiem, który legł
Na polach Chiu, wśród gór Korei
Za wolność Azji, za nasz wiek.

Wiek nasz, żelaza wiek i wojen,
Zrodził olbrzymów u nas, w Azji.
Dziś, gdy pancerną kruszy zbroję
Widzę oczyma wyobraźni —
Jak w Chinach wielkich, Indonezji
Zamiast wojennych lun i ogni
„Nauka z siostrą jej — Poezją
Plonie jaśniejsza od pochodni“.

ARNOLD SŁUCKI

KOZEDO

Księżę złoty w nowiu,
w akacjach —
sanatorium.

I tu niepokój świata
kolysze każdą trawkę,
w radiowych drzy słuchawkach
płacz spłoszony dziecka
i nocą cię dopada
bezbrotny krzyk jeniecki:
Kozedo!

Jakby męki rozwarło się dno.

Na krawędzi pustej menażki
czyjeś usta spiekle —
i księżyc ma jeńca twarz.
Siostró,

patrz,
jak księżyc w górze krwawi.
Na czole chmur wciśnięty kaszkiet —
Siostró!...

Tu,
w sanatorium pod Warszawą
rezerwiści —
ledwo zdjął płaszcz.
(pamiętają je podberlińskie chaszce,
gdy pobity skomlał faszyzm...)
Pluca tu leczą lekarze
i każda sosna tu sprzyja —
tu można z powietrza bandaże
krajać — i rany przewijać...
Lecz o generałach z Kozedo
kiedy słyszysz rezerwiści —
wiem: broń ostrzy się celna
z ludzkiej
sprawiedliwej
nienawiści.

Czego chcesz? Masz robotę, to rób...
Krzyżąc wydaje ci się, że szybciej wymawiasz wyrazy, a chcesz przecie jak najprędzej zamknąć usta przed tym szarym pyłem o słomianym smaku, który unosi się gęsto w powietrzu. Ciągły hałas też zmusza do krzyżenia, nie pozwala mówić. Na rozmowy będzie czas, kiedy załadują jeszcze jedną ciężarówkę i kiedy będzie mała przerwa w robocie.

Jacques nie spodziewał się od Dupuy tak brutalnej odpowiedzi. Zdawało mu się, że Dupuy należy do partii. Był tego prawie pewien. Dlatego też od przeszło pół godziny kusilo go, żeby zapytać o zdanie Dupuy. A ten zamiast odpowiedzieć po ludzku, tak z nim postępuje...

— Hej tam! Uważałbyś mimo wszystko!

To krzyknął Dupuy. Nad głową Jacques'a wisi, jakby na moment zastygł w ruchu, ciężki żarzewiały czerpak dźwigu. Jacques cofa się jak może najprędzej. Nie bardzo jednak można przędko się ruszać, kiedy się brodzi po kolana w ziarnie — tak jakby się miało żelazne kule u nóg. Czerpak opada na zboże tuż koło niego.



Patrzy jeszcze przez chwilę na swoich trzech kolegów, zanim się razem z nimi zabierze do ładowania. Wydaje mu się, że podkpiwają sobie z niego. No pewnie, śmiesznie to musiało wyglądać, ten jego nagły przestraszył i ucieczka. Ale dlaczego Dupuy powiedział „mimo wszystko”? Muszą mieć do niego jakąś pretensję, nie ma gadania... A może tak mu się tylko wydaje... Ale to by się zgadzało z tym, co go już od tyłu dni męczy, i o co właśnie chciał zapytać Dupuy.

Znajdują się na samym spodzie dolnego pokładu, w jakimś kącie, a wśród nich olbrzymi czerpak, który wypełniając jęczmieniem za pomocą łopaty, każdy po kolei. Wygląda to niby jakaś dziwna karuzela gestów, regularna i mechaniczna. Drugi czerpak opuszcza się powoli gdzieś w innym kącie pokładu, albo w samym środku, na chyblił trafiał, zdając się szukać miejsca, gdzie stoją robotnicy, albo też wznosi się, już załadowany do góry, sypaniec ziarnem przez wszystkie szpary.

— Uwaga!

— Co ty tam wyrabiasz na górze? I tym razem dźwigowy nie podniósł czerpaka dość szybko. Rozkolytany w połowie dolnego pokładu, całą siłą swoich dziewięćset kilogramów uderzył z boku w jedną z belek luki. Co za uderzenie! Rozeszło się głuchym echem po całym wielkim statku. Czerpak przechylił się, wypuścił dobre dwadzieścia łopat ziarna. Cóż ten dźwigowy wyrabia? Chyba już czwarty raz robi taki kawał w ciągu ostatniej godziny. Chce, żebyśmy dwa razy tę samą robotę robili, czy jak? Gotów jeszcze cały czerpak na nas wysypać, jak tak dalej pójdzie... Gdzieś ty się uczył tak patałaszyć?... Dźwigowy w swojej kabinie wrusza ramionami, że to niby nie jego wina. Wskazuje na sygnalizatora, którego oczywiście oskarża o złe sygnalizowanie. Stary, wściekły, wygraża dźwigowemu pięścią. Jest już wprawdzie w takim wieku, że nikt się go nie przestraszy. Odkał wszystko zaczęło się tak psuć, ludzie są w okropnym stanie nerwów, o byle co skaczą sobie do oczu.

Tym bardziej, że norma, cholera, wysoka! Ani myśleć o tym, żeby coś więcej zrobić. Pytali się Roberta, delegata związkowego, gdy przechodził wtedy. Prędko sobie wszystko w głowie obliczył. Powiedział: — Nawet normę trudno wam będzie wyrobić. Żeby zrobić więcej, musieliście flaki wypruć. Dajcie spokój!... — A ten jeszcze będzie wysypywał to, co już raz załadowano!...

Jeszcze tym czterem, którzy pracują pośrodku zasięku, łatwiej. Tutaj już się skrobie po dnie. Można pracować tylko łopata. Tamci mają jeszcze grubą warstwę ziarna. Przechylają czerpak i ładują doń ziarno rękami, kolanami, brzuchem, czym się da. W jednej chwili napelmiają go po same brzegi. Całe szczęście, że im przynajmniej robota prędzej idzie. Bo czwórka Jacques'a to wygląda jakby zamiatła po tamtych. Ale za to tam, jak któryś n.a wrażli-

ANDRE STIL

wą skórę, to leży na całego. Czasami muszą się nurzać w ziarnie po sam pepek... Taki Sauvageon na przykład, patrzył jak się drapie! Ładnie będzie wyglądał! Są tacy, co nie mogą się zbliżyć do jęczmienia, nawet na dziesięć metrów. Swierzb ich bierze w całym ciele. Wystarczy takiemu wyjść na pokład statku, wystarczy popatrzeć z daleka na jęczmień, a już się drapie... Nie wiadomo właściwie, dlaczego tak jest. A są też inni, którym to nic nie przeszkadza, jak na przykład Jacques. Wczoraj stary Lebois chciał jeszcze raz spróbować. Musiał od razu porzucić pracę. A Sauvageon się uparł, że on da radę, że przetrzyma swędzenie. Widocznie w tym miesiącu niewiele miał wypełnionych dniówek na swojej karcie pracy. Majster przechodząc górą specjalnie go obserwuje. Kiwa na niego: — No i jak? — Sauvageon stara się nie drapać przez chwilę, zaciska zęby i odpowiada gestem, który oznacza: ciężko bo ciężko, ale można wytrzymać. I zmusza twarz do uśmiechu.

ROBOTA PRZY

— Też masz zmartwienie. Widocznie jesteśmy dobrze widziani.

Jacques myśli jeszcze o tym, że przez ostatnie dwa tygodnie zawsze brał go do pracy ten sam majster, Médard, zwany „Bonasson”. Nie-najlepszą on miał opinię.

— Ale co inni o tym myślą, ci, których nigdy nie biorą do pracy? Jak nas jest wszystkich trzystu, to przynajmniej dwustu nie ma przepracowanego tygodnia w miesiącu.

— Nie przejmuj się! Popatrz, grube zady zawsze pracują i nikt do nich nie ma żadnych pretensji...

— Grube zady co innego. To stary zwyczaj, stara zasada. Oni robią wszystkie roboty, także te, których inni nie mogą zrobić. Nic dziwnego, że ich zawsze biorą. A poza tym to ich sprawa, a nie nasza. Zresztą o nich też już zaczynają gadać. Niektórzy mówią, że gdyby ustalić kolejność, to by było sprawiedliwie, nie zawsze ci sami by pracowali.

— A ty się boisz tego gadania, boisz się innych, komunistów szczególnie, prawda?

Jacques spojrzął z ukosa na swego dawnego przyjaciela i dalej już nie nalegał. Jacques nie lubił, żeby dzielono ludzi na kategorie. Komuniści, czy tam bóg wie co, jesteśmy przecież wszyscy dokerami. A po drugie zawsze sobie powtarza, że ten, kto czeka, aż go popchną z tyłu, zanim zrobi to, co powinien zrobić — to po prostu nędzna oferta. Bać się? Bać się komunistów? Co to w ogóle znaczy? Nie, o co innego tu chodzi.

Gdy wypróżniono dolny pokład, Jacques z innymi przeszedł do drugiego zasięku. Tym razem w ładowni, ale też jęczmień. Tu przynajmniej można trochę odetchnąć. Tak się zresztą tylko mówi, bo wiatr tu nie dochodzi, a kurz taki, że choć nożem ciąć. Ale jęczmień tu leży wysoko i ciężki chwytak sam na siebie pracuje. Szczerząc zęby spada na górę ziarna, zagłębia się w nim po same uszy i po chwili jedzie sobie do góry sypaniec gęstym deszczem zboża. Wtedy cały zasięg jakby burzy się, ożywa, wszystko spływa do wydrążonego przez chwytak krateru, cała ta olbrzymia masa zboża kotłuje się w wielkie wiry, faluje niby sadzawka pełna piwa, aż wreszcie ucisza się, uspokaja, i tylko jeszcze sypaniec się spod luki ziarnisty deszcz podnosi tu i ówdzie smugi piany.

— No, odpocznijmy sobie pięć minut, na kon'no tego, że dźwig za nas teraz robi! — mówi Dupuy i osuwając się w zbożu, siada na górze jęczmienia, w kącie, pod osłoną małego pomostu, który okrąża ładownię. Inni wyciągają się obok niego.

— Podobno nie ma nam być płacone za ten czas, kiedy dźwig sam robotę odwala — mówi Sauger.

— Jeszcze czego! Lepiej niech nam w ogóle nie płacą. Ta jedna chwila, kiedy człowiek może odsapnąć! Zresztą nikt się nie upiera, żeby przez ten czas siedzieć z założonymi rękami. Niech nam dadzą inną pracę. Ty się tak nie drap, ty, jeszcze gorzej cię będzie swędziało...

Sauvageon dosłownie rozorywał sobie brzuch paznokciami, całą rękę wsadziwszy za pasek. Przystaje się drapać, trochę zawstydzony. Odwraca się w inną stronę, ścisnąc uda i zakłada sobie ręce na piersiach, nie zważając na niezdolne swędzenie.

— Jutro całą rodzinę zarażę u siebie w domu — mruczy. — Za każdym razem tak jest...

Cała ta sprawa zaczyna go denerwować. Gdyby teraz przyszło komu do głowy coś na ten temat powiedzieć, na pewno Jacques nie dałby mu skończyć. Jacques czuje, jak wzbiera w nim bunt. Zawsze był taki. Krew się w nim prędko burzyła jak morska woda nad kamienistym dnem. Czy tam oni komuniści, czy nie komuniści, wszystko mu jedno! Nigdy przecież nie czekał, aż komuniści dadzą przykład, żeby wiedzieć jak ma postąpić. Sam wiedział. Prawda? No to czego oni chcą od niego, przecież jemu samemu to szczęście już bokiem wylazi, czemu patrzeć na niego jak na raroga? Co oni sobie myślą?

Ale po chwili gniew jego przechodzi. Już nie ma pretensji do tamtych, do kolegów. Sam siebie za łeb bierze. Od siebie samego żąda odpowiedzi... Jakby odnalazł w głębi duszy swoje drugie „ja”, nieustępliwie przypiera je do muru, pyta, prowokuje, oskarża... Musi, musi widzieć w tym wszystkim jasno.

Pierwszym, którego Jacques spytał o zdanie (takie tam i zdanie, myśli sobie teraz), był Decoin, przedwczoraj Jacques zrobił przy tej okazji małe odkrycie... Niewesołe zresztą. Bo przez długi czas, właściwie jeszcze od szkolnych lat, Jacques i Decoin trzymali się zawsze razem, byli nierozłączni. Ostatnio trochę się ich stosunki rozluźniły... Jak przyszła nędza i głód, Decoin zaczął się załamywać. Poddawał się. Zaczął pić. Z żoną też coś nie bardzo się układało. Bil ją. Ona też nie była lepsza. Zaniedbywali swoje dzieci. Decoin był długo bezrobotny. Wtedy właśnie nabrali złych nawyków. Teraz, kiedy i Decoin miał wczoraj pracę, nie umieli się ich wyzbycić. Ostatecznie Jacques miał dość swoich zmartwień. Nie potrzebował jeszcze do tego cudzych. Ale przedwczoraj, idąc do roboty, postanowił wybać swego przyjaciela.

— Jakoś często biorą nas do pracy, od jakiegoś czasu...

skazywać człowieka... Więc Dupuy nie nie mówi, tylko wstaje, wiska ręce do kieszeni i rzuca takim tonem, jakby chciał nadać swoim słowom jakiś ukryty sens:

— Sikać mi się chce z tego wszystkiego.

Odechodzi, ale Jacques idzie za nim. Dogania go na pokładzie. Mokra wiatr przepływa między nimi jak strumień wody.

— Musisz ze mną porozmawiać, Dupuy — mówi Jacques. Przybiera nawet zaczepny ton. — Co ty byś zrobił na moim miejscu?

— Co na twoim miejscu? — pyta tamten, żeby uchylić się od natychmiastowej odpowiedzi.

— Wiesz, o co mi chodzi. Nieładnie z twojej strony tak mnie zbywać.

— Cóż, nie do każdego można mieć zaufanie.

Jacques czuje, że krew w nim za-bulgotała, ale się powstrzymuje.

— Co ja ci mogę powiedzieć? — ciągnie zresztą dalej Dupuy. — Daj ci robotę, to bierz, nie o to chodzi. Chodzi jednak o to, dlaczego właśnie ciebie wybierają i tobie dają robotę, a nie innym.

— To mnie właśnie nęka. Bo możesz być pewny, że niczym sobie na to nie zasłużyłem.

— Ależ ja ci wierzę — mówi Dupuy tonem, który może znaczyć rownie dobrze coś wręcz przeciwnego. — Może chodzi im o to, żeby mieć ciebie w ręku na przyszłość. W każdym razie, jeśli o mnie chodzi, ja tam zawistny nie jestem...

— A jeśli chodzi o innych? — pyta Jacques.

Zeszli kładką na ład, stoją teraz u stóp statku. Dupuy próbuje żartować, nie chcąc dawać obowiązującej odpowiedzi:

— Widzisz. To też nie moja wina. To wiatr... No, odsuń się wreszcie, całego cię obsikam.

Zmusza się do śmiechu. Jacques zaczyna się gniewać.

— Nie masz do mnie zaufania, co?

W końcu Dupuy też traci cierpliwość. Rzuca twardo:

— Słuchaj, bracie, zaczynasz mnie trochę denerwować, wiesz? Nic ci nie mogę poradzić. To twoja sprawa! Ja pracuję w tym miesiącu pierwszy dzień. Tyś już chyba z piętnaście dni wyrobił. Powtarzam, nie mam nic przeciwko temu. Ale ostatecznie nie żądam ode mnie, żeby mi się jeszcze nad tobą rozkładał, tak czy nie?

Więcej jest w tych słowach żalu niż prawdziwej złości. Jacques zdaje sobie z tego sprawę. Bez słowa, jeden za drugim wstępują po kładce na statek. Owiewa ich nagłe turban kurzu, który wzbil się ze stojącej na molo ciężarówki, napelnionej w jednej chwili zawartością chwytaka.

Teraz trzeba spytać jęczmień na kupę, żeby chwytak miał się w czym zanurzyć. Dupuy i Jacques pracują jeden obok drugiego. Czasem, pod ziarnem, zderza się ich łopaty. Nie mówią do siebie ani słowa. Za to w głowie Jacques'a zdarzają się różne myśli... I tym razem złość na Dupuy, który zmył mu głowę, przechodzi szybko. Pozostaje dialog z samym sobą. Bo to prawda, nawet jeśli świadomie, naumyślnie nie takiego nie zrobił, musi być przecie jakiś powód, że majster jego właśnie wybiera, a nie kogo innego. Jacques musi wiedzieć, co to za powód. Grzebie w swojej pamięci, jakby w niej też przesypany ziarnem.



Jacques nie śmie od razu mówić o tym, co go dręczy. Zaczyna z bardzo daleka.

— Dajcie spokój, gdy się przez miesiąc nie pracowało i wraca się później do roboty, nie ma człowiek żadnej chęci do pracy. Jak tak dalej pójdzie, przestaniemy się czuć robotnikami, nawet zapomnisz bracie, że masz jakiś zawód.

Dupuy popatrzył na niego uważnie. Chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Pomyślał o Henri. Jak mu powiem parę ciepłych słówek, pomyślał, Henri znów gotów twierdzić, że jestem niesprawiedliwy. Niewyraźna to wprawdzie historia, masz rację, powiedziałby na pewno, ale to jeszcze nie powód, żeby

na. Okrętów na „brudną wojnę” w Indochinach nie ładował, tak jak i inni nie ładowali — nie w tym rzecz. Nie było strajku, żeby do końca nie dotrzymał — więc i nie w tym... Należy do C. G. T., tak jak i inni. Nie należy wprawdzie do partii, ale do żadnej innej też nie — więcej jest takich. Ale o nim wiadomo, że nie jest komunistą. Może dlatego jest dobrze widziany przez te świnie? Jego łopata, pod jęczmieniem, napotyka łopatę tamtego... Może chodzi im o to, żeby mieć ciebie w ręku na przyszłość... powiedział przed chwilą Dupuy.

„Żeby mieć ciebie w ręku na przyszłość”. Tak, dotychczas nie miał sobie prawie nic do wyrzucenia, ale

JĘCZMIENIU

Jak to będzie w przyszłości? Czy to możliwe, że Jacques mógłby się zapać na taki haczyk? Nie jest już przeciw dzieckiem. A jednak... Narazie mowy nie ma, naturalnie. Na przykład, gdyby jutro przyszło ładować statek do Indochin, wie, że odpowiedź byłaby ta sama. Nie. Ale jednak... Wyobraź sobie, że taki Dupuy nieprzyjemnie ci przygada, że ty pracujesz, a inni nie... Z twoim charakterem... I tak już dzisiaj dwa razy spojrzales na niego z niechęcią... Dlaczego? Bo masz, bracie, wrażliwy naskórek. Zastanawiasz się, czy twoi koledzy nie patrzą na ciebie jak na lotra, który przeszedł na tamtą stronę. I dochodzi do tego, że uważasz swoją pracę za jakąś

wadę, za jakąś wstydliwą chorobę. Czasem chciałbyś rzucić okiem za siebie, przekonać się, że nikt na ciebie nie patrzy, że nikt nie mówi: Popatrz, Jacques dzisiaj też dostał robotę!... Tak, tak. Gdy widzisz jakiś cień na pomoście, podnosisz oczy, żeby zobaczyć, kto też mógł ciebie podglądać przy pracy. Jakbyś się czuł bez przerwy winnym. Więc znając swoją wybuchowość... I w końcu, gotów jesteś uznać taką Dupuy i innych za swoich wrogów i przejść na tamtą stronę, po to chociażby, żeby samego siebie przekonać, że masz rację. Jacques wdrygnął się. Tak źle jeszcze nie jest. Ale widzisz, już ci nawet taki pomysł przyszedł do głowy...

— Jak ty to robisz, żeby w taką pogodę się pocić? — pyta Dupuy.
W odpowiedzi Jacques zmiata rękawem marynarki krople potu z czoła.

— Nie masz chustki? — pyta Dupuy, wyciągając swoją, dużą, kraciastą.
— Dziękuję — mówi Jacques. Pierze chustkę i wyciera sobie twarz jednym ruchem ręki.

Dupuy szukał widać sposobności. Chustka nie jest najlepszą okazją do podjęcia przerwanej rozmowy. Ale Jacques rozumie, co tamten chciał przez to wyrazić. Pewnie Dupuy znów przypomniał sobie Henri'ego. „Nie można być niesprawiedliwym. Trzeba zrozumieć, że nie wszystkim to łatwo przychodzi... Trzeba tłumaczyć ludziom... Uważać, oczywiście, nie brać jakiegoś drania za mrowego chłopaka... Ale drani nie ma znowu tak dużo... Czasami nawet to nasza wina, że człowiek idzie na psy. Bo mu się odcięło drogę powrotu...”. Tak, w tym jest cały Henri, to jest jego wieczna śpiewka. Tym bardziej denerwuje człowieka, kiedy zdaje sobie sprawę, że Henri ma rację...

Przerwa w pracy. Widać nie podjechała nowa ciężarówka. Tym razem Dupuy odciąga Jacques'a na stronę. I teraz naprawdę czują się tak bliscy jak bracia, jakby ta niedawna kłótnia ich zblżyła.

— Wiesz — mówi Dupuy — nie chciałbym ciebie do niczego namawiać. Sam musisz wiedzieć, co masz zrobić, Jacques.

Jacques myśli głośno:
— To jest właśnie dno nędzy, że pracując, musisz się wstydzić tego, że pracujesz, gdy inni są bezrobotni...

Dupuy znów nie wie, co powiedzieć. Wstawia się w jego położenie. Nie łatwo coś poradzić Jacques'owi. Odpowiada trochę mętnie, tak na wszelki wypadek:

— Właśnie nędzą chcę nas przeciwieństwo złamać, nie można do tego dopuścić.

Trochę to brzmi sztucznie, jak frazes. Wiadomo, ale co z tego? Słowo „nędza” wystarczy, żeby Jacques myślał był już daleko. Dla niego „nędza”, to znaczy Francine, powstrzymująca łyż w gardle, dopóki maż się nie odwróci. Pobrali się dopiero pięć lat temu. Francine jest jeszcze młodzieńką. Mają dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę, śliczne oboje. Francine oczekuje dziecka. Zdała sobie z tego sprawę w najgorszym okresie bezrobocia. Tydzień przedtem wysłała chłopczyka do jakichś chłopów pod Tours, którzy chcieli przyjąć na pewien czas dziecko dokera. Dla dziewczynki nie wystarczyło już nawet na mleko. Dawało jej się do butelki gotowaną wodę z przecieranymi kartoflami. Dno nędzy. I ten potworny wieczór, podczas którego nie zamienili ani jednego słowa, prowadząc jednocześnie ze sobą najstraszniejszy z dialogów. Wtedy Jacques też nie wiedział, co jej radzić. Ale wiedział dobrze, o czym ona może myśleć, czując w swym łonie ten ledwie zaczątek dziecka, czując swą straszną odpowiedzialność za te kruchą odrobinę życia, odrobinę tak małą, że byle co mogło jeszcze ją zniszczyć, byle co... Jacques przypomina sobie od razu i serce się w nim zaciska na to wspomnienie, najokrutniejszą chwilę tego wieczoru. Pomiędzy nim a żoną mała ich córeczka zaczęła bawić się lalką... Nie chciał wyjnować jej zabawki z rąk, bojąc się zwrócić uwagę Francine'y. Dziewczynka pieściła, całowała swoją zmiacaną córkeczkę. Wieczór był zbyt spokojny tego dnia. Słychać było jedynie dochodzące z pełnego morza jednostajne, bolesne zawodzenie, podwodne pojeżdżanie przycumowanej boi. Tym razem Francine nie mogła się już opanować. Zaczęła cicho popłakiwać nad swoją robotką i łyży padały na jej ręce, które spokojnie, obojętnie poruszały druty, jak gdyby ręk to nie dotyczyło, jak gdyby dla nich istniała tylko ta mała czapczka z różowej włóczki, która zaczynała powoli przybierać kształt dziecięcej główki. Wtedy Jacques

wziął ją za ramiona i przytulił bardzo mocno do siebie, a ona dając raz upust łzom, zaczęła głośno szlochać. Trochę to jej ulżyło.

Dupuy też się zamyślił. Z tym wszystkim stają się coraz bardziej posępni, coraz bardziej pograzeni w swych myślach. Oczy Jacques'a natrąfiły na duży zadziór na stalowym słupie podtrzymującym pomost. Ten statek był na pewno terdowany czy bombardowany w czasie wojny. Można się ładnie o to skaleczyć, przechodząc... Taki duży, odwrocony przecinek, ostry jak sztybet. Wystarczy się pośliznąć w jęczmieniu, nadziejesz sobie głowę albo rękę...

W nędzy najgorsze jest to, że nie uszanuje ona niczego. Żeby tylko głód i zimno... Ale ona wżera się wszędzie, nawet tam, gdzie się wydaje, że jesteś sam, tylko we dwoje, przenika do najskrytszych, najgłębszych uczuć, brudzi to co najcenniejsze, najczystsze... Brudzi wszystko. I nawet Francine... Jacques zdaje sobie sprawę, że dlatego właśnie Francine waha się czasami między swymi dwiema przyjaciółkami, Paulette, żoną Henri Leroy i tą drugą, której Jacques nie lubi, Luce, żoną Decoina...

Ale ten pomysł z raną!... Ten stalowy zadziór, od którego Jacques nie może oderwać oczu. Bo przecież rana byłaby najlepszym wyjściem z sytuacji.

— Dupuy, słuchaj, a gdybym ja poszedł na ubezpieczalnię?

Jeszcze po takiej wypłacie jak ostatnia byłoby z czego żyć... Ubezpieczalnia płaci proporcjonalnie do zarobku z ostatnich dwóch tygodni... I skończyłyby się wszystkie podejrzania... Może niektórzy by się nawet domyśliли... Czy to będzie uczciwe? A nędza, to jest uczciwe?

Dupuy nie bardzo chce się do tego mieszać. Jacques odwraca się, widzi, że z tego miejsca, gdzie są, nikt ich nie może dostrzec. Wyciąga nagle z kieszeni nóż, otwiera go:

— Dupuy, zrób to dla mnie.

Robi sobie znak na ramieniu w kształcie V. To by zupełnie tak wyglądało, jak... Wskazuje wzrokiem na stalowy słup.

Ale Dupuy patrzy na niego uważnie, gotów w każdej chwili się odwrócić. Nie o krew chodzi, nie o ranę. Gorsze rzeczy w porcie się widziało. Nie ma dnia... Niejedyn raz, gdy podajesz komuś rękę, czujesz w dłoni puste miejsce po palcu. Zwykła rzecz. Tu chodzi o co innego. Gdyby to był prowokator? Łatwo zrobić głupstwo. Zdać ci się, że dobrze zrobisz. A potem będzie na partię. Kiwa głową, że nie, odwraca się, odchodzi. Lecz za chwilę znów się odwraca, jakby przecuł...

— Jacques!

Zobaczył tylko jak tamten przycisnął ramię do stalowego haka i podparł się jakby wysadzał drzwi z zawiasów, zobaczył tylko rozdarty rękaw i krew.

— O cholera! Ale boli! — syczy Jacques, podtrzymując ranioną rękę. Inni słyszeli okrzyk Dupuy. Podchodzą do nich. Wolają majstra.

— Widziałem, jak upadł prosto na ten zadziór — mówi Dupuy. — Pośliznął się w jęczmieniu. Trzeba uważać, ten hak cały zarzewiały.

Ale podtrzymując ramię bladego Jacques'a, mówi mu na ucho:

— Lepiej by jednak było, żebyś miał odwagę swoich przekonań. Jacques nie bardzo rozumie, o co mu chodzi... Zresztą Dupuy też byłby w kłopotcie, gdyby musiał tłumaczyć...

Doprowadzić się do takiej historii, żeby tylko nie pracować, i to nie będąc wcale obibokiem! Bo przeciwnie, jeśli robotę z nich lubił przedtem swoją robotę, to właśnie on, Jacques.

Zdjęli mu marynarkę. Rozerwana koszula lepi się do rany.

— Ostrożnie, na górze zimno!

Rana niczego. Po całym ramieniu sypła gęsta czerwona ciecz. W jęczmieniu różowi się duża, mokra plama. W piwie spokojnych ludzi będzie gdzieś trochę krwi.

André Stil
tłumaczył Jerzy Lisowski

Z nagrodzonej w marcu b. r. Nagrodą Stalnowską II stopnia powieści „Pierwszy cios”, która ukazała się niebawem nakładem S. W. O. „Czytelnik”.

Prasa amerykańska nazwała Pinay'a „współczesną Joanną D'Arc”



Rys. Jerzy Flisak

ANNA JAKUBISZYN

„Zakeria“ i jej autor

W romantyzmie francuskim szczególnie silnie występuje nurt realistyczny, co uwydatnia dwójsty charakter tego wielkiego prądu kulturalnego, który dotychczas nie doczekał się jeszcze pełnego namświetlenia. Romantyzm, a zwłaszcza romantyzm francuski, jest zjawiskiem nader skomplikowanym. Najlepszym tego dowodem może być ogromna rozbieżność sądów, jakie na jego temat wygłaszano, a które przeważnie wcale nie brały pod uwagę jego źródeł społecznych, lub w minimalnym tylko stopniu uwzględniały moment historyczny, obfitujący w tak wybitne, a zarazem odmienne indywidualności, jak Balzac i Lamartine, Stendhal i Musset, George Sand i de Vigny.

Romantyzm w dziedzinie kultury był bezspornie odpowiedzialnikiem Rewolucji Francuskiej. Ten żywiołowy prąd, którego zasadniczą cechą była głęboka demokratyzacja treści i formy sztuki, w zasadzie spełnił postulaty mieszczańskich teoretyków XVIII wieku, i byłby nie do pomysłienia bez tej burzy dziejowej, która zmiołła dawny układ społeczny z jego przesądami, upodobaniami i „dobrym smakiem”. Z drugiej jednak strony romantyzm francuski przybiera swój ostateczny kształt po wykrwawieniu Francji w wojnach napoleońskich, w chwili, gdy ideały Rewolucji ponoszą niejako podwójną klęskę. Jedną — przemijającą — w postaci powrotu Burbonów i dawnych form ustrojowych, oraz drugą — znacznie głębszą i istotniejszą — gdy zwycięski kapitalizm okazuje się jak najdalej od hasła równości, wolności i braterstwa, wypisanych na sztandarach przez bojowników Rewolucji, a rychło ciśniętych do lamusa przez triumfujących władców Giedy.

Ta rozbieżność rewolucyjnych ideałów i porewolucyjnej rzeczywistości wydaje się być zasadniczą przyczyną „tragedii romantycznej”, tragedii, na którą twórcy tej epoki zareagowali, z grubszą biorąc, w dwojaki, a zgola odmienny sposób (pomijamy tu przedstawicieli stanowiska zdecydowanie i jawnie wstecznych). Jedni, w ucieczce przed rzeczywistością, która przynosiła im same rozczarowania, zabrnęli w „krajną uludę”, pograżając się w rozmaitych formach odwracania od świata realnego i wkraczając ostatecznie na wąską i jałową ścieżkę „sztuki dla sztuki”. Inni, mocniej związani z rzeczywistością, nie odwrócili się od niej, lecz sięgając do niej po tworzywo — powołali do życia wielkie dzieła realizmu krytycznego.

Wśród utworów dążących do pełnego a zarazem rewizjonistycznego odzwierciedlenia rzeczywistości współczesnej i minionie znajdują się również znaczna część spuścizny Prospera Merimée, a przede wszystkim jego młodzieńcze utwory dramatyczne, „Teatr Klary Gazul” (1825) i „Zakeria” (1828).

Prosper Merimée (1803 — 1871), syn kulturalnych i utalentowanych rodziców, bardzo wczesnie zetknął się z elitą umysłową ówczesnego Paryża i rychło zadeklarował się rwą twórczością jako reprezentant obywatela romantyków. Merimée, bywałec postępowych salonów literackich, związał się ze skrzydłem romantyków-liberałów, których trybuna stać się miał „Globe”, późniejszy organ saint-simonistów. W tych kołach Merimée zapoznał się i zaprzyjaźnił ze znacznie starszym od siebie, ale bliskim mu pod wielu względami „huzarem romantyzmu” — Stendhalem (1783 — 1842) Stendhal w latach 1823 — 25 pisze swą słynną broszurę „Racine i Szekspir”. Jeden z pierwszych manifestów romantyzmu francuskiego, w którym postuluje teatr współczesny, zgola odmienny od poetyckiego i lirycznego teatru Wiktora Hugo. Pragnie on sztuk pisaných przez wywołanych z pięć „trzech jedności”, o tematyce zaczerpniętej z historii narodowej. Za wzór stawia Szekspira, wychodząc z założenia, że Francja porewolucyjna przeżywa podobny moment co elżbietańska Anglia.

Realizacji tych postulatów dopatrywać się można właśnie w „Zakerii”.

Nawet dzisiejszego czytelnika uderza niezwykła śmiałość i nowatorstwo treściowe i formalne „Zakerii”, sztuki, napisanej przez młodocianego autora, którego po „Teatrze Klary Gazul” współczesni wielbiciele obwołali „francuskim Szekspirem”. I trzeba powiedzieć, że gdy przed oczyma przesuwają się nam posępne, a zarazem pełne życia i prawdy obrazy „Zakerii”, myśl nasza zwraca się mimo woli ku potężnym panoramom historycznym wielkiego Strafordczyka.

Już sam wybór tematu świadczy o rewizjonistycznej postawie młodego pisarza: trzeba było nie lada śmiałości, by w roku 1828, pod władzą „miłościwie panującego” Karola X, w okresie reakcji monarchistyczno-klerikalnej, poświęcać sztukę XIV-wiecznemu buntowi chłopów, który przez oficjalnych historioGRAFÓW traktowany był tak mniej więcej jak u nas rabacja galicyjska.

Nowatorstwo treściowe Merimée'go najlepiej okraszają słowa Arago-

na z wstępu do „Zakerii”: „Wielki mój, zanim ktoś powie, że winę za wojnę ponoszą nie chlapi, lecz ci, którzy wielkimi słowami się osłaniają prowadzili przeciw Pociętemu Jasiowi wojnę codzienną, ci, którzy zwycięscy i czerwoni od chłopskiej krwi wymyśliли Zakerię w tej formie, jaka znana jest powszechnie. Wielki mój, zanim młody Prosper Merimée... napisze pierwsze dzieło, mówiące o Zakerii i da jej zaiste prawdziwy obraz”.

Merimée przedstawia Zakerię jako wielki wybuch gniewu mas chłopskich, doprowadzonych do rozpaczki uciśkaniem panów feudalnych (nawiasem mówiąc ten obraz rewolucji z wizją, pozostawioną przez romantyka-arystokratę w — „Nieboskiej Komedii”).

Nową, rewolucyjną treść autor zamknął w niemieńkiej nowatorskiej, odkrywczej formie, uzyskując rzadkie połączenie romantycznej swobody z klasycznym umiarem i dojrzałością środków ekspresji.

Utwory romantyczne zwykliśmy kojarzyć z postacią „bohatera romantycznego” — posępnego młodziana czy meża, stojącego z dala od tłumy, a raczej ponad tłumem (chętnie... na szczytach górskim), samotnego i niezrozumianego. Niczego podobnego nie ma w „Zakerii”. Protagonistami są tu masy ludzkie, a ściślej biorąc dwie klasy społeczne: chlapi i panowie. Operując tłumem autor z wielką siłą sugestywną potrafi zróżnicować poszczególne postaci, oddając im wyrazistymi i przekonującymi rysami psychicznymi. Więcej, charakter i zachowanie tych postaci jest określone z wielką precyzją ich stanowiskiem społecznym, przy czym sukcesem Merimée'go jest ukazanie sylwetek równie typowych jak indywidualnych.

O zadziwiającej bystrości, z jaką Merimée patrzy na odległą epokę, świadczy trafne, prekursorskie ukazanie roli sojuszu chłopów i ludności pracującej miast, którego nie postydziłby się dzisiejszy pisarz-marksista.

Walory „Zakerii” podkreśla język dialogów, jakże „klasyczny” w porównaniu z rozwierzeniem innych romantyków, zwięzły, rzeczowy, a zarazem barwny, celny, znakomicie zindywidualizowany i subtelnie a umiejętnie archaizowany (nie zapomnijmy, że Merimée był mistrzem mistyfikacji, a jego „zbiór poematów ilirskich” — „Guzla” — został wzięty za dobrą monetę przez takich czytelników jak Goethe i Puszkina). Oczywiście, że przekład tak specyficznego tekstu nie był rzeczą łatwą — trzeba zapisać na konto tłumacza, że w zasadzie obronną ręką wyszła z trudności stylizacyjnych, które czyhają tu na każdym kroku. Szkoda, że przy walorach literackich przekładu nie udało się jej utrzymać od pewnych dość rażących poślizgnięć. A oto kilka przykładów. „De gueule au lion rampant” zostało przetłumaczone jako „paszcza skradającego się lwa” (23 str.), gdy jest to zwrot heraldyczny na oznaczenie lwa, wspinającego się na tylnych łapach w czerwonym polu („gueule” w tym znaczeniu pochodzi od perskiego „ghul” — róża). Mały Konrad chce „raćcy jelenia, by zrobić z niej rękocięcie bicia” (90 str.) — chodzi oczywiście o nóżkę jelenia (w oryg. „pied du cerf”), w racie trudno by cośkolwiek opawić. Słowo „ribauts” jest systematycznie tłumaczone jako „rozpustnicy”, co odpowiada co prawda jego znaczeniu w dzisiejszej francuszczyźnie, ale w zastosowaniu do zbuntowanych chłopów nie jest trafne — należało raczej sięgnąć do pierwotnego, historycznego znaczenia. Prawdziwą zagadką jest zdanie z wstępu: „Kiedy Edward angielski wyładował w Caen w 1344 roku, w czym wojska Filipa de Valois nie przeszkodziły mu w najmniejszym stopniu, i toczył boje w odległości sześciuset kilometrów stamtąd.” (str. VII). Jak wynika z tekstu francuskiego i z historii w chwili lądowania Edwarda w Caen o 600 km stamtąd znajdował się Filip Walejski, który stał ze swymi wojskami na pograniczu Gujenny, będącej wówczas prowincją angielską...

Niedopatrzeć takich można by nazywać więcej — mamy nadzieję, że w następnym wydaniu, na które „Zakeria” na pewno zasługuje, nie będą one szpecić wartościowego składu przekładu.

Na podkreślenie zasługuje piękna oprawa graficzna „Zakerii” — stylowe i wymowne ilustracje oraz przerywniki Marii Hiszpańskiej. Żalować należy, że „Zakeria” nie została zaopatrzona w krótką choćby notatkę, informującą o postaci autora (cena przedmowa Aragona spełnia inne zadanie). Dla uzupełnienia tej luki przypomnijmy, że Merimée, pisarz stosunkowo mało u nas znany, był nie tylko świetnym nowelistą i dramaturgiem, ale także poetą (wspomniana wyżej „Guzla”), autorem znakomitej powieści historycznej, krytykiem literackim, który pierwszy badał za pośrednictwem swych artykułów o Puszkina. Turgeniew i Gogol zapoznali Francję z literaturą rosyjską, oraz historykiem i znawcą sztuki, wybitnie zasłużonym w dziedzinie konserwacji zabytków.

Warto, aby „Zakeria” zainteresowała się nasi ludzie teatru.

Anna Jakubiszyn



Jacques Duclos

Rys. Edouard Pignon

REZOLUCJE PLENUM ZLP

Protest przeciwko uwięzieniu Jacques Duclos'a i Andre Stila

Członkowie Związku Literatów Polskich zebrani w dniu 20 czerwca 1952 roku na rozszerzonym Plenum Zarządu Głównego, wyrażają oburzenie i protest przeciwko bezprawnemu uwięzieniu dwu wielkich patriotów i bojowników o pokój — Jacques Duclos i Andre Stila przez zaprzędany amerykańskiemu imperializmowi rząd Schumana i Pinay'a.

Jacques Duclos — Sekretarz Komunistycznej Partii Francji, jeden z bohaterów podziemnego ruchu oporu w czasie okupacji hitlerowskiej, niezłomny bojownik o wolność i demokrację, oraz Andre Stil — redaktor Humanité, demokratyczny pisarz francuski, odznaczony Nagrodą Stalnową — chronią drogęj nam wszystkim sprawy pokoju i postępu. Uwięzienie ich jest nie tylko obelgą dla demokratycznych i wolnościowych tradycji wielkiego Narodu Francuskiego, lecz stanowi również akt jawnej wrogości wobec pokoju na świecie.

Pisarze Polski Ludowej łączą się dzisiaj z wszystkimi ludźmi miłującymi pokój w wspólnym gorącym proteste przeciw barbarzyńskiemu terrorowi podlegającym sprzymierzonych z hitlerowskimi mordercami milionów Polaków. Niech nasz głos będzie jeszcze jednym wyrazem oburzenia całego Narodu Polskiego który uważa za swoich braci wszystkich ludzi walczących o pokój na świecie.

Rezolucja

w sprawie „Układu ogólnego”

Zaledwie 7 lat minęło od młodziącej klęski Hitlera i hitleryzmu, gdy imperialiści amerykańscy odważyli się najbardziej jawnie wskrzesić formy i metody owego haniebnego czasu, który pisarz polski nazwał „epoką złocistą”. Epoką pięciodobych krematoryjnych. Wypuszczone na wolność zbrodniarzy hitlerowskich, skazanych za eksterminację narodów, przywrócono prawo wreszczenia się organizacjom ludobójców, takim jak SS, SA i Gestapo. Wreszcie podpisany został w Bonn t. zw. „Układ ogólny”, który powołał do życia nowy Wehrmacht. Celem tego układu jest walka z narodami demokratycznymi, a przede wszystkim z narodem polskim. Wskrzesza się faszizm niemiecki — hitleryzm, rodzi się faszizm amerykański jako ostatnie próby sterroryzowania wolnościowych dążeń mas ludowych. Pokój świata został zagrożony — imperializm amerykański w groźbie wojny, skierowanej przeciw narodom, szuka ratunku przed gniewem mas ludowych. Ale faszizm nie jest sam na świecie — ani we Francji, ani we Włoszech, ani u siebie w Stanach Zjednoczonych, ani w Niemczech Zachodnich. Prócz faszystów żyją tam wszędzie i ludzie. Ludzie pragnący pokoju i chleba, pragnący pracy i kształków. Ludzie, którzy nie chcą wojny! Z dniem każdym jest ich coraz więcej. Protesty mas ludowych we Francji, we Włoszech, w Niemczech — przeciwko FASZYSTOWSKIM KLAUZULOM „Układu ogólnego” są tak potężne, jak potężnym nie był jeszcze żaden ruch w naszych dziejach.

Pół miliarda podpisów pod Apellem Sztokholmskim, 600 milionów — bod żądaniem Paktu Płeciu Mocarstw, zatrzymanie ofensywy amerykańskiej w Azji, ruch oporu przeciw obecności generała Ridgway'a w Europie — a przy tym wzrost potęgi gospodarczej i kulturalnej krajów obozu pokój — oto dowody siły tego obozu, którego pierwszym szermierzem jest potężny Związek Radziecki. Tej siły mas ludowych, walczących o pokój, faszizm boi się najbardziej.

My, pisarze polscy, jesteśmy częścią wielkiej siły pokoju, siły kultury — siły życia. Zgromadzeni w Warszawie, w mieście, które tak gorzko poznało okropność wojny i które tak pięknie buduje się w pokoju, zgromadzeni na obradach, których celem jest dobra, szlachetna kształka, głos nasz dochodzi do głosu wszystkich ludzi na kuli ziemskiej: PROTĘSTUJEMY PRZECIWO WSKRZESZAJĄCEMU FASZYZM HITLEROWSKI „UKŁADOWI OGÓLNEMU” ZAWARTEMU W BONN. A protestując, zobowiązujemy się uczynić wszystko, by czytelnicy w ksiązkach naszych znależli te siły moralne, które pomnożą ich uczucia i wzmożną ich wole w wspólnej nam wszystkim walce o pokój, o dobro człowieka, o trwałość narodowych kultur — o socjalizm!

*) Prosper Merimée: „Zakeria”, przekład z francuskiego Joanny Guze; „Książka i Wiedza” 1952.

ANDRZEJ WRÓBLEWSKI

O kształt naszej architektury

(Na marginesie dyskusji na wystawie Architektury w Politechnice Warszawskiej)

Przede wszystkim stwierdzenie, które jest już truizmem — cała Polska jest pokryta siecią rusztowań. W konsekwencji dalsze trzaski — budownictwo przestało być zagadnieniem kameralnym; sprawą kameralnych rozmów pana (kapitalistycznego nakładcy) z architektem i przedsiębiorcą budowlanym, kameralnych tajemnic kosztorysów, kalkulacji i ogromnych zysków byznesu budowlanego. Z kolei — wygląd budynku przestał być sprawą indywidualnego gustu pana, który płaci i wymaga. Wreszcie — architektura przestała być sprawą drobnotowarowego warsztatu architekta i ukrytych w jego kuchni „murzynów”.

Zmieniła się skala. Sprawa stała się publiczną. Nie tylko dlatego, że wszyscy w Polsce czują się związani uczuciowo z ogromnym procesem przemian w naszej ojczyźnie, stawiającej fundamenty socjalizmu. (Pan Piekny, rozpoczynający swój niedzielny spacer od tygodniowego przeglądu postępów robót na budowie — to obrazek nie tylko warszawski). Obchodzi nas dziś — egoistycznie choćby — sprawa jakości w budownictwie, sprawa wyposażenia wewnętrznego domu. Interesuje nas z kolei i intrzyguje praca biur projektowych, tego mózgu wielkiego procesu przemian, gdzie architekt, dotychczas mag wysokiego stopnia wtajemniczenia i wszelkiej specjalności został sprowadzony do rzędu członka zespołu, rozwiązującego nowe, trudne, skomplikowane problemy w zmienionej skali.

„Inwestycje budowlane stanowią jeden z najtrwalszych przejawów działalności człowieka. Wpływają one przez swą długowieczność na kształtowanie się życia następnymi pokoleniami. Są więc czynnikiem tworzącym na wiele lat ramy przestrzenne wielkich zbiorowisk ludzkich, a tym samym są ważnym elementem składowym kultury narodu.” (Bolesław Bierut).

W ręce architekta, który nierzadko raczej z racji swojego wykształcenia tylko niż przez pasję tworczą nadaje kształt budynkom, złożony został nasz los. Architekt staje się naszym wychowawcą. Antycypując i kształtując ramy przestrzenne, w których my i ci co po nas przyjdą będą się obracać — decydują dziś o tym, jak mamy jutro żyć, jak chodzić i mieszkać, w jakiej konwencji jakie mieć zamożności. Decydują o dalszym rozwoju kultury.

Dlatego każde nowe zamierzenie wywołuje w nas tyle zainteresowania i radości i tyle niedosytu równocześnie. Stąd nasz niepokój gdy się przyglądamy projektom nowych budowli, albo wznoszonym już budynkom.

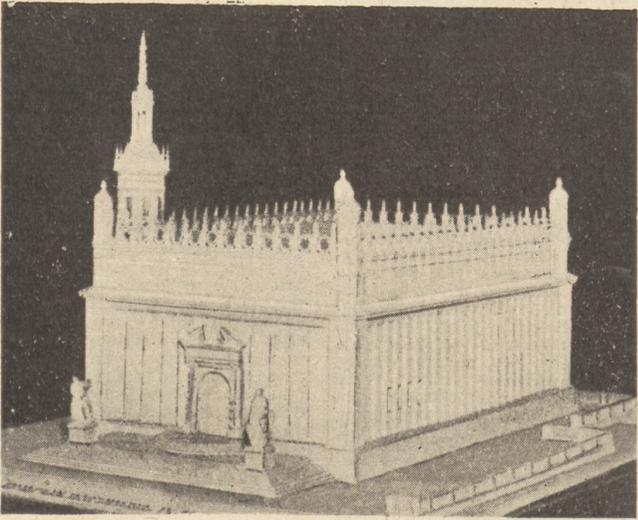
Ten niepokój i poczucie odpowiedzialności architektów za ramy przestrzenne naszej nadbudowy — odzwierciedla się nie tylko w żarliwych dyskusjach, gdzie się mówi o materiale, o formach, o kamieniu i wielkim porządku klasycznym. Linia podziału na żarliwych i oportunistów nie przebiega tylko wzdłuż pewnych tez ideowo-artystycznych, gdzie jeszcze pokutują resztki konstruktywizmu, funkcjonalizmu i innych stylów „technicznych”.

„Poza szerokimi dyskusjami każdy się lamie z sobą samym w wielkim procesie twórczym, każdy szuka najwłaściwszej formy, która będzie wyrazem nie tylko rozprawy z tym co było, ale i wyrazem tego, co się dzieje i osobistym wyrazem radości z natychmiastowej realizacji dzieła.”

W czasie dyskusji na tegorocznym pokazie architektury regionu warszawskiego prof. Gutt powiedział, że tamte czasy, epoka w której żył, cechowało zakłamanie i płynące stąd nieuczciwość, że rozwiązywanie problemów życiowych kwiatoowano sloganem. Objętne w tej chwili czy był to tylko osąd techniczny, osąd środków, jakimi autorzy dawnej się wypowiadali, czy też istotnie stosunek wypowiedziającego się publicznie architekta do tego co było. Faktem jest, że Gutt nie tylko powiedział, ale i pokazał różnicę między starym a nowym. Jego projekt Domu Wojska Polskiego o pięknych klasycznych proporcjach, dowód wielkiej kultury i szlachetnego umiaru — to przeniesienie wielkiego doświadczenia przeszłości i wielkiej wiedzy teraźniejszości na bryłę budynku. W rezultacie — wyraz prawdziwie humanistycznego stosunku do człowieka.

I to nie jest tylko sprawa wielkich, monumentalnych budowli. Podobny stosunek, choć w skromniejszej formie i odmiennej treści wyraża szpital w Grójcu (proj. inż. Buczkowskiego). Projekt jest wyrazem prostoty ale i bogactwa zarazem.

ALBUM — CZY COS WIĘCEJ?
Niedawno odbył się w gmachu Politechniki Warszawskiej eliminacyjny pokaz architektury regionu warszawskiego. (Równocześnie odbyły się pokazy w Gdańsku, Poznaniu i Krakowie, gdzie zgromadzone pokazy innych regionów). W Warszawie zakwalifikowano na pokaz 123 prace. Zasięg zagadnień — od Teatru Wielkiego projektu prof. Pniewskiego, bardzo pięknej, monumentalnej budowli, nawiązującej twórczo do klasycyzmu warszawskiego, poprzez projekty budynków mieszkalnych i typowych urządzeń przemysłowych, sportowych, biu-



Model pawilonu polskiego na Wystawie w Moskwie

rowców, szkół, szpitali aż do śpichrzy, obór i kurników. To ilustruje, co i ile się buduje dziś w Polsce. Zadna z tych prac nie powstała na zasadzie „będzie pokaz — trzeba coś przygotować”. Na to nie mają dziś architekci w Polsce czasu. To co pokazano — było normalną, bieżącą produkcją. Wystawione projekty już się buduje, albo będzie się budować za rok. A więc normalne projekty do realizacji. Nie utopia ale sprawy realne.

Realne, ale czy realistyczne? Przełom w dziedzinie architektury nastąpił później niż w innych dyscyplinach sztuki. Krajowa Narada Architektów, członków partii, w czasie której nastąpiła generalna rozprawa z ideologią architektury pudełkowej, odbyła się wprawdzie w 1949 r., ale na skutki trzeba było czekać dłużej. Większość architektów polskich wrosła w grzeszki kosmopolityzmu i bezideowości, jaką niosą te kierunki architektury. Rucono hasło realizmu socjalistycznego.

ZAGMATWANE ŚCIEŻKI POSZUKIWANIA

Realizm w architekturze — sprawa trudna. Przecznodząc najrozmaitsze wygięcia i zwyrodnienia — architektura nie straciła w zupełności swojego realistycznego charakteru. Ale realizm socjalistyczny? — Czym zastąpić gotowy album przerożnych zagrań architektonicznych zachodu, zapamięnianych dziełami różnego rodzaju apologetów i naśladowców Corbusiera? — Słowa Prezydenta z I Konferencji Warszawskiej PZPR „...odrobni musimy zamiebania na odcinku form architektonicznych naszego budownictwa. Nasi architekci w większym stopniu winni nawiązać do zdrowych tradycji naszej architektury narodowej, dostosowując je do nowych zadań i nowych możliwości wykonawczych i wkładając w nie socjalistyczną treść” — przyjęto nie jako wskazanie metody, ale jako bezpośrednie zażalenie, adres bez mała. Powstał nowy album, złożony ze starych szychów i fotografii. Do arsenału środków weszły elementy renesansu polskiego, klasycyzmu warszawskiego — ratusz w Sandomierzu, Rynek w Zamościu, kamienice w Kazimierzu, Toruń, Kraków, Krasiczyn — to „załatwiało sprawę”.

Inne zagadnienie — architekci stali pod nieustannym przymusem produkcji. Wielkie naciski wykonawstwa, które zawsze spieszy, bo musi wykonać plan i które czeka tygodniami w przedpokoju biur projektowych, ażeby zerwać gorący jeszcze projekt z rajzretu — nie ułatwiły sprawy, nie pozostawiły czasu na przemyślenie i pogłębienie metody.

Nad pracownikami architektonicznymi zawiśla groza nowego schematu, schematu z magazynu rekwizytów tradycji narodowych. Najczęstszym zagranem staje się teraz atyka, ciągniona bez umiaru na całej długości budynku; jakieś efektowne zwieńczenie, jakaś broszka i to wszystko. Przesunięcia w skali — zagubiły detal. Azury nie grają ani na budynku, ani w sylwecie ogólnej.

Ślady tego wszystkiego widać jeszcze na pokazie. Bez względu na zawyżają i szczerą młodzież, której przedstawiciele brali udział w dyskusji na pokazie, stwierdziła: „Schematyzm, który obserwujemy na wystawie wynika stąd, że architekci nie rozumieją treści, szukają łatwego rozwiązania, stosują wiele detali, zwieńczeń itp. Detale są opracowane bezmyślnie, byłoby to była jakaś broszka.”

Któryś z dyskutantów stwierdził, że właściwie nie można mówić o architekturze, skoro większość budynków nie jest wkończona, bo nie ma elewacji, która decyduje o wyglądzie budowli. Słusznie. Ale równocześnie inny architekt musiał samkrytycznie stwierdzić, że formy budynku można odczytać z samej bryły, i że ciężar zagadnienia nie może polegać tylko na okładzinie i maouillage'u. A więc przełom musi się zaznaczyć już w stanie surowym.

CZY KLASYCYZM — ZA WSZELKĄ CENĘ?

Na pokazie jest wiele pięknych projektów, które będą kamieniami milowymi w tym okresie przełomu, jaki przeżywamy. Projekt pawilonu

polskiego na Wystawie w Moskwie jest jakby koncentratem naszych dobrych tradycji architektonicznych. Autor projektu arch. Stepiński nawiązał do pięknego renesansowego pałacu w Kracynie, jednej z pereł naszej architektury. Pięknie ukształtowana bryła tworzy jakby syntezę budownictwa, nawiązującego do tradycji narodowych. Są dobre budynki typowych gmachów szkolnych. Jest wiele eksponatów architektury wiejskiej, nawiązującej w sposób twórczy nie do szczytów i zdobnictwa a do charakteru naszego budownictwa wiejskiego. Jest wiele projektów architektury przemysłowej. Są typowe szpitale i przedszkola. Jest i architektura mieszkaniowa. Jury pokazu wyeliminowało 33 eksponaty na doroczny ogólnopolski pokaz architektury, który się odbędzie we wrześniu w Zachęcie; a więc 25 proc. eksponatów przeszło przez podwójne sito.

Ale te sukcesy, wśród których wiele jest dzieł o rzetelnym wysiłku i dużej wartości nie mogą przesłonić pewnych słabości. Jeden z wyróżnionych projektów to gmach Państwowego Przedsiębiorstwa Robót Dekoracyjnych, proj. arch. Leykama. Zasada wyrażania treści w projekcie występuje tu może aż nadto dosłownie. Mało tego — projektant uważał za konieczne „zasilić” swoje dzieło ercheitonem — tawizna wyłazi wszystkimi porami. Widać, że element klasyczny jest

Wystawę Architektury Wnętrz i Sztuki Dekoracyjnej, zorganizowaną w Zachęcie przez Związek Polskich Artystów Plastyków — sekcję AW i SD — należy traktować jako ciąg dalszy dwóch poprzednich wystaw, z których pierwszą zorganizował w 1946 r. Wydział Twórczości Ministerstwa Kultury i Sztuki, a drugą w 1948 r. tenże wydział przemianowany na Biuro Nadzoru Estetyki Produkcji. W porównaniu z poprzednim, wystawa obecna, tak pod względem różnorodności pokazanych zagadnień, jak i zakresu tematyki, jest najpełniejszym może sprawozdaniem z twórczości plastyków w okresie powojennym. Fakt, że przedstawia ona wszystkie działy Sekcji Architektury Wnętrz i Sztuki Dekoracyjnej, oraz to, że wszystkie terencowe oddziały ZPAP zgłosiły swój w niej udział, nadaje wystawie charakter ogólnopolski. Celem wystawy było zebranie i pokazanie powojennego dorobku artystów plastyków. Zebrany łog ty materiał winien umożliwić społeczeństwu sformułowanie opinii o roli plastyki użytkowej. Ocena ta jest uzależniona od odpowiedzi na następujące pytania: 1. czy na obecnym etapie plastyka współczesna rozumie rolę kształtowania w społeczeństwie nowych potrzeb estetycznych, 2. czy wystawa przyznia się do rozwiązania tego zagadnienia, 3. czy w stosunku do twórczości przedwojennej stanowi ona zwrot w nowym ujęciu zagadnień.

Możemy sobie z góry założyć że odpowiedzi na te pytania nie będą zawsze w pełni pozytywne, gdyby



Biblioteczka - biurko. (Z tych samych mebli segmentowych zestawionych inaczej)

tam przyfastygowany, w myśl zasady — i po co mają się czepiać? Radę techniczną to „urządza”, Komisja Oceny Projektów Inwestycyjnych nie może protestować, bo to przeciw PPRD, autorowi zaś, jak widać, to nie szkodzi, wszyscy są, albo udają że są, zadowoleni.

Elementy klasyczne we współczesnej architekturze to rzecz główna. Tłumaczy się to słusznym nawiązaniem do tradycji.

— Ale czy klasycyzm wszędzie i za wszelką cenę?

RZECZYWISTOŚĆ GOSPODARZA A PROJEKT ARCHITEKTONICZNY

Wróćmy do sprawy realizmu. Niedawno „Trybuna Ludu” zamieściła artykuł Juliusza Goryńskiego, w którym autor mówił o związku między metodą realizmu socjalistycznego a kosztami. „...Realistyczne ujmowanie zadań architektonicznych i urbanistycznych może uchronić nas przed fałszywym przecenianiem znaczenia swojego dzieła...” — pisze Goryński. I dalej: „...świadome wiązanie twórczości urbanistycznej i architektonicznej z ekonomicznymi postulatami gospodarki planowej, wstuchanie się w krytykę mas i naukowe podbudowanie praktyki projektodawczej — przyspieszają znalezienie dróg prowadzących do realizmu socjalistycznego w architekturze”.

Wydaje się, że to wskazówka konkretna. Nie woalujemy znów wszystkiego w wielkie słowa inwencji twórczej, indywidualności autora. Nigdy żadne nakazy gospodarze nie uniemożliwiały powstawania rzeczy pięknych. Tym mniej u nas, gdzie dyktatura proletariatu tak dalece opiekuje się sprawami sztuki i architektury.

Twórcze odbicie rzeczywistości — to konkretna znajomość nie tylko praw rozwoju w ogóle, ale warunków ekonomicznych i planów gospodarczych w szczególności. Równie dobrze w architekturze jak i w innych dyscyplinach sztuki. A więc i budownictwo nasze będzie odbiciem twardej walki klasy robotniczej o realizację tych planów, odbiciem naszych sukcesów i trudności, jakie przeżywamy.

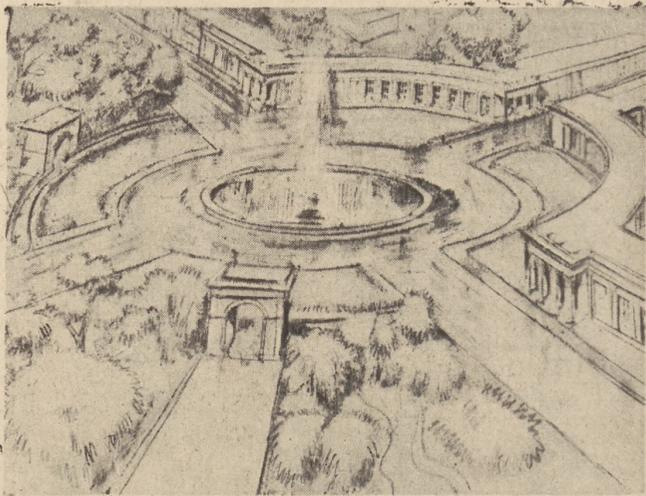
Wystarczy zresztą odwołać się do cytowanego już głosu jednego z architektów, który mówi, że forma nie może polegać na elewacji tylko. Właśnie trudności z okładziną kamienną, czy z cementem na tynki zewnętrzne — inuszą zostać chwilowo przynajmniej wzięte pod uwagę przez projektanta.

Jeden z wyeliminowanych na pokaz wrześniowy projektów — pr-

jekt osiedla mieszkaniowego Praga II, arch. Geyzłora, zaawansowany zresztą w realizacji — jest najmówniejszym przykładem, że forma zaznacza się już w stanie surowym

Zresztą — wykonawstwo, kurczowe trzymanie się przez projektantów starych metod i starych materiałów — to też jedna z przeszkód na drodze do realizmu. W czasie dyskusji inż. Kleyff wyraźnie stwierdza, że konstruktorzy i technolodzy nie mają zrozumienia dla spraw plastyki. Wszelkie usiłowania architektów napotyka na opr z ich strony. Ale z drugiej strony — przyznaje inż. Kleyff — architekci nie rozumieją zagadnień technicznych, uciekają od pogłębienia myśli technicznej. Nie chcą poddawać się dyscyplinom, jakiego prefabrykacja pociąga za sobą.

Wydaje się, że nawiązywanie do dobrych i zdrowych tradycji z naszej przeszłości nie jest równoznaczne z adresem. Skąd można dosłownie czerpać gotowe wzory Jeżeli jednym z tych adresów jest epoka odrodzenia — to możemy przyjąć z renesansowego rzemieślnika. Jego niezwykle wprawy umysł i ręce, równocześnie złotnika, malarza, rzeźbiarza, konstruktora i statyka — trzeba dziś zastąpić odpowiednim zespołem specjalności. W takim zespole nie może zbraknąć ekonomisty kalkulatora, rzeźbiarza, technologa, statyka i konstruktora, i tylu wreszcie innych specjalności, zaangażowanych dziś w budownictwo. Zespół taki musi ożywiać jeden światopogląd, musi on być ideologicznie jednorodny. I to wspólnie,



Projekt zabudowy Ronda Waszyngtona na Saskiej Kępie. Głównym elementem architektonicznym jest tu kompleks gmachów Domu Plastyka

OSTATECZNE WNIOSKI

Wniosek stąd dalszy — tkwimy w starych formach budownictwa. Postępujemy się już wprawdzie nowymi narzędziami pomocniczymi, maszynami i transporterami. Ale nie wyciągnęliśmy konsekwencji z postępu technicznego, jaki się dokonał. A prefabrykat w szerokim znaczeniu, przemysłowe przygotowanie nowych, dużych elementów budowlanych — jest sprawą i ekonomii, i w konsekwencji sprawa nowej formy. (Zresztą będziemy to oglądać przy budowie Pałacu Kultury i Nauki).

zespołowe dzieło, któremu ostateczny kształt nada architekt plastyk będzie dopiero pełnym, twórczym wyrazem naszej pięknej, ale trudnej epoki.

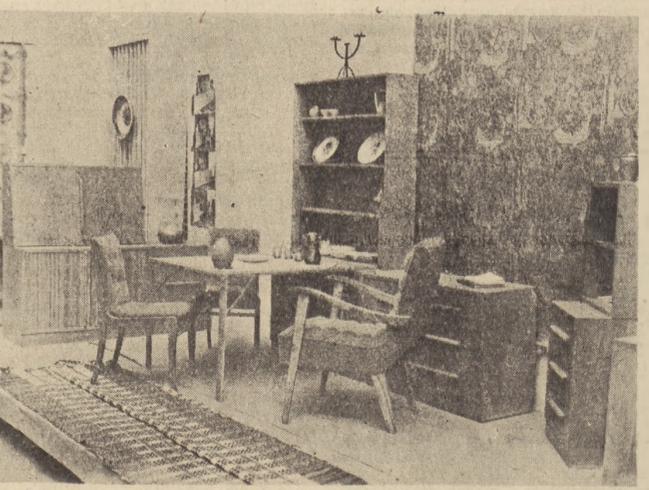
Andrzej Wróblewski

* Równocześnie z dyskusją na pokazie odbywał się w Warszawie zjazd Towarzystwa Urbanistów Polskich, poświęcony zagadnieniu budownictwa mieszkaniowego. Nie ma urbanistyki bez architektury i odwrotnie. Cemu, o tym nie pomyślały czynniki koordynujące i organizujące te imprezy? — Dyskusja architektów nałożona na rozważania urbanistów dałaby dopiero pełny obraz tego, co się dzieje w interesującej dziedzinie urbanizacji Polski.

NINA GUBRYNOWICZ

W poszukiwaniu

bowiem tak było stanęlibyśmy wówczas chyba u szczytu naszych osiągnięć, co jest niemożliwe w oknie poszukiwań nowych dróg, nie tylko w dziedzinie architektury wnętrz i sztuki dekoracyjnej, ale we wszystkich dziedzinach sztuki. Stwierdzić zatem można, że zagadnienie architektury wnętrz i sztuki dekoracyjnej nie dojrzało jeszcze do pełnego zaspokojenia potrzeb nowego społeczeństwa, potrzeb, które artyści wyraźnie już widzą. Liczenie się ze społeczeństwem i jego potrzebami



Fragment jadalni wg. projektu Mieczysława Puchaly. Meble t. zw. segmentowe

to już wyraźna zmiana w stosunku do stanu z okresu tzw. przedwojennego.

Jednakowoż droga ku postępowi, to droga ciężka i żmudna, wiodąca przez zmaganie się twórcy z licznymi trudnościami, których przewyciężenie częstokroć nie leży li tylko w możliwościach samych artystów plastyków. Trudności te sprawiły, że człowiek pracy, zwiędzając wystawę nie znajdzie tam jeszcze wielu eksponatów „dla siebie”. Same formy ekspozycyj — trudna czytelność sali poświęconej wystawianictwu okolicznościowemu i wnętrzem — oraz przewaga eksponatów unikatowych nad tymi, które przyjęte przez przemysł dostarczałyby wzorców do produkcji masowej nie mówią wiele o wykorzystaniu przez odbiorców nowych pomysłów plastyków w dziedzinie dekoracji wnętrz.

ki ceramiczne (będące przecież przeważnie zdobną stroju kobiety — wykwinłisni). Nie widzimy natomiast w galerii takich przedmiotów artystycznych, które towarzyszą nam stale w naszym życiu codziennym. W dziale z zabawkami

wielofunkcyjnych i łatwo przesuwalnych mebli. Jeżeli potrzeba społeczna nie dyktuje w pierwszym rzędzie swoich praw artysty, powstają sprzety dziwaczne w kształcie i mimo swej pomysłowości — niepraktyczne. Do tej kategorii zaliczymy te meble, w których „trick” staje się nie środkiem, ale sam dla siebie celem. W myśl tego kryterium ganić będziemy niepotrzebnie nikomu bufety-skrzynie, kryjące w swym wnętrzu łożko, albo twarde i nieużywane w naszych mieszkaniach ławki, zmieniające się pod wpływem skomplikowanego mechanizmu w niezbyt wygodne łożko. Tym niemniej byłoby krywdą dla sprzętarswa ośgażać z ujemnego punktu widzenia wszystkie eksponaty tego działu. Sporo w nich przykładów szukania właściwych rozwiązań, np. wśród mebli przyjętych przez przemysł do produkcji masowej. W sali poświęconej wnętrzem domów młodzieżowych, świetlic i żłobków zwracała uwagę estetyczne a proste w wykonaniu sprzety, gdzie artysta szczęśliwie potrafił pogodzić proste kształty z umiejętnym wykorzystaniem dla dekoracji stojów drzewnych. Ciekawym osiągnięciem są wystawione w sali poświęconej wystawianictwu okolicznościowemu i reprezentacyjnemu tzw. meble eksperymentalne, sporządzone z dykty, proste i estetyczne w wyglądzie, a równocześnie praktyczne, bo lekkie, higieniczne i małych rozmiarów.

Szkoda, że względy techniczne, jak szczupłość miejsca i trudności transportowe, nie pozwoliły organizatorom pokazać nam pełnych kompletów mebli na tle odpowiednio urządzonego wnętrza. Mebel bowiem, jak może żaden inny przedmiot, jest ściśle związany z otoczeniem, z tem, na którym występuje. Pojedynczy eksponat wrwany z zestawu nie wywołuje odpowiedniego wrażenia. Organizatorzy zrobili jednak pewne usiłowania w kierunku pokazania zwiędzającym pełnego umebłowania wnętrza jak np. pokoju hotelowego i pokoju dziecka. Ogólnie jednak stwierdzić należy: niedociągnięciem wystawy jest, że pokazuje ona za mało wnętrza mieszkań indywidualnych, tak bardzo interesujących człowieka pracy i to w momencie, kiedy potrzeby społeczeństwa w tym względzie nie są w dostatecznej mierze zaspokojone. Uderza przeważa wewnątrz użyteczności publicznej i reprezentacyjnych. Nie można negować ich ważności, bo sam fakt, że artysta projektuje na zamówienie państwo: wnętrza sklepów, jadłodajni, hoteli, słowem wszystko co

również oglądamy takie eksponaty, które zadziwiają nowością pomysłu i precyzją wykonania n.e są zabawkami. Obok praktycznie i dla rąk dziecka pomysłów klocków widzimy lalki tak piękne, że strach bierze na myśl, że mogą trafić do dzieciennego pokoju, dla którego właściwie winny być przeznaczone. Wiele z tych eksponatów stoi na pograniczu maskoty, przeznaczonej dla elity, i zabawki.

WACŁAW SADKOWSKI

„Piątka z ulicy Barskiej“*

Poznajemy ich, pięciu piętnastoletnich chłopców z ulicy Barskiej w Warszawie, zaraz na wstępie książki, w jej pierwszym rozdziale; choć nie od początku potrafimy ich rozróżnić, od początku wiemy, o kogo chodzi. Marek Kozioł pochodzi z rodziny robotniczej, Jacek Siwicki — przedstawia się czytelnikowi kolejno — pochodzi z lumpenproletariatu, Zbigniew Moczarski — z rozbitej wojny rodziny inteligentkiej, Kazimierz Spokorny — z rodziny robotniczej, Lucjan Kozłowski wreszcie, zapytany o zawód rodziców, odpowiada: „Ojciec ma sklep z nabiałem“, kiedy zaś okazuje się, że matka ma oprócz tego budkę na Bazarze Mokotowskim, zgadza się: „No, tak, ma Trzeba żyć, proszę pani“. Jest grudnia 1947 roku.

Poznajemy ich w sytuacji przykrych i niepokojącej: w sądzie dla nieletnich. Zasiadają na ławie oskarżonych. Sledzimy przewód sądowy — po ustaleniu personaliów, które są dla nas źródłem wiedzy o społecznym środowisku chłopców, przychodzą zarzuty: kradzież materiałów budowlanych, posiadanie o rabunek przechodniów, nie potwierdzone przesłuchaniem sądowym. Chłopcy są nieswoi, kryją coś i przemilczają. Wyrok: dwa lata domu poprawczego z zawieszaniem.

Zrazu wydają się nam po prostu ehluganami, zdemoralizowanymi wojną. Ale oto powoli wydaje się to, co chłopcy zataili w sądzie i czego nie wykryto: ich demoralizacja nie była zjawiskiem „samoczynnym“, miała inne korzenie i związki: jej zapleczem organizacyjnym i „ideowym“, ale chyba przede wszystkim psychicznym, była tzw. „konspiracja“. Później, kiedy przyjdzie moment rozczarowania do niej, wyraźnego rozgorznięcia i buntu, chłopcy pewne rzeczy sobie uświadomią. „W ich duszach legł się jakiś wielki żal — powie o tym autor. — Dawną już zapomnieli o pobudkach, które w 1946 skłoniły ich do podporządkowania się rozkazom Zenona. Wyparowały tęsknoty za konspiracyjnym wycieczkami, jakiego za okupacji dziecinny wiek doznać im nie pozwolił; chcieli więc nadrobić stracony czas. Dziecinna podróż w poszukiwaniu utraconej przygody przedsięwzięta z zadrzotki żywionej wobec starszych — nie mogła trwać lata. I choć zapytani nie potrafili rozsądnie odpowiedzieć — to jednak dobrze czuli, że

z marzeń o bujnej awanturze pozostał tylko złodziejski żużel“.

Więc — poszukiwanie przygody, skrzywione i wypaczone wojną, wykorzystane przez garstkę świadomych demoralizatorów z faszyzowskich ugrupowań konspiracyjnych, ściśle związanych z giełdą i niektórymi zachodnimi dyplomatami, demoralizatorów szermujących pojęciem „oczyszczony i honoru“ i krzyżem podsuwanym pod pałec dla uroczystej przysięgi „na wierność“, a z drugiej strony rozdzielających między chłopów zrabowane „pięsetki“ i namawiających ich do samodzielnego „organizowania“ — oto przyczyny, które piątka z ulicy Barskiej przywydliły przed sąd sędzię Wilczyńskiej. Była wśród tych przyczyn także i żądza wodzostwa, rozkazowania; syn sklepikarza i straganarki, Lutek, znajduje dziwną satysfakcję w nauczaniu alfabetki — służącej: „uśmiechał się do suchej i starej kobiety, którą darzył sympatią, dlatego że zapożyczał ją do potrzeb komenderowania“.

Książka Kazimierza Koźniewskiego stawia sprawę nie nową już w powojennej literaturze — po „Popiele i diamentach“ Andrzeja Żmichowskiego: sprawę ran, jakie miniona wojna zadała psychicznie wielu młodym ludzi wojna nie tylko w sensie pewnego zespołu przeżyć, ale także w sensie świadomej działalności demoralizujących i wykołajających młodzież ugrupowań politycznych, którym udało się trwać jeszcze i przez pierwszy okres powojenny.

Akcja „Piątki z ulicy Barskiej“ toczy się — jeśli już mamy pozostać przy analogii z „Popiołem i diamentem“ — dwa i pół roku później, w innym środowisku społecznym i w innych warunkach. Chłopcy z Barskiej żyją w chwili, kiedy wielki przełom historyczny wydał już owoce, kiedy proces wielkiego przekształcenia i wychowania społeczeństwa przygotowania go do nowych, socjalistycznych form życia potoczył się już warkło naprzód. Toteż przyczyny ich powieściowych losów wymagają ukazania wpływu tych doniosłych wydarzeń na życie pięciu chłopców z Ochoty; Koźniewski postanowił ukazać w swej nowej powieści wciąganie ich w nowy prąd życia narodu, porwanie ich przez ogromne procesy historyczne, przetopienia ich w element społecznie wartościowy.

To ważne i trudne zadanie pisarskie wykonał Koźniewski bardzo ciekawie, świeżo i mocno. Książka jego pasjonuje czytelnika losami chłopców, ich świetnie nakreślonymi sylwetkami psychologicznymi, porównawczymi — że aż sensacyj-

nym niemal w pewnych momentach i nagłych zwrotach — tokiem akcji i — urzeka śmiałym antyschematyzmem, unikaniem lakoniczności, odważnym mnożeniem konfliktów i trudności. Dlatego wierzymy w drogę chłopców, w ich rozwój i dojrzewanie; ukazani na świetnie uchwycionym tle powojennych dziejów, związani z tętnem odbudowy kraju — chłopcy z Barskiej uwalniają się w końcu z konspiracyjnej matni, ale ich droga nie jest ani prosta, ani łatwa — Lutek nie ukończy jej jeszcze na kartach książki, jeszcze raz trafi przed sądy, w tym samym roku. W tej właśnie świętości, żywości i odwadze książki Koźniewskiego leży chyba jej główna wartość, która sprawia, że „Piątka z ulicy Barskiej“ uważać należy za pozycję dobrą i ciekawą. Pewne jednak sprawy wypadły w niej niezbyt precyzyjnie i głęboko, i domagały się krytycznego retuszu.

Zastrzegam się z góry, że zawsze gorąco okłaskuję potępienie krytycznego „wszystkoizmu“ — ale tak to już jest, że o dynamice rozwojowej rzeczywistości decyduje — mówiąc najbardziej swoimi słowami — pewien zespół kluczowych momentów, kluczowych faktów społecznych i historycznych. Są pewne prawdy oczywiste, które — choć powszechnie dzięki swej rzeczywistości znane — nie mogą być w dziele literackim pominięte — muszą stać się szkieletem zrozumienia świata i odbicia go przez pisarza, muszą wystąpić w konstrukcji literackiej wyraźnie i nieschematycznie, muszą stać się nie tylko bazą i podstawą tej konstrukcji, ale także sprawnie działającymi jej elementami. Nie można więc mieć do Koźniewskiego pretensji, że nie napisał powieści o zetepowowcach, którzy ustawicznie podnoszą poziom, usprawniają, przodują. Można — i moim zdaniem należy — mieć jednak do niego pretensję, że w jego książce te bardzo ważne węzły krytycznej wprowadzone są w postaci zbyt surowej i nie dorastają rangą artystycznego opracowania nurtowi psychologicznemu chłopięcych bohaterów powieści. Główny organizator i kierownik dzieła przebudowy społeczeństwa — Partia, jest oczywiście motorem wszystkich opisanych w powieści wydarzeń — i dlatego jakąż prawdą technie u Koźniewskiego obraz odbudowy stolicy — widać jej troskę o młodzież i pracę z młodzieżą, ale za duży brak powieści uważać należy ukazanie tych najważniejszych odcinków frontu walki Partii o nowego człowieka, o młodzież, o chłopców z Barskiej — w sposób powierzchowny, reporta-

żowy, migawkowy. To prawda — pracą zajmuje w „Piątce z ulicy Barskiej“ wielokrotnie więcej miejsca niż recytowane przemówienia, ale ci przedstawiciele Partii, z którymi chłopcy się stykają, ukazani są zbyt z zewnątrz, zbyt szkieletowo, aby pomóc chłopcom w ich wewnętrznych zmaganiach. To prawda — był rok 1948, Koźniewski starał się być jak najdalej od okliwej idealizacji, ale i fabryka, i trasa W—Z, i teatr, i szkoła, i nawet redakcja — miejsca, gdzie na chłopców oddziałuje sama praca, samo życie — znamy z powieści w stopniu o wiele słabszym, niż wahań młodych i — trochę w wirze pracy samotnych — dusz chłopięcych.

Czy ma to oznaczać, że Koźniewski popełnił błąd, nie każąc wszystkim swoim młodym bohaterom dostać się pod wpływ dzielnego sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej, który w trzy kwartały wychowa ich na przodowników? Oczywiście nie; ma to natomiast oznaczać, że chłopcy z ulicy Barskiej — rzuceni na łoża ogólne, ujęte i ukazane słusznie właściwie, związani z nurtem wielkich historycznych przemian, kierowanych przez Partię i uzałoczeni w swej drodze życiowej od drogi rozwojowej całego społeczeństwa — psychologicznie są z owego łoża ogólne, na skutek jego wprost chwilami rażącej schematyczności (Leja), wyobcowani. Wiemy i wierzymy, że praca działa na nich wychowawczo i dobrze — duża w tym zasługa Koźniewskiego, że to potrafił dostrzec i podkreślić — ale stanowczo mniej widać pracy z ludźmi, z ludźmi Partii przede wszystkim, którzy snują się po książce trochę jak chińskie cienie. I stąd wrażenie, że chłopcy są osamotnieni.

Dokonyjmy choćby pobieżnego przeglądu ich wychowawców. Kuratorka Majewska, opiekująca się chłopcami z ramienia sądu, jest osobą wprawdzie uczciwą i miłą, ale hoduje w sobie poglądy, które na pewno nie ułatwiły chłopcom dojrzewania społecznego; Majewska wyznaje „własne zasady o apolitycznym poświadczeniu pedagogu“. Nie jest również rzecznikiem tego nurtu Garski — aktor opiekujący się Zbychem, kościuszkowcem i partyjnik, który okazuje chłopcom wiele serca i zrozumienia. Ale formy jego opieki budzą pewne wątpliwości — Garski zaprasza chłopców do teatru na sztukę, w której gra Zbych. Bardzo ciekawa sztuka, bardzo się nawet podobała czytelnikom „Nowin Literackich“; „Pasazer bez bagażu“ Anouilh'a. Chłopcom z Barskiej podobała się mniej — nie



Kazimierz Koźniewski

działowego: „Przeżyli zbyt prawdziwie, zbyt wielkie tragedie indywidualne i narodowe, by mieć rozumienie dla subtelnych rozważań psychologicznych autora uwikłanego w paradoksy ludzkiego charakteru“. I choć Zbych byłby i, namienne broniąc Anouilh'a, przyznał mu tylko, że choć budła, ale ciekawa! Tym przekonał się trochę do teatru. „Nie przekonał się natomiast, że ich „szef“ Zenon — to zdrajca, kanalia.

A ZWM? Jest, i w szkole Lutka, i w fabryce żarówek u Kazka. Nie ma go natomiast na budowie trasy W—Z, gdzie pracuje Marek, ani w redakcji, gdzie Jacek jest gonim, ani w teatrze u Zbycha. Co jednak robią dla chłopców dwa ukazane przez Koźniewskiego koła? Nic, to znaczy: popełniają błędy, nie potrafia z chłopcami pracować (awantura z Lutkiem). Trochę lepiej dzieje się u Kazka, który — jako młody przodownik — zyskuje sobie zaufanie i poparcie organizacji, nie ma z nią jednak ciepłego, koleżeńkiego kontaktu. Rozumiemy — nie może do niej należeć, ciąży na nim presteżystwo i wyrok, musi się najpierw zrehabilitować — ale organizacja nawet o tym nie wie, nawet się tym nie interesuje — i to właśnie umożliwia wrogowi nagłe, niespodziewane zadanie ciosu, wytrącającego Kazka z fabryki, w której pracował coraz lepiej i spychającego go z protem do konspiracyjnych mroków. Markowi mogłoby się właściwie powieść najlepiej; zakochuje się w zetepowowce Hance. I tu otwiera się pole do szerokiego wpływu osobistych, do najsukutekniejszej chyba agitacji indywidualnej... I co? Hanka przez kilka dni z rzędu jeździ z Markiem na wagarach nad Wisłą. On się otrząsa pierwszy po ważnym zebraniu produkcyjnym i spotykają się potem już tylko w wolnych chwilach, ale bez żadnych wyrzutów sumienia za kilka zmarnowanych dni pracy. Potem ona jest z niego dumna, że jest przodownikiem pracy i nawet się za to calują.

A chłopcy przez wszystkie swoje powieściowe losy, przez wszystkie rodniały i strony powieści czekają właśnie na polityczną pomoc, potrzebują właśnie politycznej opieki. Wracając z teatru (po sztuce Anouilh'a) toczą żywy spór polityczny. Zmory konspiracji radzi by się pozbyć w tej chwili, (poza jednym Lutkiem). Nikt ich od tej zmory nie uwolnił, nikt nie zapoznał ich z rewolucyjnym romantyzmem, z rewolucyjnym marzeniem, — ba! nikt im nawet nie podsunął politycznej literatury! Marek znajduje ją potem dopiero w „Odwetach“ — drugiej, szczęśliwszej wyprawie teatralnej, odbytej wspólnie z Hanką, które by odpowiadały współczesnym potrzebom.

Osiągnięcie wartości artystycznej dzieła staje się jedynie wówczas możliwe, kiedy zachodzi możliwość bezpośredniego czuwania artysty nad jego realizacją od momentu zaprojektowania aż do chwili ostatecznej wykonania. Przemysł artystyczny, w odróżnieniu od rzemiosła, inne ma zadania i innym celem służy. Umasowienie przedmiotów estetycznych, walka z fabryczną tandetą, wprowadzenie piękna do życia codziennego człowieka pracy, oto jego główne zadanie. Celem podniesienia wartości estetycznej dzieł staających się przedmiotem masowej produkcji zachodzi konieczność dopuszczenia artystów plastyków do przemysłu w sensie bezpośredniego czuwania nad realizacją dzieła do chwili oddania do handlu. Walka o dopuszczenie artysty do przemysłu to jeden warunek, a drugi to danie mu możliwości zgłębienia wszystkich faz produkcyjnych przemysłu, udostępnienie mu badań i studiów w tym zakresie. Tylko całkowicie zorientowany w puli materiałowej i warunkach realizacyjnych technicznych umożliwiły artysty tworzenie takich dzieł, które by odpowiadały wymogom przemysłowym i potrzebom estetycznym społeczeństwa. Szkoda, że na wystawie nie pokazano przy pomocy przykładów projektów i szkiców ewolucji, jakiej ulega zwykle pierwsza koncepcja twórcy, jak zmieniona ona jest pod wpływem potrzeb przemysłu, stałej konfrontacji z życiem.

Organizatory wystawy wierzą, że podając powojenny dorobek plastyków pod ocenę społeczeństwa Wystawa Architektury Wnętrz i Sztuki Dekoracyjnej stanie się podstawą do dyskusji, owocnej dla ich przyszłych prac.

Z SEKCJI TWÓRCZYCH ZLP W ŁODZI

CZYTELNICZY U LITERATÓW

W dniu 23 maja Sekcja Prozy przy Łódzkiej Oddziale ZLP odbyła zebranie warsztatowe, poświęcone powieści „produkcyjnej“. W zebraniu, oprócz członków sekcji — pisarzy, wzięli też udział przedstawiciele zakładów przemysłowych rejonu łódzkiego oraz studenci polonistyk UL.

Studenti UL przedstawili na zebraniu referat omawiający drogę rozwoju współczesnej powieści „produkcyjnej“, w którym — oprócz genealogii spojrzenia na historię literatury w Polsce Ludowej — znalazło się omówienie kilku następujących powieści: „Fundamentum“ Pyłakowskiego zamykając, na „Węglu“ Scibora-Rybskiego kończąc. Referat nie wyszedł poza ogólne i znaczące sformułowania i oceny, miał charakter opisowy, a nie zawierał konkretnych postulatów, pod adresem omawianego gatunku powieściowego. Kol. Władysław Rymkiewicz omówił w koreferacie zagadnienie stosunku pisarza do zaobserwowanego faktu; referent polemizował z niefortunnym określeniem „powieść produkcyjna“, sugerującym złwienie zkrętu zainteresowań pisarza. Oba referaty charakteryzowały się specjalistycznym, pełnym skitów i uokólnien ujęciem, a więc nie ułatwały wiązania się do dyskusji obecnych na sali przedstawicieli zakładów przemysłowych. Mimo to dyskusja rozwinęła się intensywnie, a ton jej nadal ludzie ze środowiska produkcyjnego; stało się tak dzięki temu, że oni właśnie przeszli do porządku dziennego nad referatami, mogąc o swoich przemyśleniach pod adresem pisarzy. Oto ciekawe zagadnienia poruszone w dyskusji:

1. Tow. Herbich (PZP, im. Konopnickiej) i tow. Szell (ZPC, „Boruta“) mówili m. in. o tym, jak wygląda wógl klasowy w literaturze, a jak w rzeczywistości. „Wzrost klasowego z naganem, wrogowych okularach, w naszym życiu, czy kapeluszu nie spotykamy“ — mówił tow. Herbich. „Na powóz nie różni się on niczym od wszystkich innych robotników czy pracowników, i dlatego walka o niego jest walką z naganem, w zwracając uwagę na konieczność uwzględnienia działalności wroga klasowego nie tylko w ramach załogi konkretnego zakładu przemysłowego, ale też w instancjach nadrzędnych zakładu.

2. Wskazywano na temat współzależności między sprawami związków i robotnika, a jego osiągnięciami w produkcji, wywołał kol. Timofiejew. Tow. Miłosławski (ZPB im. Róży Luksemburg) przytoczył kilka faktów świadczących o wzajemnej współzależności między tymi dziedzinami. Wskazywał na to, że w rzeczywistości jednak typowość postaci i tego przodownika pracy, który nie może uporać się z swymi sprawami osobistymi. Na potrzeby jak najszybszego uwzględnienia problemów życia prywatnego przodownika pracy wskazywał też tow. Ifichin.

3. Zagadnienie metody pracy pisarza badał środowisko fabryczne poruszył wypowiedzi tow. Herbicha, Miłosławskiego i Romanowskiego (ZPO „Wolniana“). Polemicznie między sobą dyskusję otworzył tow. Kozłowski, który swoim jest, aby pisarz znalazł możliwość bezpośredniego, nieoficjalnego dotarcia do ludzi. Notes w ręku pisarza niesłychanie utrudnia swobodną rozmowę. Wydotknięcie, że zmniejsza się wydatnie istniejące napięcie, a to właśnie ufnosć wobec dziennikarza czy literata, nie jest ona jeszcze całkowicie przełamana i dlatego nie każda metoda nawiązywania kontaktów jest słuszną i skuteczną.

Wspomniane wyżej spostrzeżenia i uwagi reprezentantów łódzkich zakładów przemysłowych stanowiły osiągnięcie zebrania. Członkowie Sekcji Prozy przy Łódzkiej Oddziale ZLP postanowili podjąć i rozwinąć zapoczątkowany w dniu 23 maja kontakt dyskusyjny z ludźmi łódzkiego przemysłu, dla których przeznaczone są ich książki.

„WIERSZE W KONTRATAKU“ WACŁAWA OLSZEWSKIEGO

Posiedzenie Sekcji 12 maja b. r. poświęcone było omówieniu tomu wierszy satyrycznych poety łódzkiego, kol. Wacława Olszewskiego. Tom ten pod tytułem „Wiersze w kontrataku“ ukazał się niedawno nakładem „Czytelni“ UL. Długo obszerniejsze sprawozdanie z posiedzenia może częściowo spełnić rolę przedmowa, w której odbiorca o nową książkę, tym bardziej, iż zawodowy recenzent nie należy do ludzi działających szybko.

Zagajając dyskusję kol. Jan Czarny stwierdził: słuchacz z wieców autorów skłonił b. żywo reagując na omawiane wiersze. Tomik jest tedy zbiorem utworów o dużej sił oddziaływania; satyry Olszewskiej dotyczy spraw aktualnych, świadczą o żywym udziale poety w walce o postep. Dominują zagadnienia, związane ze sprawą pokoju. Poza tym Olszewski, godzi w biurokrację, zwalca przetrzyły, burokracyjnej obyczajowości i moralności.

Jeśli chodzi o stronę formalną, Olszewski z powodzeniem zabarwia swoje utwory satyryczne momentami lirycznymi (debiutował jako liryk); przyciągają uwagę pomysłowością i przypominającą twórczość wstępnego, klasycznego wiersza satyrycznego niemieckiego. Oczywiście nie należy zapominać o brachach. Liczne utwory zadają nieopracowanie. Metafory ciepła tu i ówdzie na rozmięgnięciu się z rzeczywistością; nadmiar technicznych, które czasem nacierają czytelnika. Wiersze, które nie są wierszami, jako b. dobre wymienia kol. Czarny: „List do żołnierzy zza Oceanu“ i „Dionie w kulak“. Niektórym wierszom zarzuca natomiast łatwy optymizm, uprzedzenia w stosunku do przedstawianej rzeczywistości. Dależy rozwój poezyi, upatrzyć referent w dareniu do wielkiej prozoty, w oparciu o bogate tradycje satyry polskiej, w harmonijnym stapianiu elementów lirycznych z satyrycznymi.

Kol. Igor Sikirycy, wbrew referentowi, podkreśla dużą staranność w opracowywaniu utworów, przemysłową konstrukcję, dbałość rymotwórczą. I to wreszcie, że satyry Olszewskiego odbijają nurtujące rzeczywistość konflikty.

Kol. Grzegorz Timofiejew zwraca uwagę na fakt, iż nalepsze są te wiersze, w których poeta łączy swoją obywatelską postawę z osobistymi przeżyciami. Podkreśla, iż zaletą tej poezyi satyrycznej jest sprawność językowa, dobra kompozycja, umiejętne posługiwanie się szczegółami. Niebezpiecznym powaga na niedostatecznym, jeszcze wycieczki hierarchii zagadnień.

Kol. Marian Piechal broni wierszy, które w czasie dyskusji nazwano „przebrzmiałymi“.

Kol. Stanisław Brucz podkreślił walory satyry lirycznej, opartej na osobistym doznaniu. Podkreśla starannosć warsztatową, zwrócił uwagę na niebezpieczeństwo, wywodzące się ze skłonności do tworzenia obrazów poetyckich zbyt wyszukanych, przesadzonych. Tym tłumaczył, że wiersze, które w niektórych z omawianych utworów rozdziewiły między obrazami z wiersza a rzeczywistością, opisany.

Do zalet tomu należy przewaga tematyki krajowej, autor operuje metodą porównań i przeciwstawień, podaje wagę zewnętrznego, skierowuje następnie uwagę na rzeczywistość Polski Ludowej. Satyry o tematyce krajowej mają jednak tę wadę, iż zbyt wiele uwagi poświęcają atakowaniu wroga rażąco i niebezpiecznie. Lepiej się prezentuje satyra krytyczna, gorzej — satyra afirmująca, pomagająca rodzeniu się tego, co nowe, pomagająca „ludziom nie-najgorzej woli“ w urzuceniu swoich wad. Zabierał poza wymienionymi głos kol. Jerzy Miller, Tadeusz Chrościelewski, Bronisław Czeński, Jan Huszcza, wreszcie autor.

J. H.

nowych dróg

służy nie jednemu człowiekowi, ale całemu społeczeństwu, jest już wielkim osiągnięciem Polski Ludowej; zdaje mi się jednak, że dokonano lekkiego przegięcia w kierunku wybitnej przewagi w pokazywaniu wnętrza masowych nad indywidualnymi.

W dziale kompozycji plastycznych przestrzeni otwartych odbudowa kraju nie doczekała się w pełni swego odzwierciedlenia. Niewiele tu kompozycji plastyki placów, ulic, miast, ogrodów, parków, zieleńców, a przecież ta dziedzin sztuki interesuje się już każdy człowiek w Polsce. Wśród kilku zaledwie wystawionych projektów wybija się kompozycja Placu Defilad z otoczeniem pomnika Mickiewicza w Poznaniu.

Od ogólnego charakteru wystawy odbiegają zasadniczo dwa działy: ceramiki i tkanin. W tkactwie zwraca uwagę doskonale wykorzystanie starych technik, niezmiernie bogatych, dla nowych celów. Zwracają uwagę: niesłychanie w czasie odległe, bo może prehistorycznych czasów sięgające, wzory podwójnych tkanin, mające dawną staropolską tradycję kilimy i najmodniejsze, bo XVIII wieku sięgające żakardy. W tkactwie artysty plastycy, występujący tak jako autorzy indywidualni, jak również jako kierownicy zespołów, wykorzystują umiejętnie różny materiał: wełnę, len i barwniki roślinne.

W ceramice podziwiamy zwłaszcza piękne i szlachetne w linii kształty poszczególnych przedmiotów. Należy również zwrócić uwagę na piękno polewy i uzyskanie z tej polewy efektów dekoracyjnych. W tym dziale podobnie jak w tkactwie artyści występują jako autorzy indywidualni i jako kierownicy zespołów. Tak w tkactwie jak i w ceramice obszcwać możemy twórcze korzystanie ze źródeł sztuki ludowej, tzn. nie poprzez imitację, naśladowanie czy stylizację ludowych wzorów, ale w oparciu o znajomość warsztatu, stałą tendencją do tworzenia nowych form. Ciekawe i niezwykle owocne wyniki daje współpraca artysty plastyka z kolektywami robotniczymi i chłopięcimi. W wyniku tej współpracy powstaje dzieło sztuki, będące wztworem rąk nie artysty, lecz zręmicieńnika nraucianego pod jego kierunkiem. Wspaniałe osiągnięcia tej współpracy oglądać możemy w snli poświęconej pracy kolektywów, spośród których wybija się: w ceramice — zespoły Buszka i Grzes-

kiewiczów, w tkactwie — podwójne tkaniny opracowane pod kierunkiem Plutyńskiej i tkaniny jedwabne ręcznie malowane zespołów Dewitowej i Milniczów. Artysta plastyk nie narzuca kolektywom swej własnej koncepcji, nie pozwala na mechaniczne naśladowanie wzorów, uczy jedynie zasad kompozycji i umiejętności doboru kolorów, pozostawiając resztę inwencji i fantazji wytwórców. Słuszność tej metody znajduje swe potwierdzenie w tym, że tak tkactwo jak i ceramika cechuje dbałość o prostotę kompozycji, rzetelność i precyzję wykonania, właściwe użycie materiału i celowość przedmiotu.

Na wystawie widzimy szereg projektów nie przyjętych do produkcji. Odrzucenie przez przemysł pro-

jektowanych przez artystów wzorów daje się dotkliwie odczuwać w tych wszystkich dziedzinach, w których rodzaj i przeznaczenie przedmiotu na to pozwala: meblarstwie, zabawkarstwie, częściowo w ceramice.

Jakie są tego przyczyny? — z jednej strony to brak umiejętności projektowania z uwzględnieniem możliwości realizacyjnych przedmiotu ze strony samych artystów (że tego rodzaju trudności jednakże dadzą się przezwyciężyć dowodzi np. fakt zaprojektowania pięknych żyrandoli z ceramiki. Żyrandole zrobione z tego tańszego a może i piękniejszego materiału są żywą odpowiedzią ze strony twórców na apel Państwa o oszczędność metali kolorowych).

Drugą przyczyną utrudniającą współpracę plastyków z przemysłem jest brak odpowiednio przekołonych młodych kadr. Zdarza się często, że do przemysłu idą artyści najsłabsi i nieprzygotowani fachowo przez szkoły do nowych zadań. Ze strony przemysłu przyczyną utrudniającą współpracę jest tradycjonalizm, obawa przed nowatorstwem, nastawienie produkcji na ilość, a nie

jakość, wreszcie brak odpowiednich materiałów i środków technicznych. To, że na wystawie mamy mało przedmiotów przeznaczonych do masowej produkcji, wpływa rzecz oczywista na charakter wystawy, za mało przemawiającej swą treścią do masowego odbiorcy.

Powaznym zadaniem społecznym wystawy jest propagowanie nowych estetycznych kryteriów odpowiadających nowej sytuacji społecznej. Wystawa Architektury Wnętrz i Sztuki Dekoracyjnej spełnia niewątpliwie ten postulat. Mamy już za sobą ten etap, kiedy tę funkcję przyznawano głównie malarstwu, rzeźbie czy architekturze i kiedy tak niesłusznie zwana „sztuka użytkowa“ była uważana za jakiś gorszy gatunek sztuki. Dział wnętrza i dział okolicznościowy wystawy obrazują kolektywną pracę artystów z różnych dziedzin sztuki wspólnie z architektem. Ale ta współpraca, jak stwierdzić można na podstawie wypowiedzi Centralnych Biur Projektowych SARP-u oraz samych plastyków z okazji opracowywania aktualnych zagadnień przy odbudowie kraju (Warszawa, Nowa Huta), nie jest jeszcze w pełni harmonijna. Trzeba zatem znaleźć sposób do znalezienia odpowiednich środków, ustalających na właściwej, wspólnej płaszczyźnie porozumienia pracę architekta i artysty plastyka. Wydaje się, że droga do tego porozumienia mogłaby wieść przez dopuszczenie plastyków do wzięcia żywego udziału w powstawaniu projektów urbanistycznych.

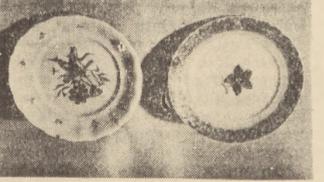
Wreszcie jeszcze jeden element wystawy — dekoracja okolicznościowa. Dekoracja okolicznościowa to odpowiedź na każdorazowy apel ze strony Partii i Państwa. Nie ma takiej rocznicy, takiego obchodu

ścią artysty, staje się mecenasem sztuki i za pomocą instytucji i przedsiębiorstw państwowych IWP, CPLiA, PWIT i DESY podsuwa mu pewne zadania i pomaga w ich realizacji. Należy tu zaznaczyć wielkie a częstokroć niedoceniane znaczenie rzemiosła artystycznego dla przemysłu.

Przejawem nowego w działalności plastyków jest związek z rzemiosłem. Rzemiosło artystyczne stanowi pomost pomiędzy twórczością indywidualną a przemysłem, pomost niezbędny dla pełnego rozwoju sztuki, dla zachowania dla niej wiecznie żywych i twórczych źródeł. Niesłuszny byłoby twierdzenie z rzemiosła artystycznego jakiegoś rezerwu sztuki ludowej. Jedynie zatem słuszną zdaje się być zasada zrzymywania rzemiosła w pełnym rozumieniu jego zadań. Tym zadaniem jest stworzenie w oparciu o narodową tradycję takich dzieł sztuki, które by odpowiadały współczesnym potrzebom.

Osiągnięcie wartości artystycznej dzieła staje się jedynie wówczas możliwe, kiedy zachodzi możliwość bezpośredniego czuwania artysty nad jego realizacją od momentu zaprojektowania aż do chwili ostatecznej wykonania. Przemysł artystyczny, w odróżnieniu od rzemiosła, inne ma zadania i innym celem służy. Umasowienie przedmiotów estetycznych, walka z fabryczną tandetą, wprowadzenie piękna do życia codziennego człowieka pracy, oto jego główne zadanie. Celem podniesienia wartości estetycznej dzieł staających się przedmiotem masowej produkcji zachodzi konieczność dopuszczenia artystów plastyków do przemysłu w sensie bezpośredniego czuwania nad realizacją dzieła do chwili oddania do handlu. Walka o dopuszczenie artysty do przemysłu to jeden warunek, a drugi to danie mu możliwości zgłębienia wszystkich faz produkcyjnych przemysłu, udostępnienie mu badań i studiów w tym zakresie. Tylko całkowicie zorientowany w puli materiałowej i warunkach realizacyjnych technicznych umożliwiły artysty tworzenie takich dzieł, które by odpowiadały wymogom przemysłowym i potrzebom estetycznym społeczeństwa. Szkoda, że na wystawie nie pokazano przy pomocy przykładów projektów i szkiców ewolucji, jakiej ulega zwykle pierwsza koncepcja twórcy, jak zmieniona ona jest pod wpływem potrzeb przemysłu, stałej konfrontacji z życiem.

Organizatory wystawy wierzą, że podając powojenny dorobek plastyków pod ocenę społeczeństwa Wystawa Architektury Wnętrz i Sztuki Dekoracyjnej stanie się podstawą do dyskusji, owocnej dla ich przyszłych prac.



Talercze wg projektu Marii Gralowskiej i Marty Podolskiej

państwowego, który by się odbył bez udziału plastyka. Plastyk we wszystkim bierze udział, tak w kraju w dniu 1 maja, rocznicy urodzin Prezydenta, czy mie-łanicę przyjaźni z ZSRR, jak i za granicą, niosąc imię Polski do Lipska, Wiednia, Helsinek i innych miast, np. z okazji międzynarodowych targów czy wystaw. Państwo ludowe, kierujące twórczo-

ścią artysty, staje się mecenasem sztuki i za pomocą instytucji i przedsiębiorstw państwowych IWP, CPLiA, PWIT i DESY podsuwa mu pewne zadania i pomaga w ich realizacji. Należy tu zaznaczyć wielkie a częstokroć niedoceniane znaczenie rzemiosła artystycznego dla przemysłu.

Przejawem nowego w działalności plastyków jest związek z rzemiosłem. Rzemiosło artystyczne stanowi pomost pomiędzy twórczością indywidualną a przemysłem, pomost niezbędny dla pełnego rozwoju sztuki, dla zachowania dla niej wiecznie żywych i twórczych źródeł. Niesłuszny byłoby twierdzenie z rzemiosła artystycznego jakiegoś rezerwu sztuki ludowej. Jedynie zatem słuszną zdaje się być zasada zrzymywania rzemiosła w pełnym rozumieniu jego zadań. Tym zadaniem jest stworzenie w oparciu o narodową tradycję takich dzieł sztuki, które by odpowiadały współczesnym potrzebom.

Osiągnięcie wartości artystycznej dzieła staje się jedynie wówczas możliwe, kiedy zachodzi możliwość bezpośredniego czuwania artysty nad jego realizacją od momentu zaprojektowania aż do chwili ostatecznej wykonania. Przemysł artystyczny, w odróżnieniu od rzemiosła, inne ma zadania i innym celem służy. Umasowienie przedmiotów estetycznych, walka z fabryczną tandetą, wprowadzenie piękna do życia codziennego człowieka pracy, oto jego główne zadanie. Celem podniesienia wartości estetycznej dzieł staających się przedmiotem masowej produkcji zachodzi konieczność dopuszczenia artystów plastyków do przemysłu w sensie bezpośredniego czuwania nad realizacją dzieła do chwili oddania do handlu. Walka o dopuszczenie artysty do przemysłu to jeden warunek, a drugi to danie mu możliwości zgłębienia wszystkich faz produkcyjnych przemysłu, udostępnienie mu badań i studiów w tym zakresie. Tylko całkowicie zorientowany w puli materiałowej i warunkach realizacyjnych technicznych umożliwiły artysty tworzenie takich dzieł, które by odpowiadały wymogom przemysłowym i potrzebom estetycznym społeczeństwa. Szkoda, że na wystawie nie pokazano przy pomocy przykładów projektów i szkiców ewolucji, jakiej ulega zwykle pierwsza koncepcja twórcy, jak zmieniona ona jest pod wpływem potrzeb przemysłu, stałej konfrontacji z życiem.

Organizatory wystawy wierzą, że podając powojenny dorobek plastyków pod ocenę społeczeństwa Wystawa Architektury Wnętrz i Sztuki Dekoracyjnej stanie się podstawą do dyskusji, owocnej dla ich przyszłych prac.

Organizatory wystawy wierzą, że podając powojenny dorobek plastyków pod ocenę społeczeństwa Wystawa Architektury Wnętrz i Sztuki Dekoracyjnej stanie się podstawą do dyskusji, owocnej dla ich przyszłych prac.

Organizatory wystawy wierzą, że podając powojenny dorobek plastyków pod ocenę społeczeństwa Wystawa Architektury Wnętrz i Sztuki Dekoracyjnej stanie się podstawą do dyskusji, owocnej dla ich przyszłych prac.

Nina Gubrynowicz

(Dokończenie na str. 11-ej)

O przekładach książek dla dzieci i młodzieży

JANINA OSIŃSKA

SPOJRZENIE NA PÓŁKI Z KSIĄŻKAMI

Dzisiejsze omówienie przekładów dla dzieci i młodzieży jest pracą zespołową, pierwszą — bodajże — próbą tego rodzaju, w ramach naszych sekcji roboczych.

Zacznijmy od wymownych cyfr: zestawienie statystyczne Min. Kultury zamka rok 1945 skromną liczbą 12 przekładów. W latach następnych krzywa produkcji przekładów podnosi się znacznie, a w roku 1950 osiąga poziom bardzo wysoki: 174 pozycje na 146 oryginalnych utworów polskich. Tak znaczna ilość książek z literatury obcych zapelniająca w ciągu jednego roku półki naszych bibliotek dziecięcych to nie tylko zagadnienie wydawnicze, ale społeczne, tak ze względu na dobór dzieł, jak i na sprawność pracy tłumacza. Należy więc zastanowić się, jakie wartości z kultury innych narodów wniosły przekłady do naszej literatury.

Najważniejszą pozycją ilościową i jakościową są przekłady z literatury radzieckiej, które uzupełniły braki naszej literatury zwłaszcza w pierwszym okresie po wyzwoleniu. Wzbogaciły ją nową tematyką dostojną do zmian społecznych zachodzących w naszym kraju, dały nowe pomysły i przykłady ujęcia tematów. Wiersze **Marszaka**, powieści **Gajdara**, **„Timur i jego drużyna”**, **Katajewa**, **„Samotny biały żagiel”**, **Szwarc**, **„Uczennica pierwszej klasy”**, wreszcie dla starszej młodzieży **„Poemat Pedagogiczny”** **Makarenki**, to pozycje-wzory, przyswojone trwałe naszej literaturze.

Książki radzieckie ujmują nieraz bardzo trudne problemy życia współczesnego w sposób bezpośredni, przystosowany do percepcji dziecka, np.: zagadnienia polityki międzynarodowej w satyrycznych wierszach **Marszaka**, internacjonalizm w powieści **Wasilenki** **„Artiomka w cyrku”**, racjonalizatorstwo i współzawodnictwo w opowiadaniach **Nosowa** **„Mila rodzinka”**, czy **Wasilenki** **„Gwiazdeczka”**.

Trudno byłoby wyliczać wszystkie dodatnie pozycje, ale ważny wkład, jaki naszej literaturze dały przekłady autorów radzieckich upoważnia tym bardziej do zastanowienia się nad niektórymi książkami wydanymi niewłaściwie. Należą tu przede wszystkim książki nieprzystosowane do warunków, w jakich żyje nasze dziecko. Weźmy kilka przykładów:

Zitkow w świetnej książce dla najmłodszych **„Co widziałem”** wyprowadza swego bohatera Dłaczeguszka w podróż po ZSRR, aby go zapoznać w sposób łatwy i interesujący z codziennymi zagadnieniami życia w swoim kraju. Ale książka nie odzwierciedla latwo na liczne **„dlaczego?”** naszych Dłaczeguszków, dla których zagadnienie podróży — po dalekim kraju jest problemem skomplikowanym. Dla naszych dzieci należałoby raczej adaptować świetną książkę, oczywiście w porozumieniu z autorem.

„Gazeta Leśna” **Bianki** zyskałaby jeszcze na wartości, gdyby opuszczono sceny polowania na zwierzęta,

które w naszym kraju podlegają ochronie.

Również dobór przekładów z klasyków literatury rosyjskiej nie zawsze jest odpowiedni. Skrzywdzono np. autora dla dorosłych **Garina**, wydając fragment jego powieści **„Dzieciństwo Tomka”**, w którym niektóre sceny pełne grozy działają na dzieci jak koszmara.

W okresie oszczędności zbędne wydaje się dublowanie przekładów, zwłaszcza prozy, przez różnych tłumaczy w różnych wydawnictwach. Pod tę rubrykę należy również podciągnąć wydawanie niektórych bajek i baśni np. w zbiorach **Kapicy** czy **Karnauchowej** (znaczna część tych samych wątków ludowych mamy w artystycznym opracowaniu **Janny Porazińskiej**, **Hanny Januszewskiej** i **Ewy Szelburg-Zarembiny**).

Konieczność selekcji materiału można udowodnić przede wszystkim na przykładach z literatury krajowej demokracji ludowych. Są w tym dziale pozycje dobre, jak wydany ostatnio wybór opowiadań dawnych i współczesnych autorów bułgarskich pt.: **„Na zakręcie”**, jak cykl **Storka** z prehistorii Czech **„Ród wola”**, **„Lowcy mamutów”**, **„Nad wielką wodą”**, albo książki dla najmłodszych **Denka**. Ale są także przekłady książek nieinteresujących, pierwszych chyba prób ujęcia nowej tematyki, które jednak nie wnoszą nic nowego prócz nieprzepracowanej artystycznie tendencji wychowawczej. Zdarzają się także książki nie wiadomo dla kogo wydane, np. czeskiego autora **Fryda** **„Bunt w maszynie do pisania”**, czy **Silovej** **„30 koni Wieka goni”**. Z tytułów i formy zewnętrznej tych książek wynikałoby, że są one przeznaczone dla małych dzieci, natomiast terminologia, jak: **„produkcja”**, **„diagramy wzrostu”**, **„robotnicza groteska”** — wskazują na innego, a raczej — nie wiadomo jakiego adresata.

Dobór nielicznych przekładów z literatury NRD jest ciekawy, chociażby ze względu na próby nowego ujęcia tematów „indiańskich” w powieściach **Brucknera** — **„Indian Pablo”** i **Anny Jürgen** — **„Niebieski ptak”**. Nowy rodzaj literacki, reportaż dla młodzieży, daje książka **Willi Bredla** — **„50 dni”**. Tematyka i przekład tych książek zasługuje stanowczo na osobne szersze omówienie.

Z literatury Zachodu nie ma na razie nowych wartościowych pozycji. Wydawnictwa ograniczają się do wznowienia niektórych dzieł klasycznych. Ostatnio wydano ponownie **„Pinokia”** **Collodię**, **„Piechotę przez Afrykę”** **Defoe**, **„Pierścienie i różę”** **Thackeraya** itp. Wydawnictwo Nasza Księgarnia słusznie przystąpiło do ponownego wydania powieści **Verne'a**. Wyrówna to po części braki w naszej literaturze z gatunku: przygody i podróże.

Mimo ogromnej ilości przekładów brakuje ciągle takich pozycji jak np. wyborów z pism klasyków, w taniach, dostępnych w wydaniach, opatrzonych dobrze opracowanym wstępem i przypisami, i — oczywiście w wiernym, artystycznym przekładzie.

Janina Osłńska

Niedawno zespół pięciu osób wchodzących w skład sekcji przekładów i sekcji literatury dla dzieci postawił sobie za zadanie zbadać sytuację, w jakiej znajduje się obecnie niezwykle ważna dziedzina przekładów utworów dla dzieci i młodzieży z literatury obcych, a w szczególności z literatury radzieckiej.

W czasie zapoznawania się z obfitym materiałem członkowie zespołu podzielili między sobą poszczególne, wzajem uzupełniające się zagadnienia i pod ich kątem zapoznawali się z przekładami z literatury dla dzieci i młodzieży w okresie powojennym, uwzględniając zwłaszcza ostatnie trzy lata. Rezultat pracy zespołu ujęty został więc w formie pięciu referatów, których fragmenty zamieszczamy poniżej.

Podczas kolektywnego opracowywania tematu zarysowały się w zespole dwa odrębne stanowiska, które znalazły wyraz w referatach **Marii Kana** i **Ireny Tuwim**. Stanowisko pierwsze, dopuszczające możliwość adaptacji, wychodzi z założenia, że przekład powinien być wierny pod względem treści, stylu i powinien brać pod uwagę wszelkie właściwości utworu. Inne stanowisko zajęła **I. Tuwim**, wypowiadająca się za przekładem wolnym i możliwie najszerszym stosowaniem adaptacji.

polega często na deformacji języka literackiego. Językoznawcy podkreślają ogromny wpływ książki na utrwalenie zasad gramatyki stwierdzają, że książka wzbogaca ubogi słownik młodzieży i uczy ścisłego formułowania myśli. W dużej mierze dopomóc młodzieży może także i tłumaczenie, ale tylko piękne i wierne tłumaczenie dobrych książek. Ale czy przekłady są piękne? Czy są wierne?

Dopiero porównanie tekstu tłumaczenia z oryginałem pozwala stwierdzić ogrom zniszczeń dokonywanych nieostrożną ręką; pozwala zrozumieć czemu Turgeniew podobny jest czasem do Katajewa, Katajewa do Priszwina, a Priszwin do Woronkovej.

Np. autor (Woronkowa) pisze: **„Gdzie to widać, w trawie, na stołogolow strielokali kuznieczki”**. Tłumacz rozprawił się krótko z tym zdaniem: **„Halaśliwie grały koniki polne”**. Halaśliwie grały! A cóż się stało z pięknym obrazem trawy ścielącej się gdzieś nisko? Gdzie chór sługosowy cykających koników polnych?

Dzieła sztuki źle znoszą ryżową szcokę i szare mydło — tracą urok i blask, stają się bezbarwne i „wszystkie takie same”. Nie należy tu przeskazywać myśli koniecznej nieadaptacji, dostosowywania dzieła do możliwości aperepcyjnych młodego czytelnika, polskiego czytelnika — z tłumaczeniem „swoimi słowami”. Dowolne, nieczym nieuzasadnione skracanie lub wydłużanie zdań zmienia styl autora, wypacza sens jego słów.

Spojrzyj chociażby tylko na dialogi. Dobry pisarz nie zawsze charakteryzuje swoich bohaterów. Nieraz pozwalają im tylko mówić. To wystarcza, żebyśmy mogli z całą pewnością określić nie tylko rysy indywidualne bohatera, ale także i jego oblicze społeczne. Zniekształcając dialog, zniekształcamy także prawdę o ludziach, a nieraz i prawdę o danym okresie historycznym.

Dużo kłopotów sprawia tłumaczom język dzieci, zwłaszcza dzieci ze środowiska robotniczego i wiejskiego.

Niektórzy pisarze świetnie umieją odtworzyć dziecinny sposób mówienia, np. **Bianki** **„Odin pojdu na Gadienocze, o din wsiach gadow pobiju”**.

Od razu wiemy, że mówi mały chłopak, bo powtarza z uporem **„sam pojde, sam zabije”**. Wiemy też bez wyjaśnień, że dziecko boi się i dodaje sobie odwagi.

A tłumaczenie: **„Pójdę sam na Gadowe Bagno i zabiję wszystkie zmije”**. Przecież to jest zwykłe stwierdzenie faktu.

W złych tłumaczeniach nie podobna określić, na podstawie dialogów ani tego kto mówi, ani w jakim okresie dziejowym toczy się akcja, np.: **„Nie diabeł ma ich łapać, ale pan mości oficerze”** — tak mówi dyrektor fabryki do dowódcy straży fabrycznej w dobie Rewolucji Październikowej.

Wiele niedopatrzeń mogą i powinny usuwać redakcje. Do wydawnictw także należy uprządkowanie z pomocą językoznawców i innych, równie ważnych spraw jak np. ustalenie brzmienia, pisowni i odmiany nazwisk i imion obcych. Obecnie każde wydawnictwo pisze inaczej utrudniając bibliotekarkom pracę przy katalogowaniu i wprowadzając zamęt do umysłów dzieci.

I tak Wyd. „Czytelnik” pisze — **Zitkow**, **„Nasza Księgarnia”** — **Zytkow**, **„Książka i Wiedza”** — **Zidkow**.

Nielepiej przedstawia się sprawa imion. W tej samej książce można spotkać Alonkę przerobioną na Alinkę, Marfuszę na Marysię, Gruszę na Grażynkę, a obok nich Dunie, Tanię i Dime...

Młody czytelnik z całym zaufaniem stawia znak równości pomiędzy dziełem a przekładem. Z całym zaufaniem uważa książkę za źródło wiedzy o życiu. Tego zaufania zawieść nie wolno. Musimy pokazać mu literaturę innych narodów nie tylko niezafałszowaną, w całym jej blasku i uroku — aby poprzez literaturę zbliżyć do bogactwa doświadczeń ludzkich, do dorobku kulturalnego ludzkości.

Maria Kann

IRENA TUWIM

SPRAWA ADAPTACJI

Dziecko to wbrew pozorom czytelnik wcale nie łatwy. Jest krytyczny, spoprzedawczy często bezwzględny. Jako odbiorca literatury przypomina trochę widza teatralnego, którego przez cały czas przedstawienia należy trzymać w napięciu. Broń Boże, aby ziewnął! Nie obeszliśmy się, a straciłmy nie tylko czytelnika, ale i przyjaciela.

To niebezpieczeństwo cycha na każdego tłumacza, który pracując nad przekładem książki, choćby na chwilę zapominał o jej przyszłym czytelniku. Tłumacz powinien ustawicznie sprawdzać samego siebie, nieraz zmieniać się nawet w autora, aby książkę przystosować do zasobu wiedzy, kręgu pojęć, poczucia realiów i języka u dzieci, dla których książka jest przeznaczona. Nie wolno mu zasłaniać się złym, czy trudnym tekstem. Naszym obowiązkiem jest dać dziecku dobrą książkę, z której będzie zadowolony. Albo wcale się do przekładu nie brać.

Za wzór pod każdym względem powinna nam służyć literatura radziecka dla dzieci: wzór ideologii, kształtowania nowego człowieka, systemu wychowawczego. I słuszną jest rzeczą, że olbrzymia większość przekładów stanowiła tłumaczenia z rosyjskiego. Niestety znaczny odsetek tych tłumaczeń, zwłaszcza z literatury dla dzieci starszych to przekłady niechlujne. Autorem dzieła jest kazydła. A przecież żadna literatura świata nie może się poszczycić tak świetnymi nazwiskami jak **Aleksiej Tołstoj**, **Gajdar**, **Marszak**, **Zitkow**, **Bianko**, **Wiera Inber** i in. Wszystkie książki tych autorów należy koniecznie tłumaczyć i można je tłumaczyć „na czysto”, prawie bez większych zmian. Ale nie znaczy to wcale, że wszystkie książki, jakie tłumaczymy, należy co do szczegółu oddać wiernie, bez żadnych przeróbek.

Jest wiele książek, które powinny ulec znacznym zmianom, a to głównie w zakresie literatury dla najmłodszych. Literatura ta przygotowuje dziecko do właściwego procesu poznawczego. Nawet gdy tylko bawi, pokazuje mu pewne elementy otaczającej rzeczywistości. Tam, gdzie przeważa niewiastka poznania wstępnego (pokój, meble,

ulica, ogród, las, zwierzęta) powinno się operować realiami, jakie są w konkretnym zasięgu dziecka, opisanymi, które może skonfrontować z rzeczywistością. Dziecko musi się najpierw uporać z otaczającym je światem, a później dopiero należy je zapoznawać z tym, czego zobaczyć nie może, co musi sobie wyobrazić. Dziecko ma już pewne poczucie języka, trzeba je w nim rozwinąć, nie wolno go paczyć. W przekładach dla małych dzieci powinniśmy bardzo dbać o imiennictwo. Bohaterom nadawać w miarę możliwości imiona polskie, o ile tylko pozwalała na to specyfika utworu.

W każdym razie należy unikać imion dziwnych, aby w czytaniu nie powstały dla dziecka trudności, które odwracają jego uwagę od rzeczy istotnych, a skupiają na nieważnych.

Jeżeli w ogóle jestem zwolenniczką daleko idącej swobody w przekładach literatury dziecięcej, o tyle w wierszach obstawałabym przy tym jeszcze bardziej. Dzieci lubią wiersze, jak lubią muzykę, śpiew i rytm. Dziecko ma poczucie rytmu. Wystarczy posłuchać jak dzieci, bawiąc się, skandują te wszystkie swoje „Jaworowe ludzie”, jak robią swoje wyliczania w grach i zabawach, tzw. metowania: „Ene-due-rabe”, czy „Entliczek-petliczek...”.

Dziecko to lubi i dlatego wiersze, które mu dajemy, powinny być rytmiczne, wpadające w ucho, a nie rozpluwające się, rozlewne, niemyślne, o jakiejś lamanałowej składni. W utworze wierszowanym nie należy przez cały czas trzymać się tej samej rytmiki, nie tylko dla uniknięcia monotonii. O ile jednak używamy zmiennej rytmiki jest wskazane w całych strofach, o tyle wszelka arytmia zawarta w jednej strofie jest niepożądana, zwłaszcza w książkach dla małych dzieci. Posługiwanie się asonansami jest nieodwrotne, niestety, ale należałoby to robić oględnie. Stwarzają one bowiem nieraz przykrą dla ucha dziecka dźwięczność.

Język utworu dla dzieci — mam na myśli język przekładu — musi być prosty, jasny, nieskażony, konkretny. Jest to niby truizm, a jednak gdy sięgniemy do wielu przekładów, widzimy dzieci mówiące językiem, jakim dzieci nigdy i nigdzie na świecie nie mówiły i nie

mówią. Widzimy że rymy. Widzimy, a właściwie nie widzimy obrazów, tak nieudolne jest obrazowanie, nieczyste epitet i porównania. A tłumacz nie może zasłaniać się, że to samo występuje w oryginale. Słownictwo dziecka jest ograniczone; można i należy je wzbogacać, ale z umiarem i umiejętnie. Konieczność poruszania się w tak wąskich ramach, a jednak dania przy tym rzeczy świeżych i na odpowiednio wysokim poziomie, jest powodem, dla którego tłumaczenie utworów dla dzieci jest tak trudne. Poważną winę ponoszą nieraz wydawnictwa, domagając się sztywnej dosłowności przekładów, utrzymywania wszystkich, nawet drugorzędnych realiów w postaci niezmienniczej, zachowania imion, a nawet czasem formy uniom całkowicie sprzecznej z zasadami języka polskiego.

Jaki stąd płynie wniosek?

Irena Tuwim

MARIA KOWALEWSKA

REALIA, TERMINY NAUKOWE I PRZYPISY W PRZEKŁADACH DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Sprawa realiów, właściwego tłumaczenia terminów naukowych i uzupełniania przekładów odpowiednimi odsyłaczami była nieraz poruszana na marginesie dyskusji sekcji przekładów.

Obiektywnie należy stwierdzić, że w ciągu ostatnich paru lat nastąpiła w tej dziedzinie wielka poprawa. Wydawnictwa zrobiły znaczny wysiłek i większość książek, zwłaszcza wyraźnie zahaczających o jakąś dziedzinę wiedzy, jest odsyłana do oceny rzeczoznawców.

Sprawa wygląda gorzej tam, gdzie np. przyroda jest na marginesie utworu beletrystycznego, stanowiąc jedynie tło. Książka nie jest wówczas sprawdzana przez specjalistę, a w rezultacie znajduje się w niej sporo błędów rzeczowych. Rosyjska **„pieneczka”** zostaje więc przetłumaczona jako **pliska** zamiast **świsunka-picuszek**, **„tainik”** z wikliny (wierzby koszykarskiej) staje się **trawą-wikliną**, susel płące się tłumaczowi ze swistakiem, a nawet tchórzem, a na starych drzewach rosną **„liszaje”** (ros. **„liszajnik”**) zamiast porostów. Takie błędy zdarzają się nawet bardzo dobrym tłumaczom.

Do najtypowszych błędów w tłumaczeniach z języka rosyjskiego należy tłumaczenie słowa „jel” na **jołdę**, zamiast na **świerk**, **„czajke”** rosyjską na **czajkę**, zamiast na **mewę**, **„waldsniepa”** na **bekasa**, zamiast na **slonkę**.

Wyraźnym niedociągnięciem tłumacza jest pozostawienie bez odsyłacza odrębnych nazw wielu odmian fok. Wskutek tego wody polarne roją się od rozmaitych morskich zajęcy, krów, nawet lwów. A niezorientowany czytelnik nie może się polapać w tym całym zwierzyńcu i na pewno na myśl mu nie przyjdzie, że wszystko to są fokki.

Przechodząc do sprawy odsyłaczy

Aby tłumacz mógł dać utwory językowe najwyższej klasy konieczna jest znaczna swoboda we wszystkich przekładach, a w wielu wypadkach, które trudno indywidualnie można określać, choć będą to z reguły utwory dla najmłodszych — przyjąć należy jako zasadę adaptację, nie zaś tłumaczenie.

Z tej ostatniej tezy płynęłaby sugestia, którą chciałabym poddać ew. rozważeniu — czy nie byłoby wskazane — jeśli w ogóle możliwe — zawarcie układu przez nasze wydawnictwa z centralami wydawniczymi w Związku Radzieckim i w krajach demokracji ludowej, układu, który z zastrzeżeniem odpowiedzialnej kontroli pozwoliłby na stosowanie adaptacji w zakresie literatury dziecięcej w stopniu znacznie szerszym niż jest to robione dotychczas.

Irena Tuwim

i objaśnień również należy podkreślić dużą poprawę.

Książki o tematyce morskiej często opatrzone są na końcu całych słowniczkiem wyrazów specjalnych użytych w tekście. W wielu książkach znajdujemy liczne odsyłacze u dołu strony.

Wadą wielu przypisów jest ich nieczytelność, co wymagałoby dodatkowego objaśnienia: „przypisu do przypisu”. Jeżeli np. przy nazwie jakiegoś minerału poda się za miast opisu wyglądu formułę chemiczną, to oczywiście objaśnienie nie nie powie czytelnikowi.

Dla zachowania kolorytu lokalnego wiele słów podaje się w brzmieniu oryginalnym. W opisach więc stepu, tundry, czy tajgi zamiast o namocie, mówi się o jurcie, czumie, urasie, jarandze, a w nazwach odzieży spotykamy: malachaje, tormazy, iczygi, kuchlanki — wszystko oczywiście z odpowiednimi odsyłaczami.

Aby ułatwić sobie nawzajem pracę tłumacze i redakcje powinni prowadzić własne podręczne słowniczki z trudnymi do odszukania terminami i dobrymi do nich odsyłaczami.

Znaczna część błędów rzeczowych wynika ze ślepej wiary w nieomyślność słabych słowników podręcznych. A przecież nawet w słownikach specjalnych docieklawy fachowiec może się doszukiwać błędów rzeczowych. Toteż żaden słownik nie zastąpi książki naukowej, a idąc dalej — żadna książka naukowa nie zastąpi żywego słowa specjalisty.

Konsultacje ze specjalistami powinny się odbywać podczas tłumaczenia, żeby tłumacz mógł odpowiednio opracować literacko niezrozumiałe dla siebie zdania. Tutaj dużą rolę powinna odegrać redakcja, ułatwiająca tłumaczowi współpracę ze specjalistą.

Maria Kowalewska

MARIA KANN

JĘZYK I STYL PRZEKŁADÓW KSIĄŻEK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Małe dzieci w okresie, kiedy uczą się mówić, chętnie powtarzają dźwięczne słowa, chętnie słuchają piosenek i wierszy, chociaż nie zawsze rozumieją ich sens. Dzieci nieco starsze starają się już zawsze wiązać słowo z pojęciem lub obrazem — nie zatracać wciąż jeszcze dużej wrażliwości na melodię i rytm. Melodia i rytm pomagają dziecku przyswajając nowe wiadomości i pojęcia, dlatego też nawet proza dla małych dzieci bywa przeważnie rytmiczna, (np. w baśniach ludowych) — i zawiera wiele partyj rymowanych.

Dzieci zdrażają w tym okresie także zainteresowania słowem jako tworzywem, dają poznawany przedmiot swoje własne trafne nazwy. Bawią je i cieszą w wierszach takie rymy jak np. w „Panu Tralaliskim” **„kotek - tralalotek”**, **„myszka-tralaliska”**, bo poeta w zabawny sposób pokazuje im możliwości słowotwórcze.

Mamy wielu dobrych tłumaczy, którzy znają dziecko i uwzględniają jego zamilowania i właściwości. Przeważnie są nimi dobrzy poeci. Jednak wśród przekładów znaleźć można i tłumaczenia słabe.

Postaram się pokrótce omówić najciekawsze spotykane uchybienia. Np. słowa i zwroty bez sensu.

„Pięćkroć byś więcej miał zwierząt i ptaków Gdyby ich każdy nie łowił bez b r a k u” (Niekrasow).

Co to znaczy „bez braku”? Nic. Zdarza się też, że tłumacze korzystają z większych swobód, na jakie pozwala poezja dla dorosłych. Ale wiersze dla małych dzieci — to nie limeriki. Dziecko, które dosko-

nale rozumie słowne dowcipy Tuwima, nie zrozumie żartu tego typu:

„Już pogrążył cały w dym się” (Marszak).

Dla dziecka wadliwa składnia czy też zniekształcone formy gramatyczne, których używają tłumacze — stają się wzorem do naśladowania.

Czy przyjdzie komukolwiek do głowy wykladać w przedszkolu różniczki i całki? Na pewno nie. A jednak w tłumaczeniach dla przedszkolaczków znajdujemy słowa, które zawierają pojęcia równie dla nich niedostępne, np. kunszt, specjalizacja, ranga, watek myślowy itp. Porównanie z oryginałem wykazuje nieraz, że tłumacz zastąpił słowo łatwe znacznie trudniejszym.

Nie jest to sprawa błaha. Dając dzieciom teksty zbyt trudne — uczymy je werbalizmu — dziecko zaczyna powtarzać słowa jak papużka, nie wiążąc ich z żadnym konkretem.

W związku z tłumaczeniami dla małych dzieci nasuwa się wiele zagadnień, które warto byłoby omówić i przedyskutować. Wymienie chociażby tylko narodowy charakter baśni ludowych. Jakże często przekład zaciera ludowy, narodowy charakter baśni zamieniając np. **Iwana-carewicza** na **bezbarnego Jana-krolewicza**. Język tych tłumaczeń też budzi wątpliwości. Jest to jakaś mieszanina pseudo-archaizacji ze szczebiotaniem dla „milusińskich”, np.:

„Janie królewiczu, legnij na ziemi brzuskiem i posłuchaj uszkkiem” (Karnauchowa).

Gwara uczniowska roi się od niechlujnych form gramatycznych.

Szkola zwięzłej formy

Tym razem nie chodzi o żaden nowy zakład naukowy. Szkołą najzwięzlejszą, lapidarną i syntetyczną jest przyszłość, ludowy skrót aforystyczny wielu spostrzeżeń i obserwacji. Omawiając projekt wielkiego wydawnictwa — słownika przyszłów...

Włączenie, zmobilizowanie przyszłości w służbę dnia dzisiejszego — to zadanie, świadczące o czujności literata...

Inna sprawa, że studium przyszłów ludowych z punktu widzenia ich aktualnej przydatności w walce politycznej — chociażby w zastosowaniu do plakatów jako hasel ilustrujących...

Echa Polskiej Wystawy w prasie codziennej Moskwy

Omawiając w krótkim, sprawozdawczym opisie głównych eksponatów wystawy sztuki polskiej w moskiewskiej Akademii Sztuk Plastycznych, moskiewskie pismo „Wieczernia Moskwa” szczególnie obszernie...

Zajmująca lektura

Te zajmującą lekturę stanowią tzw. „grube” miesięczniki literackie, organy Związku Pisarzy Radzieckich...

Na łamach czasopisma „Znamia” opublikowano fragment niezakończonych powieści zmarłego przed rokiem...

Z poprzedzającego powieść wstępu Mikołaja Tichonowa dowiadujemy się, że autor „Szczęścia” nosił się z zamiarem napisania powieści już dawno...

UI PRZYJACIOŁE

sięciolecie 1939 — 1949. „Powieść „Ludzie pokojowej pracy” — pisze Tichonow — zamierzona była jako epepeja o losach wielu narodów...

Akcja „Mojej ziemi” toczy się głównie na słynnej budowie Kanalu Fergańskiego w latach 1939 — 1940, jednak do bogatej galerii postaci powieści — oprócz radzieckich budowniczych socjalizmu — Pawlenko...

Pawlenko długo i dużo pracował nad tym swoim ostatnim większym utworem powieściowym. „21 grudnia 1950 roku” — czytamy we wstępie Tichonowa — na sześć i pół miesiąca przed swoją przedwczesną śmiercią...

W miesięczniku „Zwiewda” ukazało się zakończenie powieści Wl. Rudnego „Ludzie z Ganguta”. Rudny opisuje zajmujące bohaterkie czyny marynaty radzieckich...

„Pierwszym września” — powieścią z życia radzieckiego miasteczka powiatowego Zabolotowo i nowo-otwartego tam instytutu pedagogicznego — zadebiutowała w czerwcowym numerze czasopisma „Nowy Mir” A. Akimowa. „Dzielnictwo Leny” — to tytuł również debiutu literackiego L. Molczanowej...

Przeszło 40 króciutkich opowiadań zawierających epizody z życia i działalności Mao Tse-tunga opublikował M. Bogdanow w czerwcowym numerze „Okłabria” („Opowiadanie o Mao Tse-tungu”). Nowelki te autor opracował na podstawie opowiadań...

Tematykę chińską poruszają też inne czasopisma: „Znamia” zamieściło rosyjski przekład wiersza poety chińskiego Emi Sjaio pt. „Chwała ukochanej Partii! Mao Tse-tungowi chwala!”...

KORESPONDENCJA

PANI DULSKA I INNI

W numerze 23-cim „Nowej Kultury” ukazał się artykuł Jacka Frühlinga pt. „W sprawie pani Dulskiej”. O nieoite Złapolskiej mówi się tam mało. Na o-maist bohaterem polowy artykułu — i to bohaterem zgola negatywnym — jest to skromna osoba, a ściślej jeszcze ogłoszona przeze mnie w 31-szym numerze...

Nie chciałbym zajmować miejsca w piśmie szczegółowymi polemikami. Ponieważ jednak Jack Frühling zarzuca mi złośliwie fałszowanie cytatów, a nawet daje do zrozumienia, że powiadzę kłębą robotę mająca na celu „pisarzy zniechęcić i nawet zdyskretytować” — uważam, że winniem czytelnikom „Nowej Kultury” krótkie wyjaśnienie.

Pomijam tu sprawę adaptacji. Jack Frühling może mieć oczywiście odmienne od mojego zdanie o jej trafności, choć w swoim artykule nie wspomina o jakich to mianowicie walorach teatru wpiął utwór.

W recenzji swojej przeciwstawiłem „Iwi pazu Gabrieli” — pewnym niedostatkom sztuki Sterna. Jack Frühling, dokonując nieprawdopodobnej wolty do-wodnej, że zarzuty moje odnoszą się do „Zapolskiej”. Robi to na przykład w ten sposób, że ze środka zdania o Zapolskiej wywnosił niejasny pasus: „(twórczość Zapolskiej), tak znamienna od strony rzetelności scenopisarskiej i tak precyzyjnie umiejscawia podchwytliwie szczegóły obyczajowe i psychologiczne bytowania drobniomieszczańskich...” — zostawia natomiast dalszą część zdania, zawierającą pater uwag krytycznych. Czyli że Jack Frühling, używając tego termino-logii — „mówiąc bez obłędnie szlajstwowal tekst”.

Po tym wszystkim Jack Frühling „kreci cytatem” (według jego terminologii) na moje cytaty ze sztuki Sterna, udowadniając obfitych owych dwuznaczności. Przyczytem urywki dialogu o „siedzeniu” — bowiem to zdanie samo w sobie zawiera swoisty efekt. Wiadomo do-brze, że aktor po takiej kweście robi paręję (co mu zresztą sugeruje sam autor — trzema kropkami...) — wywołując huragan charakterystycznego śmiechu na widowni. Następuje po tym słowa: „można siedzieć na krześle, na fotelu” — robią już tylko wrażenie kłobketyjnego podkreślenia dowcipu.

Drugi przykład w mojej recenzji, który wyjąłem z udestopionego mi egzemplarza sztuki został — wedle Jacka Frühlinga — usunięty w nowej edycji kłębki. Bardzo mnie to cieszy, gdyż niczego innego nie chciałem w tej mierze.

Traktowanie sprawy krytyki przez Frühlinga uważam za niebezpieczną dla rozwoju naszej dramaturgii próbę zamknięcia ust recenzentom podejmującym się nieważnego często trudu spokojnej i rzeczowej analizy sztuki współczesnych. Artykuł mój o Sternie rozumieliem właśnie jako taką analizę, nie mającą cech napasli, ani chęci dyskredytowania autora. Dowodzi tego fakt, że obok zarzutów podkreślałem walory społeczne utworu, „dowcipną rewie współczesnego kłębkiwa”, „plastyczność i żywość postaci”, „żywość i humor sytuacji”. Wyda-lym więc w recenzji większość rzeczy, które wychwała u Sterna mój polemita. Tylko że ja twierdzenie moje szczegółowo uinotywowałem.

Stanisław Marczak-Oborski

NOŻYCE Z „TEATRZYKU PROWINCJONALNEGO” — PROŚBA O GŁOS

Uderzył w stół nożycy się odezwał. W sprawie „Pani Dulskiej na rozdroziu” odezwał się muszę, jako że zbyt dużo faktów w notatce red. Frühlinga jest trochę dziwnie oświetlonych, właśnie w związku z nożycami.

Nie chcę i nie mogę dyskutować na temat samej sztuki, jako że kierownik artystyczny teatru nie zawsze może układać repertuar pod kątem osobistego smaku. Myślę jednak, że mam prawo przypomnieć historię „powstawania dzieła teatralnego” tym, którzy o ile mi wiadomo, widowiska nie znają.

To dosyć ważny moment: ani Autor, ani red. Frühling na przedstawieniu nie byli — bo nie mogą dopuścić myśli, żeby zjawili się w teatrze poialemnie i małe takie sąd o widowsku, nie potomawiali z kierownikiem teatru i zespołem.

Decydując na realizację sztuki, byliśmy przekonani, że wolno nam mieć o niej swój własny sąd. Zdarza się czasem w teatrze, że utwór potrzebuje ołowka reżyserkiego i to dosyć znacząco — i że to wcale nie jest odwrotnie proporcjonalne do wartości utworu. Nie chciałbym straszyć Autora „Dul-

klu „Na mojej ziemi” („Nowy Mir”), itd.

W czerwcu ukazały się w „grubych” czasopismach dwie ciekawe pozycje dramaturgiczne: w „Okłabrie” wybitny powieściopisarz F. Panfierow opublikował dramat o tematyce rodzinno — obyczajowej pt. „Kiedy jesteśmy piękni”, dramaturg A. Sofronow zamieścił w miesięczniku „Znamia” sztukę polityczną „Inaczej żyć nie można” — na temat życia, pokojowej pracy niemieckiej klasy robotniczej w NRD i jej walki z nastaniami przez amerykańskich imperialistów szpiegiem i dywersantami.

W dziale teorii i krytyki literackiej znajdujemy w czerwcu kilka ciekawych pozycji: W. Pankow w artykule „Rady Gorkiego” („Znamia”) analizuje zagadnienia związane z literacim odzwierciedleniem walki nowego ze starym, problemy krytyki i samokrytyki w literaturze. Autor zajmujących powieści partyzanckich P. Werszyhora zamieszcza w czasopiśmie „Nowy Mir” studium o wybitnym dramaturgu radzieckim W. Wiszniewskim. Przyczynę do toczącej się w Związku Radzieckim dyskusji o dramaturgii wnosi artykuł krytyka teatralnego W. Frolowa „Konflikł — podstawa utworu dramatycznego” („Znamia”), „O dramaturgii dla dzieci” — w „Nowym Mirze” W. Katajew. W artykule tym — stanowiącym głos w dyskusji zarówno na temat literatury młodzieżowej, jak i dramaturgii — Katajew rozwija tezy swojego referatu wygłoszonego na kwietniowej kon-

„PIĄTKA Z ULICY BARSKIEJ”

(Dokończenie ze str. 9-ej)

emocjonalnie, że w końcu daje upust ich marzeniom, wyobraźni i chłopciej aktynomności. Ale nie ukazał Koźniewski przekonywująco przełomu duchowego i światopoglądowego swoich bohaterów, wzrostu i przewartościowania w ich świadomości. Na ukazanie tego potrzebne byłoby wyraźniejsze tło ludzkie powieści, głębsze, niereportażowe potraktowanie fabryki i W-Zetu, szkoły czy teatru, potrzebna byłaby praca z mądrymi ludźmi. Czy miłoby to oznaczać jakieś łagodzenie powieściowych konfliktów? W najważniejszym stopniu nie, mogłoby je nawet zaostriżyć, a w każdym razie przydałoby przełomowi w umysłach i charakterach chłopców, dokonaniem pod wpływem samej, sportowo niekiedy wprost traktowanej pracy (Kazek), psychologicznej głębi, głębszego związku z tętmem rzeczywistości, w które niepodobna przecież wkrozić się mechanicznie, które trzeba zrozumieć, a nie tylko mu ulec.

Książka Kazimierza Koźniewskiego odejmuje więc problematykę wąską i trudną, stawia ją ciekawie i w sposób prowokujący czytelnika do intensywnych i głębokich przemysleń, w których wyniku tę i ową chciałoby się wnieść do niej poprawkę czy pytanie. Trafnie i mocno ukazuje zbrodniczość Zenona a słuszny i w jednym punkcie ciekawie, odkrywczo i świeżo. Pomaga jej w tym akcja — wartka, o sensoryjnym posmaku, która zapewnią książkę łatwość odbioru wśród młodych zwłaszcza czytelników, których urzeknie także i

skiej na rozdroziu” — ale Szekspira też się skłaca.

Zwrócić się do Sterna z propozycją następującą: mamy wystawie Pańską sztukę. Wymaga ona pewnej, mocnej adaptacji: duży skrót i komasacja trzech sąsiadek — poza względami technicznymi — to o opinia wspólna naszego zespołu, naszego kolektywu. Prosimy o przyjazd i wspólna pracę nad tekstem.

Zakwalifikuj, że pilne, ważne sprawy wzywają Autora do Kryniczy; pytaniem czy nie uważa za stosowne zawię się chociaż w ostatniej dekadzie pracy nad sztuką. Usłyszałem odpowiedź, że Autor zna te „modne prądy” propagujące współpracę autorów dramatycznych z teatrami. Ale niestety — pilnie śpiący — Krynica.

Zrozumiałem, nie nalegałem — i że wstydem przyznaję, że nie prosiłem, żadnych wybitnym reżyserami, nie kusilem... adzieby tam w teatryku prowincjonalnym.

Na tydzień przed premierą zjawili się nasz miły Autor. Była to sobotnia, zgodnie z konwencją, skrócona próba — wstępna próba do generalna próba — i obywatel, bez kostiumów, bez charakterystycznych, z zastępczymi rekwizytami i częściami kostiumów.

Autor nie orientował się, gdzie są skiołty dokonane — tak nam p. zynajmniej oświadczył. Autor rozmawiając z wykonawcami używał określeń jasnych i nie wywołujących dyskusji. Oświadczył — sztukę, cytaty red. Marczak-Oborskiego są wzięte z zamierzonego egzemplarza, z poprawkami osobiste na maszynie dokonany przez Autora. A fragmenty, które red. Frühling w teatrze, są właśnie przez teatry wykreślone. Bardzo dziękujemy sympatycznemu dyskusantowi za uznanie. Widocznie więc kierownik literacki dobrze zrozumiał swoje zadanie.

Tadeusz Byrski

ferencji w sprawie literatury dla dzieci i młodzieży. W tym samym czasopiśmie ukazał się — również na ten temat — artykuł S. Marszaka „Literatura — szkole”. Bogaty jest dział recenzyjny i bibliograficzny, szczególnie na łamach najbardziej obfitego z „grubych” miesięczników — „Nowego Mira”.

Szeroki wachlarz tematyczny i problemowy obejmują reportaże, wspomnienia, artykuły popularnonaukowe; zamieszczone w czerwcowych numerach omawianych czasopism: w reportażu „Miljoan — dolina ryżu” S. Garin wprowadza czytelnika w sprawę tej nowatorskiej uprawy w Kirgizji. Słynny lotnik S. Bajdukow drukuje w miesięczniku „Znamia” („Pierwszy przelot”) swoje wspomnienia o pierwszym przelocie transpolarnym ze Związku Radzieckiego do Stanów Zjednoczonych, dokonanym przez Walerego Czkałowa w roku 1937. W „Okłabrie” akademik I. Szarow pisze o przeobrażeniu klimatu („Lata i tysiąclecia”), G. Boszian informuje o „Osiągnięciach radzieckiej nauki o życiu”.

Problemy sztuki w krajach imperializmu porusza S. Gerasimow w artykule „Marazm amerykańskiego malarstwa” („Znamia”). Przegląd ten zakończył wzmianką o publikacjach politycznych: „W cieniu dolara, pod znakiem swastyki” — to tytuł artykułu D. Mielnikowa i L. Czernej („Nowy Mir”), zaś „W cieniu pałacu Burbońskiego” — to pamflet L. Baranowskiego na burżuazyjny parlamentarizm („Okłabrie”), „Znamia” zawiera — jak zwykle — dział ciekawej satyry politycznej, którą reprezentują: dowcipna humoreska W. Krugłowa w formie wykładu w amerykańskim college „Nieśmiertelny bussines” i znakomite fraszki S. Michalkowa ilustrowane rysunkami W. Gorajewej i fotomontażem A. Zytomirskiego.

WILHELM MACH

SPORT W OPOWIADANIACH PROMINSKIEGO

Z naszym sportem, mimo wszelkie jego braki, jest na pewno lepiej niż z literaturą o sporcie. Zwłaszcza w prozie. Przez całe lata cisza, aż w uszach dzwoni. Poeci spisują się różnie. Proza ruszyła dopiero od ubiegłego roku: odezwał się w sportowych szkicach Adolf Ruinicki, publikuje w prasie sportowe nowele Witold Zalewski. Najpełniej sze osiągnięci epickie przypało w udziale Marianowi Promińskiemu, autorowi wydanych ostatnio „Opowieści sportowych”, wyróżnionych nagrodą w krajowym konkursie przedolimpijskim.

To i zawiera cztery opowiadania, znane — w ich pierwszej wersji — czytelnikowi prasy tygodniowej. Wydanie książkowe wprowadza pewną ilość zmian i przepracowań od autorów. Oto tytuły opowiadań: „Drugą — proszę!” (tenis), „Bierz rekawice” (boks), „Dziesięć kilometrów” (bieg) i „Bramkarz świętej Barbary” (piłka nożna). Dwa pierwsze przedstawiają sportowców polskich włączonych we współczesną organizację sportu; opowieść trzecia konfrontuje dwie przeciwstawne ideologie sportu: zawodową rekordomanie na Zachodzie i nasz sport amatorski, rozwijający się na zasadzie zespolowości i zdrowej myśli wychowawczej; utwór ostatni mówi o sporcie eksploatacyjnym, zarobkowym, w warunkach ustroju kapitalistycznego.

Bohaterowie opowiadań reprezentują rozmaite postawy wobec zawodniczych zagadnień sportu. Michał Wańczura („Drugą — proszę”), zachodząca gwiazda tenisa, przegrany mecz międzynarodowy z młodzieńskim zawodnikiem czeskim — lecz ta porażka nie załamuje go, nie zniechęca ani do życia, ani do sportu; będzie szkolił młodzież, w pracy instruktora znajdzie kontynuację własnych osiągnięć — ma przed sobą długą jeszcze „piękną jesień”. Jakże inaczej wygląda kłębka bramkarza Puela, planego robota w sportowym przedsiębiorstwie handlowym, jakim jest w istocie zawodowa drużyna piłkarska „Santa Barbara”: dwie utracone bramki kwituje on

Marian Promiński: „Opowieści sportowe”. PIW, 1952, str. 235 + 5 nb.



Marian Promiński

samobójstwem — i autor udowodnia wszechstronnie poepną konieczność takiej decyzji. Podobnie Kazio Mazurek, biegacz — amator, wykazuje zdecydowaną wyższość sportową i etyczną nad faworytami sportowej gieldy Zachodu, traktowanymi jak bożyszcza do momentu porażki i ciskanyimi potem w zupełną niepamięć; Mazurek osiąga sukces, bo jest świadomy swych zadań i obowiązków wobec ludowej ojczyzny, która go wychowała i awansowała, jest świadomy swego miejsca w kolektywie, który mu zawierzył; pobudki jego ambicji są ponadindywidualne, pasja szlachetnych uczuć i przekonania udzieliłokrotnia w godzinie próby fizycznej sprawność — pracca współ z ideą darzą świadomego sportowca zwycięstwem. W opowiadaniu „Bierz rekawice!” bokserzy-amatorów Wojnarowski, Wawra i Szmid demonstrują — każdy na nieco inny sposób — właściwy, pozytywny stosunek do sportu: młodego proletariatu Wawrze boks uczy osobistej odwagi, w dwóch pozostałych przysięsza osiągnięci dojrzałości życiowej. Tytuł opowieści, wzięty z zawołania bokerskiego przed walką, ma sens również przenośny: to zaproszenie do czystej, uczciwej gry w konkurencjach nie tylko sportowych.

Opowiadania Promińskiego, mimo rozwinęta i bogata fabule, łatwo dają się streszczać. Świadczy to do brze o ich spoiwości i przejrzystości. W świadomej indywidualizacji języka i stylu, w nienagannosci konstrukcji, znać wytrawnego majstra. Akcja, podawana wartko, rozwija się dynamicznie, stopniując umiejętnie napięcia. Wszystkie cztery „gry sportowe”, stanowiące os opowieści, przedstawił autor żywo i sugestywnie, co oceni nawet nie obeznany ze sportem czytelnik.

Podkreśliłem już wartość wychowawczą i słuszny ładunek ideowy opowiadań. Niemniej „czysta anegdota” ponosi autora na tyle, że zagusza niekiedy sens ideologiczny utworów. Odnosi się to zwłaszcza do „Bramkarza świętej Barbary”. Opowiadanie to — najwcześniejsze, fabularnie najbardziej zresztą atrakcyjne — nie jest dostatecznie oczyszczone z wpływów naturalistycznej prozy amerykańskiej i z wątpliwej jakości naliotów „egzystencjonalnego” pesymizmu. Komentarz losu bramkarza-samobójcy, zestawiony z wypowiedzi pięciu osób różnego stanu, zawodu i różnych zapatrywań (piłkarz, lekarz, nieokreślony rezerwer „adwokat”, pomywaczka i fordanserka) — oznacza jakąś „bezsobność” autora; czytelnik ma wprawdzie odczuć, że autor solidaryzuje się najbardziej z koncepcjami pomywaczki (był samotny, nie miał nikogo), i fordanserki (zawiniła cała drużyna, która go nie wychowała) — lec ta solidarność wypada dość „programowo”, bo autor najwięcej uwagi, miejsca i — zdaje się — upodobania poświęcił mistycznym wywodom „rezerwa”, który historię bramkarza interpretuje Kretschmerem, troche Freudem i Adlerem, trochę Sartre’em — samą filozoficzno-psychologiczną starzyzną. Jedyna to jednak pretensja, jaką zgłaszam do tego dobrej, z prawdziwym epickim zacięciem nakreślonej opowieści.

Na parę osobnych uwag zasługują również opowieści bokerska. Tu na plus zaliczyć trzeba próbę usprawiania metody realistycznej, do której autor dobiega się stopniowo, przełamując stare nawyki naturalisty. Ważnym momentem staje się pogłębienie psychologii postaci i staranne wiązanie różnorodnych wątków treściowych. Usiłowania te, świadczące dobrze o ambicjach pisarskich Promińskiego, w znacznej mierze się powiodły, choć i tu niesposób przemilczeć pewnych zakłóceń i nieporządków. Na skutek rozbudowania fabuły kompozycja całości jest nieco zatarta. Dwa tematy: sport i miłość tu i ówdzie się rozciągają — sport do sasa, miłość do lasa... Z boksem zresztą rzeź ma się lepiej, bo miłość — jak i w innych utworach tego autora — choć kreślona zgrabnie i z przyjemną bezpośredniością, raz po raz zatracą o drobniomieszczański styl, w którym naturalność równa się naturalizmowi.

Wniosek ogólny na temat całego tomu — pozytywny. Do naszej niebogatej literatury, o sporcie Promiński wnosi świeży, oryginalny ton, brzmiący prościem i swobodnie od wielkich surm poetek, a szlachetnie — od piszczałek i bebenków muzy okolicznościowej w gazetach codziennych.

Wilhelm Mach

Z TYGODNIA

W KRAJU

ZAGADNIENIEM PRACY ARTYSTYCZNEJ W TEATRACH OPEROWYCH

była poświęcona ogólnopolska konferencja twórcza, zorganizowana przez SPATIF w Warszawie w dniu 16 bm. Na konferencji referaty wygłosili: L. Schiller, dr. Z. Latoszewski i prof. K. Czarniecki. W dyskusji szczególną uwagę zwrócono m. in. na sprawę podniesienia poziomu inscenizacji operowej i szkolnictwa operowego.

ZWROTU BEZCENNYCH ZABYTKÓW POLSKICH bezprawnie zatrzymanych przez rząd kanadyjski — domagają się polscy muzeolodzy oraz historycy sztuki i kultury materialnej. Wystosowali oni ostatnio gorący apel do muzeologów całego świata, wzywając ich do poparcia szlusznych żądań Państwa i narodu polskiego.

PRZYGOTOWUJĄC WYSTAWIENIE „HALKI” W HELSINKACH

przybyli do Polski dyrektor Opery w Helsinkach, Sulo Raikonen, oraz dyrygent prof. Leo Funtke, aby zapoznać się z inscenizacją arcydzieła montuskowskiego na scenach polskich. 15 b. m. w klubie SPATIF goście fińscy spotkali się z przedstawicielami polskiego świata artystycznego. Na spotkaniu byli obecni m. in.: L. Schiller, Z. Górzyski, A. Panufnik, Z. Mierzewski i inni.

LAUREATOM KONKURSU POSWIĘCONEGO TWÓRCZOŚCI M. GOGOLA

rozdano 15 b. m. nagrody w Centralnym Klubie TPP-R w Warszawie. Konkurs organizowały Zarz. Główny TPP-R i redakcja „Życia Warszawy”. I nagrodę za wysoki poziom literacki swojej wypowiedzi konkursowej otrzymał rdzeniarz z Zakł. Mech. „Ursus”, Waclaw Wnykowiec. II nagrodę zdobył robotnik ZPB im. Stalina w Łozi, Tadeusz Saar, III nagr. przyznano uczennicy 8 klasy szkoły TPD nr 4 w Warszawie, Wandzia Konarskopismo.

CZASOPISMO POETYCKIE LUBELSZCZYNY „KAMENA”

które wychodziło pod redakcją Kazimierza Andrzeja Jaworskiego przez 6 lat przed wojną i przez 4 lata po wojnie ukazuje się niebawem jako organ Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, kwartalnik społeczno-literacki publikujący nie tylko utwory poetyckie ale i prozę z szerokim uwzględnieniem kroniki kulturalnej. Redaguje „Kamena” zespół, redaktorem naczelnym jest K. Jaworski.

OK. 3 TYSIĘCY PRAC STUDENTÓW AKADEMII SZTUK PLASTYCZNYCH

zgrupowano na dorocznej wystawie w ASP. Wystawa zajmuje wszystkie pracownie i korytarze gmachu Akademii w B. Pałacu Raczyńskich oraz w dawnej siedzibie Akademii przy ul. Myśliwieckiej. Reprezentowan: są prace wszystkich wydziałów i studiów: studium ogólnego, wydziałów:

Malarskiego, Rzeźby, Studium Ceramiki, Grafiki, Architektury Wnętrz, Scenografii i Wyzd. Konserwatorskiego.

Z OKAZJI 25-LECIA SCHRONISKA ARTYSTÓW - WETERANÓW SCEN POKSICH

im. W. Bogusławskiego odbyła się w Skolimowie pod Warszawą uroczystość jubileuszowa. W schronisku przebywa 34 artystów - weteranów, którzy korzystają ze wszystkich wygód i mają zapewnioną stałą pomoc lekarską.

KONFERENCJA KIEROWNICTWA BADAŃ NAD POCZĄTKAMI PAŃSTWA POLSKIEGO

odbyła się w dn. 13 czerwca b. r. w Krakowie. Omawiano na niej sprawę nowego wydania podstawowych źródeł pisanych we wczesnej historii Polski, mianowicie Roczników polskich. Konferencję przewodniczył prof. K. Tymieniecki, uzięli w niej udział najwybitniejsi specjaliści, referaty wygłosili prof. Z. Budkowa, prof. G. Labuda, dr. B. Kürbisówna i dr. A. Flachcińska.

ZA GRANICĄ

KOLONIZACJI ZACHODNICH ZIEM POLSKI PRZEZ NIEMIECKICH NAJEZDZCÓW

jest poświęcona obszerna praca naukowa, zawarta w nowym V tomie „Zeszytów Naukowych Inst. Stawuskiego” Akademii Nauk ZSRR. 52 TYS. SŁÓW WSPÓŁCZESNEGO JĘZYKA LITERACKIEGO oraz neologizmy, które weszły w życie w ciągu kilku ostatnich lat — zawiera ostatnio wydany nowy słownik języka rosyjskiego, opracowany przez prof. S. Ożegowa.

ZMARŁ SERGIUSZ MERKUROW

jeden z najwybitniejszych radzieckich rzeźbiarzy, członek Akademii Sztuki ZSRR. Był on jednym z pierwszych, którzy zdobyli zaszczytny tytuł Artysty Ludowego ZSRR.

PONAD 100 PLASTYKÓW-AMATORÓW

zjechało do Warszawy na wystawę do Domu Kultury moskiewskich zakładów samochodowych im. Stalina. Ostatnio w ZIS otwarto wystawę obejmującą ponad 250 prac robotników i pracowników Zakładów.

WYSTAWA FOTOGRAFII I PLAKATÓW POLSKICH W PHENIANIE

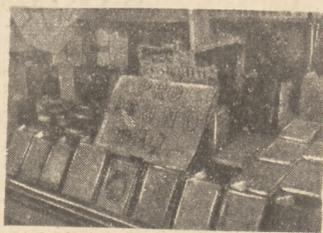
została niedawno otwarta w obecności przewodniczącego Prezydium Najwyższego Zgromadzenia Ludowego Kim Du-bona. Niezależnie od wystawy w Phenianie wyświetlane są obecnie trzy dokumentarne filmy polskie: „Odpowiedź”, „List górnik” oraz „Korea oskarża”.

POWRÓT PABLO NERUDY DO OJCZYZNY

stara się uniemowilić reakcja chilijska. Senat chilijski 16 głosami przeciwko 6 odrzucił projekt ustawy, która pozwoliłaby poecie powrócić z wygnania do kraju.

Goethe na wagę

„Ani jeden egzemplarz Biblii, drukowanej na bezdrewnym papierze w Lipsku — centrum niemieckiego ruchu wydawniczego — nie może być sprzedany w Niemczech Zachodnich, ponieważ nie posiada nadruku: Printed in Germany — USA License — stwierdza tygodnik „Die Frau von Heute”.



Kłosk wyprzedający dzieła klasyków „na wagę”

Przedstawiciel tego pisma przeprowadził ankietę na rynku Księgarskim w największym mieście Niemiec Zachodnich, w Hamburgu. Jest to dziedziną, gdzie dobitnie widać nonsensy wynikające z podziału Niemiec. Popularne wydania klasyków niemieckich, Goethego, Schillera, Lessinga, Heinego, Kleista, drukowane w milionowych nakładach w NRD, nie przekraczają granicy rozdziałającej Niemcy.

Rynek księgarski na zachód od Łaby zorganizowany jest na zasadach czysto komercyjalnych, podobnie jak handel manufakturą. Książki wydawane tu podzielone można na trzy grupy: literatura krypto-hitlerowska współczesna, tj. podejmująca propagandę nacjonalistyczną w firmie zwoalowanej i niebezpiecznej (np. H. Grimm, autor powieści o mistycznej „tesknotcie do ziemi” i do kolonii, laureat hitlerowskiej nagrody państwowej, czy E. E. Dwtinger, autor staunowej „Die Tod in Polen”, napisanej w 1939 r., gdzie opisuje masakrę 60.000 Niemców przez okrutnych Polaków, co Hitlera skłoniło do interwencji zbrojnej), następnie romanse sentymentalne tłumaczone z angielskiego, tj. współczesne powieści amerykańskie dla szerokiego czytelników, wreszcie literatura erotyczna „naukowa”, ukrywająca — lub nawet nieukrywająca — pornografię pod formą rozważań psychologicznych, rad lekarskich, czy rzekomo medycznych opisów zbrodni, odchyłań, nalogów, itd.

Rzeczy te drukowane są po prostu dlatego, że poszukiwane są najwięcej i sprzedają się najlepiej. Literatura „seksualno-naukowa”, interesująca przede wszystkim młodzież, nie zawsze zasobna w gotówkę, dostępna jest za pośrednictwem wypożyczalni specjalnie zaopatrzonej w tego typu książki („Sexualwissenschaftliche Leihbücherei”). Na jednej tylko ulicy Hamburga reporter natrafił kilka takich zakładów, w których kaucja wynosi 20 marek, zaś opłata za wypożyczenie jednej książki — 3 marki zachodnie.

To traktowanie książki jako towaru w kraju o rozprężonej liberalnej gospodarce prowadzi do dziwactw niespotykanych w dziejach kultury. Utwory klasyczne, mało poszukiwane, sprzedawane są na wagę, ponieważ inny sposób ich rozpowszechniania, nie opłaciłyby się księgarzowi, pozbywającemu się starych nakładów. W księgarni przy Jakobikirchhof 23 w Hamburgu kupić można pół kilo literatury klasycznej za dwie marki 35 deka Goethego kosztuje 1 mk. 40 fenigów, zaś Schiller — nieco cięższy — droższy jest o 4 fenigi.



Jedna z licznych w Hamburgu wypożyczalni literatury pornograficznej



NOWY MARSZAŁEK FRANCJI (L'Observateur)

W związku z nadaniem generałowi Juin godności Marszałka Francji, tygodnik „L'Observateur” zamieszcza szorstki artykuł wstępny p.ówa redaktora naczelnego, znanego publicyście francuskiego, Claude Bourdet.

Bourdet przypomniał, że generał Juin, wzięty do niewoli w 1940 roku i zwolniony przez Niemców w 1941, przyłączył się do alianów dopiero w 1942 roku, po listopadowym desancie anglosaskim w Afryce Północnej, kiedy po raz drugi został wzięty do niewoli i nie mu już innego do zrobienia nie pozostawało. Wspominając te lata działalności p.ówa Alfonsa Juin, Bourdet przyłącza fragment opublikowanych niedawno pamiętników Fernanda de Binon, jednego z czołowych kolaborantów, ambasadora rządu Vichy w Paryżu. O o ten fragment:

„Byłem właśnie w Vichy w dniu kiedy generał Juin, zwolniony z niewoli, melduje się u marszałka (Petaina — przyp. nas.) Zostaje na obiedzie. Jest moim sąsiadem przy stole. Siedzi na prawo ode mnie, ja na prawo od marszałka. W czasie rozmowy generał Juin kilkakrotnie podnosił, że cieszę się bardzo na myśl, iż będzie mógł walczyć przeciwko Anglikom, zapewnia, że potrafi obronić Afrykę Północną przed zakusami alianów, że, jeśli zostanie podkomendnym generała Rommle, będzie z tego niezmiernie dumny.

— Nie ma żołnierza — mówi — który by nie był dumny ze służenia pod takim wocem.

Generałow. Campet, du Moulin, admirałow. Darlan i Menetrel byli uczestnikami tego historycznego obiadu.

Jak widać godność pasowna przez Petaina przeszła w dobre ręce.

KANADA, KAN DA... (La Tribune des Nations)

Hurtownie spożywcze w Montrealu zarejestrowały ostatnio znaczny wzrost popytu na konserwy dla psów. Po zbiciu sprawy okazało się, że dla licznych rodzin w stolicy Kanady owe konserwy są jedynym pożywieniem.

BEZ WYBORU (Wiadomości — z artykułu Karola Zbyszewskiego)

„Nasza obecna emigracja nie ma wyboru, przy kim stać. Jest tylko Ameryka. Są trzy różne metody stosunku do Ameryki.

Metoda rządu: Jesteśmy najgłówniejszym od Adama i Ewy rządem na świecie. Rządymy najważniejszą rzeczą, bo sumieniem świata. Wy parwenusie tylko co powstałego mocarstwa, obciążcie nas. Musicie się ukorzyć przed nami. Macie nas przeprosić. Darujemy wam wasze winy i przypuścimy was z powrotem do naszych łask.

Metoda Mikołajczyka: posłuszniesz się ode mnie nie znajdziesz Ani gorliwszego, usłużniejszego. Przyjmę co dacie, oddam co każecie, będę dziękował, wychwalał, wielbił. Weźcie mnie na służbę, a nie pozajście.

„O wojnę powszechną prosimy Cię Panie”, zakończył Mickiewicz swe nonsensowe „Księgi Piełgrzymstwa”. To jedyny rozumne zdanie w tym steku bredni.

LEKTURA P. BORA

— Czy korzysta pan z czytelni i uczęszcza do bibliotek publicznych? Czy kupuje pan książki? Czy miał pan przed wojną księgozbiór? Te oto trzy pytania postawiła redakcja londyńskiej „Wiadomości” różnym panom, którzy nad Tamizą zbawiają Pol-

skę. Pięknie i po żołniersku odpowiadał „sami” Bor-Komorowski. Odpowiedź na pytanie nr 1 brzmi: „W miarę wolnego czasu”. Odpowiedź na pytanie nr 2: „W ograniczonym zakresie, w miarę moich możliwości finansowych”. Na pytanie nr 3: „Wódz” odparł: „Przed wojną miałem dość liczny księgozbiór z kilkuset dzieł”. O tym, jakie to były dzieła, pan general dyskretnie milczy. Sądząc z tego, co pisze i mówi, nie musieli to być utwory klasy zbyt wysokiej.

PIĘKNIENI NAGRODZONA BEZINTERESOWNOŚĆ

Genialny wynalazca i uczony, profesor Roentgen, należał do ludzi, którzy nie dbali o dobra materialne. Nie opatentował wynalazku swoich promieni, bez których trudno dziś sobie wyobrazić medycynę, oddał nagrodę Nobla na cele naukowe, odrzucił herb szlachecki i tytuł hrabiowski, proponowany mu przez regenta Bawarii i cesarza Wilhelma II. Ofiarność i bezinteresowność wielkiego uczonego, zmarłego w r. 1923, została odpowiednio oceniana przez burżuazję niemiecką; w przytulku dla starców miasta zachodniemieckiego Würzburgu przymiera głodem wraz z mężem, emerytowanym lekarzem, siedmioletnie córka profesora Roentgena.

NAIWNY SENATOR I STARZY PARLAMENTARZYSI (La Tribune des Nations)

Senator Henry Cabot Lodge jest głównym agentem wyborczym Eisenhowera w mającej się odbyć w tym roku elekcji prezydenta Stanów Zjednoczonych. W ubiegłym tygodniu przybył on do Paryża, gdzie naradzał się z Eisenhowerem. Oświadczył mu, że opinia amerykańska oczekuje od niego doprowadze-

nia do pomyślnego końca rokowań między rządami państw zachodnio-europejskich w sprawie „armii europejskiej” i całkowitego wzięcia Niemiec Zachodnich do atlantyckiego „systemu obrony”. Wszystko to musi nastąpić przed 1 czerwca, aby Eisenhower mógł rozpocząć swą kampanię wyborczą w autorytarnym polityce. (Jak wiadomo podpisanie tego układu nie idzie bez trudności; parlament francuski czterokrotnie już ten projekt odrzucił). Po wieloletnich naradach obywateli politycy postanowili wystąpić do Achesona o „wpłynięcie” na rząd francuski i wywarcie nań odpowiedniego nacisku, aby nie ogłaszał się na opinie publiczną swego kraju — podpisał wreszcie układ.

Pod koniec swego pobytu w Paryżu, Henry Cabot Lodge podejmowany był w pałacu Luksemburskim przez Komitet parlamentarny przyznający francusko-amerykańskie. (Przewodził mu posłanka Patenotry — co się dosłownie tłumaczy „Odczesz”). Podczas przyjęcia senator Henry Cabot Lodge oznajmił zebranyemu parlamentaryzom francuskim osobliwą nowinę. Powiedział mianowicie, że ma wszelkie powody sądzić, iż w najbliższej przyszłości — być może jeszcze przed upływem miesiąca — rząd francuski podpisze układ o armii europejskiej.

Oświadczenie takie, skierowane przez polityka obojętne mocarstwa do mężów stanu kierujących oficjalnie losami narodu francuskiego, uważa można za jedną z największych gaff w rocznicach parlamentarizmu. Deputowani francuscy dowiedzieli się niespodziewanie od Amerykanina co uchwała za cztery tygodnie. Nie wiadomo jak zareagował na podobne groteskowe sytuacje — wynik skrzyżowania dawnego, liberalnego systemu z nowym systemem dominacji amerykańskiej. Jak pisze „Tribune des Nations”, pizemówienie senatora Lodge

przyjęte zostało bez żadnej reakcji, tj. bez oklasków, zaden też z nasępującym nowocem nie podjął zagadnienia posiadawoego przez niewprawnego polityka amerykańskiego.

BYLE INTERES SZEDEŁ (German Democratic Report)

„Patrioci w Zachodnich Niemczech, zniechęceni amerykańską okupacją, malują na murach słowa „Ami Go Home”. Ostatnio odwiedził Zachodnie Niemcy główny dyrektor towarzystwa pasażerskich linii lotniczych „Pan American”. Wpadł on w związek z tym na świetny pomysł. Zaangażował zespół malarzy, którzy udali się na miasto i gdziekolwiek znaleźli słowa „Ami Go Home” domalowali dokonanie: „Tylko linia lotniczą Pan American”.

SYMBOL (London City Press)

„Pulkownik Christie Miller oświadczył, że kapelusze jest symbolem hierarchii społecznej. Bez kapeluszy wszyscy ludzie są sobie równi, co jest komunistycznym wymysłem”.

BIEDNI BOGACI (Daily Mirror)

„Kilkanaście młodych panien z towarzystwa, które wchodzi w świat w ubogim sezonie przedświątecznym, przyjechały i matkami na te widy, zorganizowane pod hasłem: „Eleganckie stroje w ramach budżetu klasy pracującej”.

NAGA PRAWDA (Daily Worker z dnia 29 maja b. r.)

„Konduktory i kierowcy autobusów i tramwajów w Delhi (Indie) uodali się w dniu wczorajszym do pracy tylko w spodniach. Każdy z nich miał przypięte do spodni oświadczenie, informujące publiczność, że on i jego koledzy prowadzą kampanię o podwyższenie płac i bezpłatne mundurki”.

DE GAULLE — IDEOLOG FRANCJI MOCARSTWOWEJ (Carrefour)

Gaullistowski tygodnik „Carrefour” donosi, że przed wyjazdem do St. Zednoczonych, Eisenhower spotkał się z gen. de Gaulle na obiedzie wydanym przez admirała Thierry d'Argenlieu, (Admirał d'Argenlieu, w cywilu prowincjonalny karmelitałow busem, jak wogólnie potosi odpowiedzialność za rozpoczęcie wojny w Vietnamie). Otóż „Carrefour”, który zwykł konczyć każdy ze swych artykułów politycznych westchnieniem: „Inczej by było, gdyby generał de Gaulle...”, komentuje to spotkanie z niewielkim entuzjazmem. Dlaczego? Oto odpowiad:

„Przyszły kandydat do Białego Domu okazuje się więc z wszystkich amerykańskich mężów stanu, tym, który jest najmniej uprzedzony do generała de Gaulle'a. (Aha, sądzę że westchnieniem lani amerykańscy mężowie stanu są nie wiadomo dlaczego, uprzedzeni.)

Opini Eisenhowera o generał de Gaulle, ugrunтовane jeszcze podczas osobistego ich spotkania, nie zwołują chyba zażalenie za nie porozumienia. Wnio też i przypuszczają, że w najbliższej przyszłości można będzie odczuć jak najpomyślniejsze tego skutki”.

Co „Carrefour” ma na myśli, pisząc „jak najpomyślniejsze skutki” — nie trudno się domyślić. Ale warto przy tej okazji przypomnieć pewne zdarzenie sprzed osmiu lat. Roosevelt, w drodze powrotnej z Teheranu, zaproponował generałowi de Gaulle spotkanie w Agierze. Wówczas de Gaulle uodniósł się szlachetnym obrzydzeniem. Jak to? Jego, piermiera mocarstwowej Francji, śmie ktoś wzywać na spotkanie i wyznaczać jej miejsce na terytorium francuskim? O, nie! I nie przyjął propozycji, Roosevelta.

A oto dziś, generał de Gaulle nie posiada się z radości, że „przyszły kandydat do Białego Domu” racy byc o nym dobru mniemaniu! Zupeln e jak podrzędny referent, który szaleje z radości, gdy spojryz na taskawiej pan naczelnik wydziału. Może dostanie awans?

Coż, mocarstwowe ambicje różnymi chadzają drogami...

JANUSZ MINKIEWICZ

WIARA, NADZIEJA I MAŁOŚĆ

Mamusia wierzy w ducha, Ze dematerializują się; Córceka wierzy w ciuchy, Ze te materiały nie psują się.

Wuj wierzy w koniec świata W dniu trzecim października, Zaś w wojnę wierzy tata I dreszczyk go przenika.

Wnuczek — posłusznie w bociana, Ciotka — we wróżki wierzy, Dziadzio — w Tafta, Trumana, Ze dobrodziejce to szczerzy...

W każdą wierzą powiastkę, Którą B. B. C. zaskrzętkę, Wierzą w „feralną trzynastkę” I w moc tym podobnych rzeczy.

W niedzielę, w świętę w durne, Ochocho nie niechający, Redzinnie idą na sumę, Bo tacy są wierzący...

Wierzą, że żyć im niezniośnie, Ze gnój okrutny ich reżim... A w to, że kraj kwitnie i rośnie, Wierzycie, cymbaly? — Nie wierzym!

JERZY WALDORFF

TAJEMNICZA KUPA ŚMIECHU

Wpadła mi niedawno do rąk książka wydana w języku polskim w Londynie, pod tytułem: „Najważniejsze prorocstwa i przepowiednie na czasy przyszłe”. Zebrał je i skomentował arystokratyczny uczonec, podpisujący się — St. de Valois. (Czyżby potomek Henryka Walezego? Też nawet za granicę!). Zopowiadała się pasjonująco więc wzięłam balę, nalałam wody, umieszciliem w niej nogi i zabrałem się do czytania.

Co strona, to — wstrząs, rewelacja i snop światła, rzucony na dziedziń dotychczas potwornie zakłamanie! Okazuje się, że obelgivano nas ucząc, iż piramidy egipskie zostały wzniesione jako grobowce dla faraonów. Dopiero de Valois odkrywa prawdę: „piramidy nigdy nie miały być grobowcami, natomiast są zamkniętą w kamienne kształty ezoteryczną wiedzą kapłanów egipskich”.

Tutaj nasuwa się straszliwe podejrzenie — że w ogóle nie było faraonów, tylko Cecylia Faraon z progeneratury, wročka (ul. Chmielna 93 w podwórzu), dla której uczczenia egzoterycy wymyślili historię Egiptu!... — Dolatem do balii wody i czytałem dalej:

W piramidach zamknięto wiedzę po to, żeby ją ocalić z potopu. Dlatego piramidy zostały przezornie ukończone już na 3000 lat przed tym kataklizmem który miał miejsce — szczegóły dotychczas nieznanymi — w latach 2345 i 2344 przed naszą erą. Ubocznie możemy wywnioskować jeszcze i to (o czym de Valois nie pisze), że z potopu ocalał nie tylko Noe z rodziną. Pod postaciami którychś ze zwierząt kopytkowych musiały również ukryć się w Arce jakaś para ezoteryków i stąd mamy dzisiaj odkrywców aż tylu rewelacji tajemniczo naukowych.

Przerwałem na chwilę czytanie i wrzuciłem do balii mego kota. Niech się nauczy pływać! Gdy przyjdzie następny potop, będzie miał jak znalazł.

Od kota wróciłem do piramid. Wystarczy — zdaniem de Valois —

zmierzyć ich wewnętrzne korytaryze, galerie i komnaty grobowe „świętą miarą”, by odkryć szereg proroczych dat. Na czym dokładnie polega „święta miara”, tego de Valois nie podaje. Chodzi zapewne o to, że nie jest liczona na metry, tylko na pastorały. — Wychodzi przy tym na jaw, że kapłani egipscy i pozostające z nimi w kontakcie nadzieiczne moce mieli niezwykle śmiałe poglądy i zainteresowania!

Już na 3000 lat p.n.e. zostało precyzyjnie wyprorokowane, że „okres od 26 stycznia 1844 r. do 2 kwietnia 1901 r. będzie okresem najpełniejszego pojęcia Piękna i Boskiej Doskonalości”. — W istocie, jeśli zważyć, że rozkwitał wtedy przelicznic kapitalizm, że pełną lekkością i wdzięku pracę w ówczesnych faktach uodstępiano dzieciom, że sprawę przystosowania naturalnego regulowały znakomicie masowe śmierci głodowe bezrobotnych — natenczas zgodzić się trzeba z de Valois, iż był to okres pełnego Piękna i Doskonalości.

Wspalem do balii „sól do nóg Jana”, wrzuciłem dwie róże, po czym wróciłem do czytania:

Dla ezoteryków nie tajne są i dalsze, jakie ważne daty piramid! Oto kapłani egipscy wyprorokowali „maj 1928 roku, pamiętny zalaniemianiem się wielu walut opartych na złocie i sierpniu 1936 roku, który przyniósł szczęśliwe zbliżenie się Anglii z Ameryką”.

Ostatnią datą, na którą zwraca ją uwagę piramidy, jest rok 2001, bez podanych wszakże związków z tym rokiem wydarzeń. Co będzie potem, co przedtem! — pytamy ze łzami. Alści de Valois częściowo nas uspokaja.

Od września 2001 roku zacnie się „tysiąclecie szczęśliwości na ziemi”, przedtem jednak czeka ludzkość dużo niemiłych wydarzeń.

Rozpocznie się od katastrof żywiołowych, „Według ezoteryków — prorokowie de Valois — Rosja będzie całkowicie zalana oceanem. Zalane zostaną Niemcy, część Francji, część Włoch i niektóre kraje bałkańskie”.

Przerwałem czytanie, wylałem prokro wodę z balii, usiadłem na szafie, napisałem krótki list zamawiający skafander, po czym wróciłem do czytania:

O siebie, na szczęście, nie mamy się co obawiać! Nadprzyrodzone moce specjalnie zainteresowane są w ocaleniu Polski, tyle że konieczny w jej granicach sprzed 1939 r. Mocy owych nie nie obchodzi Szczecin, czy Wrocław, natomiast bardzo obchodzi Morodeczno. Można by wręcz zaryzykować twierdzenie, iż moce nadprzyrodzone realizują hasło: „Nie masz Polski bez Morodeczna!” — Posłuchajmy bowiem, co pisze dalej wtajemniczony de Valois:

„Mniej więcej na wschodniej granicy Polski z 1939 roku będzie wybrzeże morskie. Litwa wraz z częścią Białorusi tworzyć będzie jak gdyby półwysep”.

Dopiero kiedy ta operacja z zalewaniem zostanie szczęśliwie ukończona, rozpoczyna się wojny.

Przerwałem czytanie, zeszedłem prokro do piwnicy, napisałem krótki list zamawiający ubranie przeciwatomowe — dwurdzówde w paski, po czym wróciłem do czytania.

W sprawie wojny de Valois oddaje głos prorokowi Melachiaszowi: „We Włoszech, rebelianci zajmą i zniszczą Watykan, a papież, zwany Pasterzem Anielskim, uciekać będzie, skacząc poprzez trupy własnych kardynałów”.

To nam daje tę tylko małą pociechę, że wraz z papieżem będzie musiała ocaleć jego świta. Zważywszy bowiem na podoszy wiek papieży, Pasterz Anielski będzie musiał być do skoków podszany.

Ale: „Po straszliwej bitwie nad Renem, Pasterz Anielski ukoronuje w Kolonii nowego króla francuskiego. Ten będzie Wielkim Monarchą i wyjdzie z Kościoła Katolickiego, co znaczy, że będzie to bardzo świątobliwy człowiek”.

Miarę świątobliwości daje przeczuć zaraz następny ustęp prorocstwa: „Pasterz Anielski, krocząc z berłem w rękę po ziemi krwią nasiąkniętej, wskazuje wszystkim narodom, kedy jest prawdziwa droga i zażąda od narodów uległości wo-

WYSTAWA TADEUSZA KULISIEWICZA W BRUKSELI

Po ekspozycjach w Mediolanie, Rzymie, Pradze, Wiedniu i Paryżu, prace Kulisiewicza zostały wystawione w Palais des Beaux-Arts w Brukseli, gdzie podobnie jak we Włoszech, Czechosłowacji, Austrii, Francji, spotkał naszoneo artystę zasłużony sukces. A oto głosy prasy belgijskiej:

„Wystawa Tadeusza Kulisiewicza o'wiera przed nami nieznaną dziedzinę współczesnej sztuki polskiej... podniesie ona na duchu tych, którzy przedwcześnie zaczęli mniemac, że za „żelazną kurtyną” nie ma już sztuki płynącej z indywidualnego odczuwania. Grafik polski jest spadkobiercą pokolenia artystów, którzy począwszy od czasów Delacroix rozszerzali zakres sztuki graficznej, budując jej zdumiewającą różnorodność i bogactwo... Kulisiewicz oddalił się od postulatów sztuki awangardowej, aby szukać natchnienia w sztuce ludu. Ziemia i żyjący na niej ludzie podkłytko mu te rysunki, drzeworyty, suchoity, gdzie wdziek kreski walczą o lepsze z ekspresją głębokich czerni... cykl lawowanych rysunków poświęconych Waiszawie jest pełen bolesnego piękna; niejednokrotnie odnajdujemy tu liryzm godny Gustawa Dorę. Grafik polski oddał z zadziwiająca siłą wyrazu dramat tego rozdartego miasta, które przywozili na tryście miasta antyczne zburzone przez trzęsienie ziemi” (Le Soir, 6.6.1952). „Tragedie i spustoszenia wojny znalazły w Kulisiewiczu patetycznego wyraziiciela. Męczenstwo Warszawy stało się dla niego źródłem tematów do plansz nasyconych dramatycznym realizmem, gdzie talent obserwacyjny i siła uczucia ida w parze

z wirtuozerią wykonania” (Les Beaux Arts, 31.5.1952). „Prace wystawione w Palais des Beaux-Arts świadczą o talencie dojrzałym, różnorodnym i czującym dramatyczny realizm życia. Lawowane rysunki Kulisiewicza są doskonałe, drzeworyty zaś, jeśli idzie o technikę wykonania, należą do najlepszych, jakie można ujrzeć” (La Lanterne, 3.6.1952). „Kulisiewicz bierze świat w posiadanie dzięki środkom wyrazu, których dostarcza mu jego warsztat, odkrywając nowe światły. Im bardziej jest wrażliwy, tym bardziej jest solidarny z człowiekiem, tym większa i lepsza będzie jego sztuka i tylko po tej drodze idąc potrafi osiągnąć to, by dzieło jego pizemowało językiem bliskim dla wszystkich” (Le Drapeau Rouge, 4.6.1952).



Chłopiec siedzący — rysunek Tadeusza Kulisiewicza

UWAGA CZYTELNIICY I PRENUMERATORZY

Począwszy od daty ukazania się niniejszego zawiadomienia, ulega zmianie cena prenumeraty „Nowej Kultury”. Wynosić ona będzie:

miesięcznie (za 1 egz.) zł 4.— kwartalnie (za 1 egz.) zł 12.— Zawiadamiamy również, że począwszy od numeru 27 (z datą 6 lipca), cena pojedynczego numeru „Nowej Kultury” wynosić będzie 1 złoty.

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 14, I piętro tel 4-01-80 wewn 95 oraz bezpośredni 7-36-23 Adres administracji: W-wa ul. Wiejska 12 tel 7-52-50 Wydaje RSW „Prasa”. Prenumerata i kolportaż: P P K „Ruch” Oddz w Warszawie ul Srebrna 12 tel 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.—, półrocznie zł 18.—, rocznie zł 35.— Należność za prenumeratę wpłacać do PKO 1-15230. Wpłaty na prenumeratę indywidualną przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejskie powyżej 10 egzemplarzy — ul Chmielna 25 Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm² Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa” W-wa, Poznańska 38, konto PKO 1-5589 111, tel. 7-38-05 Reklipsis niezamówionych redakcja nie zwraca.

Zakłady Drukarskie i Wkłósdrukowe RSW „Prasa”, Warszawa, Marszałkowska 3/5.

3-B-1722